

WŁADYSŁAW ORKAN



W ROZTOKACH

**EX - LIBRIS**



**ANTONIEGO  
—BROSZA—**

**DAR  
ANTONIEGO  
BROSZA**

W ROZTOKACH

II

WŁADYSŁAW ORKAN

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ  
STANISŁAWA PIGONIA

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS

1932

WŁADYSŁAW ORKAN

W ROZTOKACH

POWIEŚĆ

TOM II

KRAKÓW

1932

NR. ....

## I.

Turbacz, jak się już rzekło, wysoko czoło dźwiga nad gromadą Gorców. Stoi w pośrodku nich, jak gazda przygarbiony wiekami i rządzi. Nie może ino baczyć na te wierchy, co nie mają z nim bliskiego krewieństwa, jako od czasu nie-pile. Zato oba ramiona rozciągnął nad dziatwą: prawe nad Kopą i nad Turbaczykiem, lewe zaś nad Obidowcem, nie widząc Suhory, bo ta się dużo poniżyła.

Z pod pazuchy tych ramion wytrysły roz-toki i pośród ścisłych Brzyzków niewidocznie płyną, szukając się z gorączką w zagłębieniach leśnych. Aż spotkały się w dolinie i witają się w milczeniu, w cichym uścisku idą razem aż do wąskiej bramy, do onego wąwozu, który zamknął kotlinę, i stąd, porwane szałem rozhukania, jedną roztoką dalej pędzą.

Wszystkie zbocza, okalające dolinę ściśnioną, i Turbaczyka i Suhory, szarzeją wrębami, są

jako cmentarze stare z pomnikami pniaków. Od nich to wieje smutek na dolinę i wkoło pustka się rozchodzi.

Jedyna ubocz góry, która się przygięła wierzchem do kolan Turbacza, ta jedna czerniała lasem.

I tę miał ścinać Rakoczy.

Pięła się ona bystro w górę wprost z międzywidla dwóch roztok, a dochodziła na dół aż do ich połąki, tam, kany dawno, drzewiej, za ludzkiej niepamięci stała ta sławna, wielka huta.

Na jej pogrobie, jak się rzekło, ostała rudera. W niej to Rakoczy osiadł i zamieszkał.

I rozgazdował się na dobre. Z odziomków starych jedli, nalezionych w potoku, narzwał gnatków, naszcypał giętkich tylin i uplótł wrota, które przymocował do odrzwi zawiasami łyicznych korzeni, wyprutych z ziemi w gąszczu i oparzonych w dymie nad ogniskiem. Tak samo z tylin i przeplecin stworzył sobie łożę, umocował je w kącie i podparł nad ziemią, potem nazmiatał liści pod bukami, naznosił na posłanie, aby miękko było, i zgotował legowisko wcale nie od rzeczy. Dach pozawłóczył gontami, powałę poprawił i umszył szpary w ścianach, aby wiatr nie miał przystępu. Przedtem wyrzwał w ścianie bocznej nieduże okienko. Następnie z poostałych po hucie kamieni, a wypalonych mocno, ułożył nalepę, na której mógłby upiec i wołu z rogami.



Nareszcie wtoczył gnat szeroki, parę niskich gnatków, aby mieć i stół, i stołki, jak bogaty gazda.

Nie widziało mu się jeszcze, że ściany są gołe.

— Jakożby tak człowiek mieszkał? Trza je przyozdobić.

Poszedł w las i nazbierał porostów wiszących, spadających z gałęzi, jak zielone brody, naobcinał hub olbrzymich o dziwacznych kształtach, gałęzi z młodych jedlic i okwiatu z buków — to wszystko przyniósł, porozdzielał, miarkując uważnie, aby je tak porozwieszać po nierównych ścianach, iżby oko z przyjemnością mogło na nie spojrzeć.

I wnet owo boisko odmieniło się do cudu. Niktby nie poznał, nie uwierzył, że tu niedawno wiatr chadzał samopas.

Żywności też przysposobił, zakupił na dole i, choć dostatku nie sprowadził, nie bał się już głodu. Rozgazdował się w tej pustce i przywykł pomału. Z początku było mu tak, jakżeby z jasnego pola wszedł do ciemnej świątnicy; powoli jednak rozpatrzył się i począł odnajdywać rzeczy, których nie postrzegł odrazu.

Więc najpierw zauważył, że w różnych porach dnia różne przybiera barwy ta dolina. Ma wyraźne rumieńce życia. Ma też głos i mowę swoją, smutki i wesele.

O wchodzie całą przebiega dreszcz święty. Czuje z oddali narodziny słońca. Potem osusza łązy radości, które perlą się na trawach i na liściach drzew, i, gotując się do wesela, przystraja odzienie. Zielone husty łąk po równi ściele, wzorzyste hafty traw po wrębach wiesza, wieńce mirtowe z gajów splata, stopy omywa w pianistej roztoce i włosy, rozwiane wiatrem a strojne zielenią, gładzi złotym grzebieniem gęstych odpromieni.

A kiedy słońce stanie na południu, pozdrowia je dolina miłosnym uśmiechem. I poczyna się wesele w pełni światła, blasku, w rozżarzonem do białości morzu czystych ogni. Zdaje się: całą dolina przepełniona szczęściem.

Ale słońce-oblubieniec wnet kryje się za wierchy, posyłając na odchodnym ostatni odblask-drużbę z łagodnym pocieszeniem: do jutra... W obliczu zcichłej doliny widać zturbowanie, chęć wzniesienia się, by zoczyć, kany słońce idzie. Niemoc ogarnia całą, potem smutek, w końcu rezygnacja bolesna. Jeszcze z za wierchu prześwieca długa miotła drużby — pęk związanych promieni — snop białego światła — od niego oświecił o licach różanych zstępuje na dół ku samej dolinie, a kiedy jej ostatnie pozdrowienie szepce — blednieje, i powietrzem zachodzą jej lica. Dolinę dreszcz przebiega, ale

zimny, trwożny, pełen niespokojności i lęku przed nocą.

Tak żyje ona w dzień słoneczny.

A gdy nadejdzie słońca, długie dni, w których słońca musi nie widywać, wtedy owija się cała łoktusą mgły szarej i w zasępieniu ciężkiem siedzi, nie patrząc na chmury. Nieraz w tym smutku odrętwieje, i gdy nagle słońce wejdzie — nie wierzy, nie odchyła łoktusy z przed oczu, aż ją promień, budząc z martwych, pocałuje w czoło.

Jaką żywo czującą była ta dolina, poznał Rakoczy, pilnie bacząc na jej dzienne życie. I stała mu się przez to bliższą, bardziej ulubioną. Częściej rozpatrywał się po niej i obaczył, że suche jedle po wyrębach sterczą niby szkielety ludzkie z podniesionemi ku niebu ramionami, jakby uschnęły w modlitwie albo w groźbie wiecznej; że potraczone modrzewie chowają się skrycie i zachylają wiotkie ciała poza plecy smreków, jakby czuły wyraźnie, że tu nie ich państwo, i zdają się po boku pytać hardych smreków, czy im pozwolą koło siebie rósć, taka w nich bojaźń; a białe, srebrne, słabiutkie osiki drżą, gdy się trąci o jeden liść skraja.

Wędrując okiem, naszedł niespodzianie wciśniętą między jedle, opuszczoną brzozę. Stała tu, jak samotnica, jak płaczka żałobna. Taka w niej była niewieścia lękliwość, tyle tęsknicy,

smutku i rozpaczy, że Rakoczy, patrząc na nią, uczuł żal serdeczny.

— Cóż cię tu przesadziło w te nieswoje strony?

Myślał, że go odczuje i odpowie płaczem. Poczynał bowiem wierzyć, że zaklęta w niej dusza dziewczyny jakiejś tak się smuci. I przyrzekł święcie, na głos cały, że gdy będzie spychał drzewo, tak uważnie puści, aby jej nie skaleczyło najmniejszej gałązki. Bo stała w dole, pod uboczą, którą musi ciąć.

Żył tak, rozpatrywaniem doliny zajęty, bo czas roboty jeszcze był nie nadszedł. Zżywał się z każdą skałą, z każdym prawie smrekiem, aby stracić swoją pustkę i czuć się w gromadzie. Bo poznał niezadługo, że pustki tu nie zastał, ino on ją sam z sobą w to zacisze zawlókł. Dopieroż go z dnia na dzień pomału opuszcza.

Widział, że nie sam tu jest z przybytku Noego. Jak odnajdywał w każdym drzewie utajone życie, tak codzien prawie spotykał w tym kącie żywinę jakąś niespodzianą.

Raz, idąc koło gąszcza, usłyszał gwizdanie. Pewnym był, że chłop jaki po cetynę przyszedł i przygwizduje sobie dla większej odwagi. Wszedł między smreczki i poznał, zdziwiony, że to nikt inszy, ino kos. Siedzi na drzewie i gwizdże zajadle, aż echo wraca od uboczy.

— Jaka to pokłęba czarna! Zdoła zwieść człowieka...

Ale, mimo omyłki, rad mu był niemało. Odgwizdnął mu nawet parę razy podobnymi tony.

Inszym znów razem, kiedy się zapędził między ściśle Brzyzki, podszedł niespodzianie głuszca, który ostrzył kosę i tak się widać zapamiętał, że stracił obawę. Można go było letko złowić. Ale Rakoczy pominął sposobność, rad, że ma w swoim państwie takie duże ptactwo.

I tak pomału napotykał: sojki trzepotliwe, żolny o siwych piórkach, gołębie gruchacze, dzięcioły w czerwonych czepcach i drozdy szarawe, które, jak ludzie mówią, mają talent w dziobie. Napotkał też ptasikróża, mizerną ptaszynę, która się kryje po dziuplach przed wzrokiem jastrzębi. A było tych rabowników moc w tej okolicy. Nieraz spadały zniecka, jak strzały wypuszczone z chmur, i rzadko powracały z luźnymi pazury. Często je widywał za dnia, jak śmiałą drużyną krążyły nad doliną, wypatrując żeru. A wyżej, wyżej, gdzieś w obłokach samych kołował zwolna szerokimi kręgi zmałały wysokością lotu chmurny orzeł. Kiedy się zniżył nad dolinę i rozpostarł skrzydła, to słońce ćmiło się, jak czarną zasłoniętą chmurą. Rakoczy wzrok podnosił, i duma w nim rosła, że taki harny ptak nad jego głową.

— Ino mi słonka nie zasłaniaj! — wołał. — Żeby i w mojem państwie było jasno...

I począł mu się kraj ożywiać coraz większym ruchem. Żywina wszeleniejaka, która się pochowała przed nim w gąszczu ciemne, widząc, że nie jest drapieżnikiem, jako insi ludzie, zaczęła zwolna wychodzić na światło i ośmieliła się z czasem.

Nieraz mu z pod nóg zając wypadł i pomknął w jałowce, kuna wyjrzała z gniazda i cofnęła głowę, a wiewiórki, swawolnice, to się już tak rozigrały, że im końca miary nie było. Wieszwały się na gałęziach tuż nad jego głową i po ziemi tańcowały ślebodnie jak w raj, abo śmigały po drzewach jedna ponad drugą, jakżeby kto szyszkami smrekowemi ciskał. Nic się nie bały te stworzenia małe.

Ale najwięcej śmiałości to już nabrał lis. Ten się tak srodze rozzuchwalił, że w jeden dzień przypołudnia, kiedy Rakoczy obiadował, zajrzał przez próg do wnętrza koleby, czy też tam niema jakiej kury, abo czego z drobiu. I wypatrywał bez obawy; aż Rakoczy, wstając, sięgnął ku ścianie po strzelbinę — wtedy dopiero umknął.

Milszą miał niespodziankę Franek kiedyindziej, kiedy powracał do koleby po zachodzie słońca. Oto spotkał na łące, pod samą roztoką, całą rodzinę sarn. Siedem ich było, dwie najmłodsze, nie większe od jagniąt. Pasły się gro-

madką całą pod dozorem matki, a rogacz stał na straży i czuwał nad niemi. Tyle w nich było miłości wzajemnej, taką harmonją grała ta rodzina, że Rakoczy przystanął i pomyślał w sercu:

— Żadną miarą nie płoszyłbych im szczęścia... niech się pasą.

I chciał obejść poza drzewa, ominąć zdaleka, ale ociec pilnie baczy; przeczuł go po szmerze i zaraz ostrzegł swoje młode. Postanęły wszystkie i, zalęknione, wsłuchały się w ciszę... Zdawało się, że słyszą jak im serca biją. Rogacz stał wyżej, na wzniesieniu, rozglądał się wkoło i nieustannie strzygł uszami, pytając się wiatru. Nie widać było w jego oczach lęku, ani trwogi, ino niepokój przed nieznanem, które idzie skądś. Troskliwy o swoje siutki, bał się je ostawiać dłużej w niepewności zdradnej i wydał hasło do ucieczki. Pomknęły odrazu, a on sam wskazywał drogę, migając rogami. Niezadługo wpadły lotem do suchego wrębu; trawy się ino kołysały, wskazując ich ślad.

Żał się zrobiło Rakoczemu, że je tak postraszyl. Pasały się widać rade na tej łączce cichej, a teraz już nie będą mieć takiej śmiałości. Szkoda, tak blisko, przy jego osiedlu, mógłby je z czasem ośmielić do siebie i miałyby z niemi nie-małą uciechę...

Kiedy tak myślał, idący, obaczył zdumiony, że ma innych sąsiadów niebardzo przyjemnych.

Potknął się parę razy o wyryty trawnik i, popatrzywszy na ziemię, poznał zaraz. Dziki... Po rywocinach świeżych widział, że niedawno były.

— Ale to cały kerdel! Kany sie te bestyjstwo gnieździ?

Obejrzał się dookoła i nie mógł zaprzeczyć, że kryjówek mają dość i siedzib. Jeszcze gęstwin jest niemało, buczyna porosła, a po wrębach trawy takie, że się łatwo może stracić i przeleżeć za dnia.

To go, powiedziawszy prawdę, niemile spotkało. Do dzikich świń miał urazę, choćby ino za to, że nieraz musiał ślęczyć na ugorach i pilnować nocą owsa, aby nie stłamsiły.

Ale, mimo ich rywocin, nie naszedł żadnego. Nawet i nocą nie dosłyszał, żeby blisko były. Musiały, widać, pomiarkować, że on tu nocuje, i boją się pokazywać przy jego osiedlu. Zabczył też wnet o ich sąsiedztwie. Ale przedtem strzelbinę opatrzył uważnie i nabił ją grubemi lotkami ołowiu.

I tak żył, otoczony żywiną wszelaką, nie czując samotności, ani utęsknienia, rozpoznając obyczaje różnego stworzenia. Ponauczał się wiele, przepatrzył żywą księgę, zamkniętą w kotlinie. Nie wiedział ino, że w tej społeczności żyli, prócz niego, i ludzie. Nigdy nikany ich nie zaszlakował, nie mógł nijak przypuszczać, żeby się tu kryli. A przecie...



Raz szedł w górę uboczą i napotkał człeka, który klęczał w dolince i, przyłożywszy ucho do ziemi, nadśluchiwał. Takby go był naszedł zbliska, ale ten, posłyszawszy kroki z dołu, zerwał się i uskoczył na najbliższe drzewo; stamtąd wyjrzał niebawem, a twarz Frankowi zdała się znajomą, jakby ją gdzieś był przez sen widział. Był w niej i śmiech i przestach — w połączeniu ciąglem. Włosy rozwiane, spadające ku wąskim ramionom, usta rozwarte śmiechem dziwnym, oczy, jak dwie błyszczące kule, przeżone, wielkie. Musiał go już kiedyś widzieć, ale sobie nie mógł zbaczyć, gdzie i w jakim czasie.

— Cóż wy tu robicie? — spytał, nadchodząc ku niemu.

Człek, bo inaczej trudno go nazywać, nie odrzekł nic na te słowa, ino się roześmiał szerzej, a równocześnie prawie z oczu wyjrzał większy strach. Skoro Franek, mniemając, że się z nim nie dogada, chciał się zabierać dalej, wtedy ten podszedł ku niemu i tajemniczo szepnął:

— Jest!

I wskazał ręką na dolinkę. A gdy widział, że Franek nie rozumie jeszcze, począł prędkim szepem gadać:

— Dźwięczy... I to nie w jednym miejscu. Musi to być skarb, o jakim ucho...

Teraz dopiero zbaczył Franek, skąd zna tę

postać człeczą. Z opowiadań. Tyle się o nim na-  
słuchał od ludzi, że nieraz w myślach widywał  
go żywym. Tak, to on, Jantek, poszukiwacz skar-  
bów, którego po wsi zowią Djabłem...

— Nie wierzycie mi? — szeptał ciągle. —  
Zejdźcie odrobinę. Ani wam się nic nie stanie,  
a przekonacie się sami...

Pociągnął go za sobą na dolinkę.

— A teraz uważajcie! Abo nie... wy tupnij-  
cie, a ja będę słuchał.

Klęknął, jak wprzód, na ziemi i przyłożył  
ucho.

— Tupnijcież! Mościewy... Mocno! Jeszcze  
mocniej! Tak... słyszycie teraz? O, jak dźwię-  
czy...

— Rzeczywiście...

— A co? Nie mówiłech?

Przypadł do Franka i z radości ścisnął go za  
ramię. Przyczem szeptał gorączkowo:

— Muszą być pełne kotły miedzi. Ale nie...  
miedź nie tak dzwoni. To musi być złoto...

Ostatnie słowo wyrzekł prawie głośno, gło-  
sem nabrzmiętym radością bez miary. Nie za-  
przeczał mu Franek, nawet dodał, że i to mo-  
żliwe. Po co — myślał zasmucać człowieka, sko-  
ro i tak inszego szczęścia nie ma. Niech się cie-  
szy... I na dowód, że wierzy w ten skarb ukryty,  
spytał:

— Jakże się myślicie dobyć?

— Ja ta już poradzę. Ino sie telo dorobię, żebych se kopaczkę sprawił... To już o resztę mniejsza.

I z zaciętością ogromną zawołał:

— Choćby mnie tu śmierć miała trafić, to nie spocznę, i muszę sie dokopać!

Jakiś dziwny dreszcz owiał Franka. Ta dolinka miała wyraz, który niepokoił. Coś w niej było zaklętego, choć nie wiedzieć, co.

— Trza iść w górę — powiedział nieswojo.

Podprowadził go Jantek i nie mógł się mu dość nagadać o swoich nadziejach. Pierwszego człowieka spotkał, co go nie wyśmiewał, to też chciał przed nim wszystkie myśli wypowiedzieć z serca.

— Ale ja was jeszcze spotkam? — zapytał na końcu. — Bo chciałbych wam opowiedzieć o tym buku próżnym, abo, wiecie, o tej jedli...

— To zagładnijcie do mnie wieczór.

— A kanyż wy nocujecie?

— W kolebie.

— O, to godne macie spanie. Ja ta zajrzę czasem. A nie bedzie wam za przeszkodą?

Nie czekając odpowiedzi, uścisnął Frankowi ramię i odszedł prędko. Z oddali, z poza smreków obejrzał się jeszcze, i Franek dojrzał w jego twarzy ten sam wyraz dziwny: śmiechu pomieszanego z przestraczem.

— Ma coś nieswojego...

Ile razy, idąc w górę, mijał tę dolinkę, zady mu się wychylała ta twarz z poza drzewa; ale nie mógłby przysiąc, czy ją widzi naprawdę, na jawie, czy mu się ino tak przedzaje w oczach.

Inszym razem ciekawsze miał jeszcze spotkanie. Było to w czasie, kiedy, pokończywszy przyrządzenia różne, zabrał się do ścinania uboczy. Ledwie obalił pierwsze drzewo, i echo jeszcze nie zamarło w lesie, gdy wypadł ku niemu z gąszcza nieznajomy człowiek i, chwytając go za rękaw, zawołał z rozpaczą:

— Co robicie?! Zastanówcie się, przez litość, i miejcie sumienie... Czy nie widzicie, czyście ślepi, kielo-ście zamieszania sprawili, to drzewo ścinając? Żywina bez pamięci ucieka przed siebie, a ptactwo lata w kółko, jak zwarjowane. Nie słyszycie tych płaczów, tych lamentów strasznych? Co ono was tak ogłuszyło pięknie?

Franek się zdumiał, zastanowił i obejrzał wkoło.

— No dyc patrzcie — powiedział nieznajomy — a miejcie oczy ku patrzeniu. Czy nie słyszycie, co to klątw nad waszą głową?

Rakoczy ze zdziwieniem zauważać począł, że to nie są przywidy człeka, ani bajki. Ptactwo latało bez upamiętania z inakszym krzykiem, niż zwyczajnie. A ów człek, widząc zastanowienie u Franka, jął łagodniej, z prośbą w głosie przedstawiać mu dalej:

— To dopiero jedno drzewo... A telo już postrachu wzbudziło dokoła. Osądzcie, kielo krzywdy zrobiliście światu. Bo nie myślcie jako insi, że las, to jak zboże. Zetnie sie i posieje, i nowe urośnie. Tak ino myślą bezrozumni, abo ci, co nie mają nijakiego zmysłu. A jeżeli człek ma uszy, to na to, by słuchał; oczy też nie na co insze, jak ino na to, aby patrzeć. Ale patrzeć, moiściewy, to jeszcze nie sztuka, bo to bądź-kto potrafi, ino trzeba widzieć, trzeba umieć tak po ludzku oczami myśleć. To wtedy i las inaczej będzie sie przedstawiał. Dy to świat nie podlejszy od naskiego świata. A więcej w nim ciekawości, niżby se kto myślał. Przemieszkują tu narody nie głupsze od ludzi, choćby ino, na ten przykład, mrowczyce robotne. A inszych stworzeń co niemiara, ani wypamiętać. Żebyście tak rankiem przyszli, przysłuchali sie uważnie, jak to wszystko gwarzy... Gwar telo przerozmaitych, bo każde ma swoją, że choćby człek całe życie wsłuchiwał sie pilnie, to sie nijak nie zdole wszystkich ponauczać. To se możecie uważyc, kielo tam narodów!... Teraz wam powiem taki przykład, może sie wam przyda... Nie macie kąta między ludźmi, szukacie osiedla i zachodzicie w taką okolicę, kany możecie śmiało i bezpiecznie osiąść. Wypatrzyliście odpowiednie miejsce i uradziliście se w myślach swoich wybudować dom. Ju-

ścić z wielkim mozołem znosicie kamienie, piasek, glinę i belki i wszelaki przystrój. Musicie wszystko sobą wozić i na sobie dźwigać, bo wolem trudno się wyręczyć, jak go niema, a psanie upytacie, aby wam dopomógł. Wreszcie po długiej męce postawiliście chałupę i pourządzali wszystko, jak wam się żywnie spodobało. Teraz myślicie ino o tem, jakby ją gwarem zapełnić, aby nie czuć pustki w izbie i w całym osiedlu. Szukacie se towarzyski, błakając się długo, aż nareszcie spotykacie stworzenie przepiekne, o włosach połyskujących jak skrzydło janiołka, który obłokiem staje przed wychodem słońka. Serce onej boginki porywacie śpiewem, i oswaja się tak ptaszę, i leci za wami, nie pytając kany, dokąd, na jakie wygnanie... A taką towarzyszkę mieć, to duże szczęście. Zaludniła wam się chałta, i gwar jest w osiedlu. Tak mija rok i drugi, i trzeci, i więcej. Codziennie o świcie stajecie przy oknie i, witając białe słońko, śpiewacie se psalmy. Spokojność macie za sąsiedztwo, szczęśliwość przy sobie. I dnia jednego, przypołudnia, idziecie do lasu, aby rodzinie swojej przynieść jagód, abo korzeni jakich do jedzenia, abo jeszcze co. Raptem słyszycie zdaleka huk straszny. Z bijącym sercem pędzicie napowrót — i cożeście zastali w miejscu swojej chałty? Pustkę... pagórek rozsypanych gruzów.

A tam w kołysce były dzieci... i matka przy nich...

Zaprzestał. A spoglądając w górę obojętnie, poszepnął zcicha:

— Co tu gniazd po drzewach...

— Człeku! — zawołał Franek. — Chyba cię piekło posłało na to, byś mnie kusił... Ja tę ubocz muszę ścinać i muszę ją wyciąć, choćby djabeł na djable jechał! To nic nie pomoże...

Stała się rzecz niespodziana. Ten człowiek starawy, bo już mocno siwe włosy miał nad śniadem czołem, przychylił się Rakoczemu do kolan i objął nogi jego drżącymi rękami.

— Ja was proszę, nie tnijcie... Niech ta ubocz stoi. Bo kanyż sie zwierzyna zachroni przed biedą? A i człek czasem potrzebuje dachu...

Podniósł głowę i spojrział, a w jego zielonych oczach tyle było smutku, co w jeziorach spokojnych po zachodzie. Bruzdami twarzy zoranej i zastygłej, jak rola na suchu, toczyły się powoli dwie błyszczące łzy.

Rakoczego żal okrutny ścisnął tak za gardło, że nie mógł nijak słowa wypowiedzieć. Po chwili dopiero, podjąwszy starego od ziemi, rzekł:

— Co ja na to poradzę? Nie mój las... Podjąłech sie ciąć, to muszę. A nie będę ja, to insi, to stu inszych znajdą...

— Jakoż to? — wypatrzył się, zdziwiony, na Franka. — To tu nie wasza wola? A ,a myślał...

— Że to niczyje? — poddał Franek.

Ale ten potrząśł głową.

— Nie... że to ludzkie — dokończył poci-  
chu.

I ustał jeszcze chwilę, umedytował, wreszcie zabrał się i poszedł, nie powiedziawszy słowa naostatku.

Rakoczy patrzył za nim, nie wiedząc, czy wołać, spodziewał się, że wróci, i czekał siedzący. Skoro go już setny czas nie było widać, uwierzył, że naprawdę stracił się mu z oczu. Uczyniło się mu przykro i nad wyraz ciężko. Takiej dusznoty w sercu nigdy nie doznawał. To milczące odejście zdało mu się wzgardą, jaką mu pozostawił ten człek niewiadomego imienia. Gniewu jednak nie miał w sercu, a czuł winę wielką wobec jakiegoś trybunału, który go nie wzywa. Za tym człowiekiem poszły jego myśli... I z niepokojem ujrzał wkrótce jakieś pęknięcie w swym rozumie, jakąś szczyrbę, co mu duszę powoli rozdwa. I dziwna rzecz: on, co zawdy czuł się między ludźmi wyższym, wobec tego człowieka nieznanego rodu, co mu się do kolan schylał, widzi się, jako pasterz, który czyni szkodę. Czem go ten człowiek przerósł? — dumał . czem się nad niego tak wy-



wyższy? Czoło jego takie jasne, jakby w słońcu stało, a oczy takie przejrzyste, jak dna jezior czystych. I długo myślał, medytował, przypominał słowa jego, aż po niemałej chwili szepnął:

— Jego miłość większa...

Wyraźnie widział jego serce, jako morze ognia.

— I cóż moje nienawiści...

Po chwili znów dodał.

— U niego się tam poczyna świat, gdzie u innych kończy... Muszą to być krainy dużego poznania... Tyle narodów, powiada, jak o swoich swój. Nie dziwota, że go boli, ale co ja pocznę!

Długo nad tem przemyślał, siedząc na pniu drzewa. Oddalona postać rośla, zdawało się czasem, że się ku niemu przychylił od wierzchołków drzew. To znów widział, zdawało się, jak się przesuwała cicho poza hrube pniaki, a na twarzy przychylonej, ziemistej i szarej błyszczały krople, jak dwie rosy spadłe z igieł leśnych.

Do południa tak zesiedział, dając myślom folgę. Wkońcu powstał, popatrzał po wysokim lesie i rzekł półgłosem:

Darmo! Nie będę ja, to insi...

I jął ścinać dalej.

---

## II.

Jęk był w dolinie, jak za czasów, kiedy stała huta.

Zwierzyna się polękła, potraciła rozum, jakby już przyszedł dla niej ostateczny dzień. Ptactwo się z krzykiem rozlatuje i obsiada jedle, poostałe po wrębach z wyniszczonych lasów. Wiewiórkami obłęd rzuca z gałęzi na gałąź, dobiegają na kraj zbrocza, na otwarte pole i tu głupieją doznaku, nie wiedząc, co począć. Nawet zająca, który twardo sypia, obudził hałas lecący po drzewach. Przeciera łapami oczy i, widząc uciekające, zrywa się w strachu wielkim.

— Co to?

— Ścinają las!

— Można się jeszcze przespać — mruknął — zanim do mnie dotną...

I ułożył się na nowo, ale nie mógł usnąć. Obawa go nachodziła, by nie zaspał czasu. Wstał

i pomknął się od huku o jakie dwadzieścia susów.

— Teraz mi bieda nic nie robi. Psa nie słychać znikąd...

Lis, przezorniejszy, jak ino posłyszał pierwszy hałas w lesie i wymiarkował o co chodzi, uczynił prędko naradę małżeńską, i uradzili się z lisicą, aby się przenieść do innej uboczy.

— Zawdy bezpieczniej zawczasu...

Sam poszedł pomiędzy trawy, wyszukał kryjówkę, a lisica tymczasem przewłóczyła młode. I zabrali się z kretesem; kości tylko ostawione świadczyły, kany było ich dawne osiedle.

Przezorność nie zawadziła, bo las umniejszał się z dniem każdym.

Już białe smreki zaścielają ubocz, jak szereg trupów olbrzymiego wojska, odartych z broni i odzieży. Rakoczy tnie, aż echo odbija się o przeciwległe zbocza; tnie z okrutną zawziętością las, a w sercu płacze... Spochmurniał, zczerniał, jak ten człowiek, który pełni zbrodnię.

Wiezorami dumął długo, siadując na progu. Myśli i oczy jego przyciągała ta ubocz nieszczęsna, którą musi ciąć, jak przy niewoli.

— Jedyna ubocz, którą las odziewa. Tak miło było na niej oku spocząć, gdy się weszło w tę pustkę, w ten gołogór wielki. Wnet się ją rozodzieje z zieloności drzewnej, i będzie oczy

straszyć, jak i te wyręby, co się po hańtych zbożach cmentarzami wleką...

Dumając nad tem, winił wszystkich, cały świat w dole ostały. Ale i jemu sumienie nie dało spokoju. Już tyle zbrodni w swem mniemaniu popełnił w tym lesie, że nie wierzył, aby od-tąd mógł spokojnie sypiać. Chodziły za nim wspomnienia bolesne, nie mógł się im nijak ognać. A jedno go najbardziej trapiło. Była to pamięć smutnego wypadku, jaki się zdarzył raz przy starej jedli.

Ścinał długo, a nie spostrzegł, że u samego jej wierzchu w rozłożystych gałęziach było gniazdo orle; dopiero, jak gruchnęła na ziemię, obaczył; wypadły zeń pisklęta, na miazgę stłuczone. Żal mu ołzawił serce na widok, ale jeszcze większą uczuł żalność, gdy po jakimś czasie zleciała orlica i, kołując ponad lasem, szukała oczyma gniazda. Skoro dojrzała nieszczęście, wydała krzyk dziwny, ścinający przestachem krew w żyłach człowieka. Zdawało się Frankowi, że mu na łeb spadnie i wdziobie mu się pomstą do samego mózgu. Stał w niemem oczekiwaniu, jak po wielkiej zbrodni, gotów ponieść wszelką karę i największą, byle nie czuć w sercu swoim winy. A orlica, gnana bolem, wzbiła się wysoko i, kołując nieustannie, krzyczała, jak dziecko, jak małe niemowlę człecze, kiedy się w płaczu doznaku zapomni.

— Uli! Uli!

Słychać było ten lament przez cały dzień, nazajutrz i w następne święto. Nie wiedział zresztą, jak długo, bo już i tydzień minął, a on słyszał to wołanie ciągle.

Zbaczyła mu się teraz przypowieść nieznanego. I ten człowiek z dnia na dzień stawał mu się bliższym, choć go już potem długo nikany nie widział.

Djabła spotykał w lesie, nawet go u siebie gościł. Ale snąc i ten nie lubiał w domach bывать, bo mimo, że z dnia na dzień obiecywał zajrzeć, nie zachodził, i pewnie nie pokazałby się był do ostatka, gdyby go była bieda nie doznała.

Nadeszła lić, przez trzy dni deszcz lał bezustanku, zdawało się, że potop drugi na świat przyszedł. Rakoczy nie opuszczał swojego schroniska, ale, co chwila, wyzierał na pole i patrzył po jednakiem, ołowianem niebie, wyczekując z utęsknieniem, rychło się te chmury przedrą.

Wody buchały na dół roztokami z takim warczeniem i wściekłością, że widziało się, iż brzegi poszarpią i skały zdrapią do imentu. Na trzeci dzień deszcz polżył, ale wody nie opadły z sił, jeszcze mocniej targały brzegami.

Nad wieczorem Franek wyszedł, zaodziawszy smrekową skórę na ramiona, i chodził w deszczu jak płanetnik, wzdłuż rwącej roztoki, przypatrując się zapasom rozwścieklonych fal,

które dzierżyły w znojnych dłoniach połamane drzewce i dźwigały na grzbietach, okrytych pianą, straszne, potworne pnie, wyrwane z brzegu.

I błądził ponad wodą w zapatrzeniu ciągłym, aż chmury nocą opadły ku ziemi; wtedy wrócił do koleby, rozpałił ognisko i począł się ogrzewać, siedząc przy nalepie. Ogień trzaskał, pożerając bukowe gałęzie, iskry wylatywały z dymem pod samą powałą. Ogrzał się i począł myśleć o jakiej wieczerzy. Wtedy to niespodzianie zaskrzypiały wrota, i wychyliła się z poza nich twarz dobrze znajoma: strach był w niej i śmiech, dziwnie podobny do płaczu.

— Wejdźcie dalej! — poprosił Rakoczy.

— A nie będzie wam za przeszkodą?

— Co se też myślicie? Przecie ja tu sam, i zecnać mi się chce na piękne. Od trzech dni już pokutuję... Ale, bójcie się biedy, człeku, kany-żeście wy tak zmokli?

Djabeł się uśmiechnął gorzko. Cała odzież na nim była do nitki przemokła, z włosów, pozlepianych, ciurkiem woda się toczyła. Nie mógł się nijak poruszać, bo wszystko przylgnęło na nim jak lepka smoła. Gdzie stanął — stawek utworzył się z wody.

— A grzejcież się! — wołał Franek — bo was zimnica roztrzęsie...

Djabeł, klepiąc zębami, zbliżył się ku nalepie.

— Wierzcie mi, moiściewy — począł się tłumaczyć — jaby was tu nie napastował, nie, ale mi ognia brakło...

— To czemuście odrazu nie przyszli?

— Kiedy tak... Myślałech se, że to wnet ustanie. Że to może jako przetrwam... A ono nie i nieporada doczekać się końca.

— Kanyżeście nocowali?

— Hań, w jedli, pod Czeską... I godne było jeszcze spanie, pokiela w środku było sucho. Bo jedla hruba, wypróchniała doznaku na wewnątrz. Ale jak z dołu namokło i z góry poczęło kapać, to już nijakim sposobem nie dało się wybyć. Telo płaci, cobys i na deszczu stał, jednako zmoczy.

Obracał się przy nalepie, susząc się dokoła. Para z niego szła, jak dym z pniaka zwilżonego słotą, gdy się go zatli od wnętrza wywie-trzałą hubą. Skoro się już osuszył, cofnął się ku ścianie i, stojąc w milczeniu zdala, śledził oczyma ziemniaki, które Franek mieszał w ogniu bukową gałęzią. Widząc to, Franek poprosił go zaraz, aby sobie wybierał, które się upiekły. Ale Djabeł się ociągał.

— Cóżby wam ostało?

— O mnie sie już nie turbujcie. Przecie nie ostatki...

Wtedy się zbliżył nieśmiało i począł wyjmować. Nie wybierał, ani szukał, które upieczone, nieoskrabywał, ani soli nie używał do nich, ale brał skraja bezustanku i połykał prędko, dusząc się, parząc, wykrzywając twarz na wszystkie strony. Oczy mu nabiegły łzami, czoło i lica krwią. Wnet powyjmował wszystkie, do jednego i, obaczywszy, że już niema, obejrzał się z przestraczem na Franka, który stał z gałęzią w ręce i smutno mu się przypatrywał.

— Zaczekajcie — szepnął Franek. Skoczył w kąć chałupy i wyniósł w troku chazuki dwa razy tyle ziemniaków. Rozsypał je po węglach i, dokładając drew do ognia, dymiącego z boku, rzekł:

— Wnet się upieką.

Djabeł w milczeniu stał i czekał, a potem już dużo wolniej wieczerzał przy Franku, starając się zatrzeć jako poprzednie łakomstwo.

— Bo czasem — mówił — to sie ta i nie je... Najgorzej, jak słota padnie. Wtedy znikąd nic...

A Franek jął go przyośmielać, wypytując frasobliwie o wszystko, co go trapiło. Wkońcu zagadnął:

— Moglibyście u mnie dłużej ostać. Byłoby i wam lepiej...

— Kiedy sie boję...

— Czego sie macie bać?



Djabeł sie przychylił ku niemu i, zniżając głos do szeptu, począł:

— Tam ludzie chodzą, wypatrują, mogliby mnie podejść. Ja odnajdę, wyszukam, a oni mogą przyjść, wykopać i zabrać, jak swoje. Trza dniem i nocą wysiadować, pilnować uparcie, aby każdy widział dobrze, że sie nie dam zegnać. Bo łakomstwo, to gorsze, niżby se kto myślał. Ono sie i zdrady chwyci, jak bedzie potrzeba. Niejeden śmieje sie z tego, co ja opowiadam, a pocichu przedumuje, jakby mnie tu ubiec. Wy nie znacie, nie wiecie, jaki to lud chytry. Oni mnie tak pilnie śledzą, jak te psy zająca. Taki Cyrek, naprzykład... Krok w krok za mną chodzi. Skąd on na to czas bierze? Powiedzcie... Kany ja zajdę, tam i on. Co ja go też razy spotkam! A zawdy, jak mnie ujrzy, udaje, że czegoś szuka. Ale czy to ino on jeden? Oni sie wszyscy na mnie zaprzysięgli... Tak, tak... Dziękuję za dobre słowo, ale wam nie przyobiecuję. Bo tam jest czego pilnować. Ho! — podniósł w górę oczy — są majątki, o jakich ucho nie słyszało. Ino sie trza umieć dobyć, trza wiedzieć kany ich szukać. Bo są i miejsca bałamutne, które głupich zwodzą. Sto razy można przejść i minąć, a nic sie nie uwidzi. Ja ino wiem o miejscach, ale mnie nie zdradźcie...

Przytoczył gnatek ku nalepie, siadł nisko i, przychylony, począł Frankowi opowiadać.

Dźwigał się do jego ucha z tajemniczym szeptem abo opadał i mówił jakoby do siebie. Gorączka nim owładnęła, jakiś obłąd dziwny. Śmiech i przestrasz naprzemian chodziły po jego twarzy.

— Niedaleko pod Czeską jest pniak wypróchniały, a pod tym pniakiem, siedem łokci w ziemię, znajduje się pełny kocioł srebra... Nie wierzycie mi? Idźcie kiedy w nocy, a obaczycie już zdaleka, jak się biało świeci. Bo co noc na tym pniaku srebro się przesusza. Ale niech was Bóg uchroni nablizać się wtedy...

Przestrasz mu z oczu patrzył, kiedy mówił dalej:

— Ja taki śmiały był, zem podszedł. Alem się zaprzysiągł, że się już więcej razy na to nie poważę.

— Cóż was takiego spotkało?

— Czy ja wiem! Do dzisiejszego dnia nie umiem nazwać, co to było. Ni ptak, ni zwierzę, ni jaka potwora... Wyleciało z takim szumem, zem się ledwo od wiatru na nogach utrzymał; jużem też nie czekał dłużej, bo mnie strach ogarnął.

Po niedługiej chwili zaczął:

— Wiem o jednym miejscu, kany jeszcze oko ludzkie nie stanęło zbliska. Jest tam buk, okręcony dookoła jedli. Tak się trzymają w uścisku, jak brat ze siostrą, abo inaczej, bo ja nie wiem — dość, że razem rosną. Pod tym bukiem jest garnek, przykryty skrzyżalą, a w tym żeleźniaku

pełno okrągłych dukatów. Czy wy to miarkujecie, jakie tam bogactwo! Cały kraj mógłby za to nabyć, i ostałoby jeszcze na dnie na jaką złą godzinę... Uważcie! Ale jeszcze bogatszy skarb jest w owej dolince, o której wiecie, bo ja wam powiedział. Co ja też razy tamtędy przechodził! I nigdy mi na myśl nie wpadło... Aż jednego dnia idę z góry, a tu ziemia dzwoni. Staję, słucham — dyc wiecie, boście na to przyszli. Dopierom potem poznał, że to jest miejsce, któremu tyle lat szukał po wszystkich uboczach. Jest o niem dużo różnych opowieści. Jedna powiada: Jest tam kłoda, pod tą kłodą strzelba, a od tej strzelby na sto kroków znajduje się kamień, a z pod tego kamienia prowadzi wchód, jak do piwnicy, prościutko do schowu... To ino nie wiadomo, która to ta kłoda, bo ich tam jest niemało, a wszystkie jednakie. Ale to tak: kto jest godny, to ją wnetki najdzie, a kto nie, choćby ją i naszedł, to mu się w oczach straci. Ja też, niewyczytający, suszę siedem dni co tydzień, a co ósmy, to nie jem. Może dostąpię kiedy tego szczęścia...

Oczy mu zaszły mgłą, i kiwał się na gnatku, dumając.

— Wiecie wy — zaczął znowu — jaki mię wypadek trafił?... Wychodzę raz na Turbaczyk, było to w południe, i napotykam u wierchu mały otwór w ziemi, zdawało się, lisia jama — ale nie dowierzam. Juści próbuję stopami, ziemia

sie usuwa, i wnet sie odkryła przepaść. Zazieram do wnętrza, a tam schody, jakby do piwnicy. Ja też, nie wiele myślęcy, ułamał gałąź na drzewie, natopił smoły i oblał ją dokoła; zapaliłech na jednym końcu, jak świecę, a drugi wziąłech do garści i schodzę. Tych schodów było dość niemało, alem nie rachował. Skorom już ostatnie minął, słyszę szmer podobny, jaki potoczek wydaje, kiedy płynie przez wysoki las. Co to może być? dumam, postępuję naprzód i przekonuję sie, że to nic inszego, ino woda tak szmerzy i tak se szeleści. Przyświecam bliżej ku tej rzeczce — widzę na niej kładkę. Próbuję nogą, ale drewno, zbutwiałe widocznie, rozsypało sie jak próchno. Cofnąłech sie zaraz, świecę dalej popod nogi — napotkałech nóż. Bierę do rąk, opatruję, trzonek sie rozleciał, a żelazo pozostało, rdzą zjedzone mocno. W te razy łuczywo zgasło — wiatr taki dmuchnął, że mi od lodu zęby ścierpły. Strach mnie okropny porwał — do dziś nie wiem, jakem sie znalazł na wierchu.

Franek, który przy wyliczaniu przez Djabła miejsc, mających skarby, zdawał się, przytakując, o czem innem myśleć, ostatniej opowieści słuchał z ciekawością i patrzył pilnie w oczy mówiącego. A gdy ten ustał, zagadnął:

— Co was tam ciągnęło w ten loch?

— Czy ja wiem! Ciekawość ludzka...

— Byliście tam potem?

— Nie był...

Franek długo przeżuwał myśli, zanim spytał:

— A nie wiecie co o tym kamieniu, co na czole Turbacza spoczywa?

— Ho! — odrzekł z tajemniczym uśmiechem na twarzy. — Żeby ten skarb wydostać, co tam pod nim leży!... Ale to nieporada, sam Lucyper strzeże. On przyniósł ten kamień z Rzymu i mocno przycisnął. Są tam na nim litery, których nikt nie zgadnie. Kto je będzie znał odczytać, temu się otworzy. Ale taki się nie znajdzie...

Zamyślił się i szepnął pocichu, jak we śnie:

— Tam jest skarb, o jakim ucho...

Rakoczy widział, że się więcej od niego nie dowie. Przygotował mu posłanie i sam już dumiał o spaniu. Przyszło mu jeszcze na myśl...

— Nie widujecie wy człeka, niedużego wzrostu, w płóciennem, szarem odzieniu?...

— To Cyrek! Przecie ja wam opowiadał o nim, jak mnie wszędy podpatruje...

— Kanyż on mieszka?

— Czy ja wiem! Powie to człekowi? On się tak umie ukrywać, jak ten kun przebiegły.

I począł rozpowiadać na nowo obszernie, jakiego ma prześladowcę w tym cichym człowieku. Rakoczy usnął już, a ten się skarżył, i kto wie dokąd i jak długo, bo rano nie mógł się dowiedzieć. Gdy się obudził i rozejrzał, Djabła już nie było. Chmur nijakich na niebie, pogoda, jak

uśmiech; jeno ociekające z ros gałęzie świadczą o niedawno minionej ulewie.

Franek z podwójną siłą zabrał się do pracy. Wyrzuty, zeichłe, powstały na nowo, krzywdy go obstały płaczącą gromadą. Obalając harne smreki, przypominał sobie często słowa tego człeka, którego Djabeł nazwał Cyrkiem.

— Nie mylnie miano — myślał — bo jak cyrek w drzewo, tak mi się wwiertał w mózg pamięcią przykrą. Nawet doznaku nie pojmuję, żeby się mógł inaczej nazywać, niż Cyrek. Mały to robak, ale idzie drzewem i trocini po mału, aże całe zniszczy; nie ostoi się, choćby i najhrubsze, przed tą zajadłą, maleńką owadą. Tak i ten człek nieduży myśli moje trapi. Coś w nim jest, co bezustanku chodzi za człowiekiem. Niedarmo też i Djabeł uskarżał się na to. Dziwne: trzech nas w tej pustce, a już nam za ciasno. I jakże tacy mają między ludźmi żyć?

Próbował się rozweselać, ale się nie dało.

Spodziewał się z dnia na dzień, ścinając zawzięcie, że Cyrek przyjdzie z wyrzutami. Zauważył ze zdziwieniem, jak go niepokoiły: ta szara, ziemna twarz, te siwe oczy, widziane w myślach nieustannie. Ciskał się wtedy i gniewem wybuchał.

— Co on mię ma niepokoić? Czy ja co zawinił? Ścinam, bo muszę, bom dał ludziom sło-

wo. I nikt nie śmie rzec, że jestem słaby, że nie wytrzymam do końca.

— Wolałbym i ja zaprawdę chodzić, jak ten zwierz, po lesie, dumając nad swoim życiem; ale skoro mi tak padło, to się nie oderwę. Jak on śmie nade mną stawać? Mizerna człeczyna... Jak śmie osądzać moje dzieło? Jakiem żywym prawem?

Myślał, że oburzeniem łącno go pokona, i odżenie od siebie tę zmorę milczącą, ale się nijak nie dało. Postać surowa rosła w górę i stawała nad nim. Taki majestat był w niej, jak w tych smrekach, które w milczeniu czekają na ścięcie. Rozchwierutany trwogą i wyrzutami gnębionym, począł nareszcie pragnąć, by go ujrzeć i wypowiedać się z czynu, jaki pełni po niewoli własnej.

— Powiem mu, że sam boleję, niech się już nie gniewa. Bo gorzejby jeszcze było, jakby insi przyszli. Ja przynajmniej ochraniam niedorośle drzewka, tak uważnie obalam poderżnięte smreki, aby padając, nie połamały ich, baczę też przedtem, czy niema gniazd jakich, na wszystko daję poziór i chronię, co mogę; a insi by szli, jak burza, która wszystko niszczy. To mu powiem. Niech dłużej nie chowa urazy. Żeby ینo wyszedł ku mnie.

Zdarzyło się raz we święto, gdy nad wieczorem błakał się po lesie, iż sam zniecka

nadszedł Cyrka. Stał on przy jakimś kopcu niskim i, nachylony nad ziemią, zdawał się nie widzieć Franka, aż ten przywitał go nieśmiało, wtedy podniósł głowę.

— Nad czym-że to tak dumacie?

— A tak se ta patrzę...

— Widzę, mrówki was zajmują?

— A zajmują... bardzo.

— Cóż tam u nich ciekawego?

— No dy chodźcie bliżej...

Usunął się i odsłonił ruchliwe mrowisko.

— A tu drugie — wskazał ręką na sąsiedni kopiec.

Franek przyglądał się zbliska i udawał mimowoli ogromne zajęcie. To się, widać, spodobało Cyrkowi, który śledził z uwagą twarz jego i, przysuwając się, szepnął:

— Widzicie, jak one żyją... rozumniej, niż ludzie.

Po chwili dodał dużo miłszym głosem:

— Co ja im sie tu napatrzę, a nigdy mi sie nie cnie. Zawdy coś nowego znajdę w tym ciekawym świecie. Jakie one mają piętra, przypatrzcie sie dobrze, co tu trza było roboty, a zmysłu dużego! A jak one roboty dzielą między siebie... Te budują — mają, widać, talent do budowy; te obrabiają zgrabne belki — to są, widać, cieśle; a hańte zwłóczą zewsząd drzewo, piasek i kamienie. A są jeszcze i pomocnice,



które pomagają tamtym, aby prędszej robota szła; widzicie, jak podają belki i wynoszą w górę piasek, ziemię, co potrzeba. Abo lecą naprzeciw tamtych, co zwłóczą materiał z pola i, jak widzą, że której ciężko, to dospomagają; jedna bierze za jeden koniec, druga za drugi, i niesą. Tak się wzajem krzepią.

Franka począł ciekawić ten rozumny wykład, przypatrywał się uważniej i sprawdzał oczami słowa, zachęcając pytaniami do dalszych wywodów. Cyrek się też nie dał prosić, rad był, że go Franek słucha z podziwieniem w oczach, i prawił dalej, pokazując:

— Widzicie tę mrowczycę, tu, niedaleko od kopca, na końcu wystającej do góry gałązki? Stoi na samym cypelku, a jeszcze się na zadnie nogi wspięła. Wiecie, po co aż tam wyszła?

— No?

— Stoi na warcie... Nie widzicie, że tam jest obce mrowisko? Nie jedna, bo ich jest więcej. Wypatrują pilnie i, jakby ino jaka zdrada, zaraz dają znać. I z tamtej strony tak samo. Ale zbliżcie się prędsziutko i patrzcie uważnie, bo teraz będzie ciekawa historia. Widzicie: z góry idzie chrząszcz wąsiaty, prosto na linię, która odgranicza oba państwa. Dojrzały go już strażę, jedna leci wartko do mrowiska, daje znać, patrzcie, część porzuca robotę, idzie za nią, zbliżają się prędszo do granicy. Ale i z tamtej strony

idzie oddział równy, i tam już, widać, dali znać zawczasu. Poczyna się utarczka... Te chcą go zabrać do niewoli, i tamte nie opuszczają swego — te ciągną za nogi z jednej strony, a tamte znowu z drugiej. Chrząszcz biedny zapiera się wszelkimi siłami. O, znowu oddział przychodzi na pomoc... i z tamtej strony równie! Bedzie walka. Widzicie? Patrzcie, jak się kotłują, i spychają, i gniętą dookoła niego. Coraz nowe oddziały spieszą ku granicy. Już gorączka wojenna owładnęła niemi, w mrowiskach zamęt wielki, praca pustała. Ta, patrzcie, niesła belkę, rzuciła ją po drodze, i pędzi, co ino sił, swoim ku pomocy... No, już dość, mogłyby się poniszczyć na piękne. Szkoda strat, niech se raczej pilnują swych robót.

Mówiąc to, sięgnął smrekową gałązką, wyjął z pośród nich chrząszcza, i odrzucił na bok.

— Odejdzie cie ochota po granicach chodzić... Teraz patrzcie... Zdumienie ogarnęło rzesze. Rozbiegają się prędko, jak w oszołomieniu.

— Pewnie myślą — rzekł Franek z uśmiechem — że sie stał cud?

A Cyrek na to zadumał się chwilę i szepnął cicho, patrząc w ziemię:

— Kto wie, może i tak myślą...

Prędko jednak wyrwał się z zamyślenia swego i jął Frankowi opowiadać dalej o ich obyczajach różnych, którym się napatrzył.

— A wiecie, jak one się witają ze sobą? Jak się dwie spotkają w drodze, to się wzajemnie trącają różkami. A chodzą zawdy jedną ścieżką, jak ludzie gościńcem. Jak natrafią na wodę, to próbują z brzegu, czy nie zagłęboko; bo jak się nie da przepłynąć, to szukają mostu. Za taki most, to im nieraz służy patyk albo źdźbło rzucone. One se ta zawdy jakoś umieją poradzić. Teraz wam powiem naostatku najciekawszą rzecz. Wiecie wy, że one se chowają krowy?

— Co mówicie? — roześmiał się Franek.

— I doją je, i mają mleko... Bajek wam nie pletę. Dyc się przyjrzyjcie mrowisku, obaczycie wnetki, że są tam skrzydlane mrówki, które nic nie robią. To są, wicie, te ich krowy...

— Jakimże sposobem?

— Pytacie się, jak je doją? Juści, że nie tak jak naskie. Łechcą je różkami po plecach, a te im wydają w bańkach białą, jak mleko, ciecz, którą bardzo rade ssią, a zwłaszcza młode, bo starsze zaś to chciwsze na owadzią krew.

— No powiedzcie... A jakże-ście wy na to przyszli?

— Ba, czy ja to nie mam czasu patrzeć? Świat mnie zajmuje. Na to oczy, aby go człek poznał.

Po chwili zaś, na odchodnem, dorzucił po cichu:

— Nie łatwo, bo i oczami trzeba umieć myśleć...

Franek przybaczył, że to zdanie już od Cyrka słyszał wówczas, kiedy ten wyszedł go namawiać, aby przestał ciąć. Zbaczyło mu się i owo milczące odejście. Począł, postępując obok, przyzierać się twarzy Cyrka, czy nie dojrzy cienia wzgardy, jakaby mógł chować w sercu, nie okazując po wierzchu. Ale nie widział poszlaku i nie umiał zgadnąć. Twarz była ziemista, szara, osłonięta smutkiem, jak rola sucha, dawno poorana, gdy ją wieczorna mgła oprószy; oczy z niej wyzierały, jak dwa stawy, które opar zamglił. Takim szarym smutkiem pola popatrzał na Rakoczego, kiedy go ten, nie mogąc niepewności żywić, zagadnął:

— Nie chowacie już do mnie urazy?

— O co?

— Że ścinam ten las...

— Nie... bo wiem, że to nie wasza wola. Ino mi żal stworzenia, co marnieje przez to...

— Wiercie! że mi do płaczu przychodzi, jak se o tem zbaczę...

— Tak to niewolnemu człeku...

Zadumali się oba i stali w milczeniu. Pierwszy Cyrek podniósł głowę, obejrzał się za słońcem, schowanem za wierchy, i ozwał się z westchnieniem:

— Ha no, bądźcie zdrowi...

Franek, jak zbudzony ze snu, spytał:

— Dokądże idziecie?

— Do chałupy — odrzekł Cyrek z żalnym uśmiechem.

— Daleko macie?

— Jak czasem...

Franek się zmiarkował. Ale Cyrek dodał jeszcze:

— Źle w jednym miejscu ostawać, bo człowiek przywyka. Potem żal, jak musi odejść. A mnie raz tak padło...

— Nie zajrzycie do mnie kiedy?

— Będę widział, jak czas powie.

— Wpadnijcie na wieczór.

Podali sobie ręce i rozeszli się w pogodzie. Franek aż lekcejąco stąpał, że się pozbył winującej myśli, która mu każde cięcie smreka odbijała w mózgu.

— Teraz już różniej pójdzie robota — pomyślał — byle ino deszcz nie odganiał za często.

I zajęczała na nowo dolina, każdy pniak oddawał echa uderzeń siekiery. Zdawało się, że stu ludzi tnie tę ubocz leśną. Smreki padały z trzaskiem, jakby je piorun obalał.

Franek, łupiąc za świeża obalone drzewa, ocierał często rękawem pot z czoła i spoglądał z utęsknieniem ku górnej uboczy.

— Jeszcze do wierchu daleko...

Sporo czasu minęło, odkąd zaczął ciąć. Wiedział mu się, że się wnet upora, a tu się wlecze, jak to życie strapionego człeka. I coraz ciężej, dni ubywa, a końca nie widać.

— Czy ten las przyrasta w nocy? — pytał się ze złością.

Z początku ponaznaczał siekierą na drzewach, gdzie na jaki czas ma dociąć; porachował dni, tygodnie do czasu oddania pracy i rozłożył je linią wzdłuż całej uboczy, wyłączając z rachuby święta i niedziele. Pozostawił też, jako człek przewidujący, parę dni luźnych na przeszkody. I tak się zabezpieczył od ducha lenistwa, gdyby go miał ochotę kiedy napastować.

Ale ze smutkiem postrzegł niezadługo, że się dni kurczą, a ubocz wyciąga. Znaki się pociąły i utraciły moc nawoływania, cały ten powróż, idący do wierchu, stargał się, nieporada powiązać go na nowo. Włączył nadwyżkę dni, ale na darmo; widział, że jeśli sił nie zdwoi, to nie zetnie na czas.

— Taka twierdz, jak żywa skała. Rąb i rąb, a nie ubywa.

A było jeszcze jedno z powolnych utrapień, coraz to natarczywiej nachodzące duszę, czego jednak nie chciał widzieć i krył sam przed sobą. Była to powstająca tęsknota za ludźmi.

Zrazu nie mógł uwierzyć. Przecie od nich uciekł i szukał miejsca, gdzieby ich nie było.

A potem rad był, że ich ostawił w dole razem z gwarem i że odetchnie piersią pełną, nie czując ucisku. Nie była to przecie złuda, bo, gnany tą jedną myślą, wszystkiego odniepadł...

Z tęsknoty owej wstawało cierpienie, kiedy pomyślał o Hance. Z początku gniew na ludzi zasłaniał mu jej postać, potem obawa, co jej powie, gdy spyta o wypłat, oddalała chęć widzenia jej. Postanawiał, że wówczas obaczy się z nią, kiedy zetnie tę ubocz i stówki otrzyma. Ta myśl będzie mu jeszcze podwajała siłę. Sądził, że ten czas spłynie, jak fala roztoką. A tu końca nie widać, doczekać się trudno, a tu się cnie...

I coraz częściej widywał ją w myślach i coraz bardziej tęsknił za jej głosem. Czasem robotę przerwał, stanął, słuchając uważnie, czy nie usłyszy jej wołania skąd... Ale jeno dzieciół z lasu odpowiadał kuciem.

Wtedy go żal ogarniał, i szeptał z wyrzutem:

— Mogłaby przyjść... przylecieć choć na małą chwilę. Musieli jej ludzie donieść, gdzie ja się podziewam.

Raz mu przyszło na myśl, czy nie chora... I odtąd niespokojność rosła w jego sercu, stawała się z dniem każdym coraz dokuczliwszą. Chwilami nawet nachodził go lęk.

— Kto wie, co tam może zaszło. Tu nikt nie doniesie...

Postanowił w najbliższe święto zajrzeć na dół do wsi.

— A jeśli jej nie obaczę, to sie choć dowiem jak sie jej powodzi.

I takim niepokojem ciężkim obarczony, kiedy schodził raz ku wieczorowi z uboczy leśnej, napotkał przy samej drodze podletnią niewiastę, która zwłóczyła gałęzie z cetyną. Rozradował się na jej widok i, choć ją mało znał, bo wiedział tylko, że jest wdową, a ludzie ją zwyczajnie Teklą nazywają, przywitał ją serdeczniej, niż swoją własną chrzestną matkę. Usiadł koło niej na pniaku i jął się zaraz rozpytywać.

— Cóż tam słyhać w Przysłopiu?

— Jak zawdy... Biedy kroćsetnej moc i tyle.

— A ludzie zdrowi?

— Chwała Bogu. Nikto haw nie umarł. Niektórzy ino chorują...

Franek namyślał się chwilę, jak ma dojść do Hanki.

— Siostry mojej nie widzieliście? — zapytał.

— Ba! Byłabych se doznaku zabaczyła. A to przecie wy nie wiecie, skoroście tu w lesie...

— Cóż takiego? — z niepokojem spojrział.

— Cóż takiego... Wybiła swojego chłopca i teraz go leczy!

— Kto?



— Dy nie kto, ino Zośka...

— Moja siostra? — roześmiał się. — Jakimże sposobem, o co? — Bo mi sie nie chce wierzyć...

— Przyszło między nimi do wymówek... o co to wam już nie powiem, bo jedni tak gadają, a drudzy inaczej. Podobno o jakiś wypłat. Ale mi to cudno było, bo przecie sióstr niema więcej, a wam sie połowa patrzy, jako jedynemu. Nie słychać też było znikąd, żebyście w niezgodzie żyli...

— No i cóż dalej? — przerwał.

— Dyc opowiem. Przyszło zrazu do wymówek, a potem z tego do tego, nareszcie do bitki. Musiała go i ona niemało napalić, kiedy Jędrek, człek spokojny, a zdołał podnieść rękę...

— To on ją pierwszy uderzył?!

— Juści podobno on. Kłapnął ją ta, powiadają, cosi po ramieniu, a ta wtedy, jak nie skoczy, jak nie porwie laski z młynka!... „To ty, powiada, niepilaku, śmiesz na mnie rękę podnosić?! A dyc ty mi za pasterza niegodzienneś służyć“... I sprąta, jak sie należy, a potem wypchnęła za drzwi. „Idź, powiada, kany chcesz, niech cię oczy moje nie widzą“.

Rakoczy śmiał się głośno, przechylając głowę.

— No patrzcie... Ani bych se nigdy nie pomyślał! Taka sie wydawała przy nim bojaźliwa...

— No dy widzicie, co to gniew potrafi.

— I jakże sie zgodzili?

— Tego nie umiem powiedzieć. Podobno nasyłał brata, i błagał na wszystko w świecie, żeby go przyjęła. Obiecował se śmierć zrobić. Powiada: „Wezmę kopaczki i zakopie się“...

— Cha! cha!

— No i ona gwoli tego, żeby obrazy boskiej nie było, dała się wreszcie upytać.

— Tak się zwykle historie kończą na tym padole... No, i cóż tam więcej słychać?

— O was opowiadają...

— Aha, cóż tam o mnie opowiadają?

— Przeróżnie. Jedni mówią, że was jakaś planeta pojęła...

— Ci się nie mylą.

— Drudzy, że wam za ciasno było przy szwagrze...

— I ci się też nie mylą.

— A insi znowu, ale to z zazdrości, bo sami pewnie chcieliby zarobić...

— Cóż takiego? powiedzcie.

— Że was rozum odszedł.

— Znać, że Suhaj żyje jeszcze... Widujecie go ta czasem?

— Nie widuję prawie. Ja ta nie idę do urzędu, bo i nie mam poco, a do mnie też ta...

— A od wójta spotykacie kogo?

— Wiem już, o co wam zachodzi... Ja wam, moiściewy, nie umiem powiedzieć ani tak, ani owak, bo Hanki nie widuję, jak ino w kościele.

Ale bywa, widziałaś ją w ostatnią niedzielę, wystrojona, jak zawdy, i nie znać po niej, żeby zbiedła.

Franek odetchnął spokojem.

— Ino wy sie nie oddalajcie bardzo — szepnęła, podchodząc bliżej — bo tam podobno trafiają sie insi...

— Któż taki?

— Ja ta nie wiem, taka słyna idzie. Ociec pono powiada, żeby ją rad wydać, a ludzie sie zlatują, bo i jest do czego. Rola, jak plebańskie pola...

Po chwili dodała:

— Podobno Michał od Cichańskich zaskradła sie koło niej...

— Ten woli łeb?! — zawołał Franek. — Jakżeby on śmiał? Rozumu nie ma za grajcar...

— Ale za to majątku będzie miał za dzie sięć stówek...

— Widząc, że go zmartwiła niechęć, poczęła się wymawiać.

— Ja ta nie wiem, może to i bajtki...

— Nie bedziecie wy na dole? — zapytał po chwili. — Możebyście byli dobrzy obaczyć sie z Hanką i powiedzieć...

— Dyc wy sami możecie ją widzieć.

— Kiedy nie schodzę na dół.

— Ale tu, na borach... Już wczora zaczęli

kosić, a jutro, jak da suszyć, będą składać kopy. Mają tam i Sołtysowie, bo to wspólne łąki...

— Skoro ja we dnie czasu nie mam...

— Ktoż wam o dniu gada? Przecie nocą się gromadzi cała młodzież ze wsi. Nie pamiętacie to?

— Prawda! Jak ja se zdołał zabaczyć!... Przecie to bory siekają!

— A i ona lubi tańce, niezawodnie będzie.

— Tak, tak... Dziękuję, żeście mi zbaczyli. Bory siekają... — powtarzał, przywodząc na pamięć zapomniane obrazy nocy księżycowych.

Tekla związała tymczasem gałęzie powrozem i zarzuciła je na ramię.

— Ostańcie zdrowi...

— Z Panem Bogiem — pożegnał ją Franek. — A przyjdźcie kiedy, to wam naostawiam najparadniejszej cetyny!

— Tak, wicie, sama muszę odganiać tę biedę...

Mrok już owinął drzewa, rozwlókł się po ziemi, a Franek jeszcze siedział na pniaku, dumając. Zastanawiał się i nad tem w rozumie swoim, co mogło siostrę przywieść do takiej odwagi. Przecie ją znał inakszą, niemającą woli... Musiała zrozumieć krzywdę po jego odejściu. Ujęła się widocznie za nim, a jak śmiało!

To życie ją zmieniło i starło całkiem odmiennością, jaka w niej była, jaka mogła być.

Mogła ostać orlicą, a ostała kurą. Co kto woli. Niewiasty wybierają drugie.

Myślał o wszystkim z umysłu, byle odegnać to, co go najbardziej dotknęło. Ale ono powracało zwiększonym przez wyobraźnię oburzeniem serca. Jak śmie taki człek niemrawy sięgać po jego Hanusię? Jak śmie nawet o niej myśleć? A choćby to nie było prawdą, to już samo gadanie o tem może gniew rozjarzyć.

— Suhaj, widać, w myślach swoich wyszukuje zięciów i rozpowiada bajtki ludziom, aby jarmark powstał. Wie, że na ludzi trzeba dzwonić, choć i do kościoła... A kto wie zresztą — myślał — może i ona zcyganiła, nie mając nic innego do opowiedzenia.

Uspokoił się w sercu pomału, bo i czemu nareszcie miałby się trapić? Czy to Hanusia nie jego? Niech się dobija o nią, kto chce... Ino jak śmie... — szarpało nim, gdy przypominał twarz Michała. Choć to może i nieprawda. Wierutne zmyślenie. W każdym razie postanowił zapytać się samej. Na myśl, że ją zobaczy wnet, odcchnął i uśmiechnął się, jakby witał nadchodzące szczęście.

Wstał i zawołał wesoło, jak wówczas, kiedy pasterzem nawoływał drugich:

— Jutro idziemy na bory!

— Na bory! — grały, powtarzając, echa.

### III.

U stóp wstających stromo zboczów, gdzie już osiedla ludzkie nie dochodzą, ciągnęły się ściśnione ugorami łąki i dobiegały szyją aż do wąskiej bramy, która zamknęła kotlinę. Staczając się po uboczach, ugorne kamienie zwężyły je i zepchnęły nad samą roztokę, nad stromy, porośnięty jałowcami brzeg. Drzewiej na miejscu tych łąk stały bory; temu je zwano po wszej czas borami; choć z borów nie ostało ani śladu znaku. Podobnie, jak osiedle zwie się imieniem pierwszego właściciela, choćby to imię już dawno wymazane było z pośród żywych.

Drzewiej też one łąki, a inaczej bory, były własnością wspólną rodów, jako, że rody wyszły z pierwszych osiedleńców. I tak było, dopóki rody żeniły się pomiędzy sobą, nie krewniąc się z obcymi z dołu przybyszami. Ale później, gdy nastał dobry czas na córki, a nieurodzaj na synów, i nieporada było dogrodzić się płotów

koło swoich twierdzami stojących osiedli, musiały rody schylić kapelusze i słać nierzadko swaty, kany padło. Powoli bory skrajano na wiana, i tak za czasem przeszły odróbkami do całej prawie wsi. Nie było gazdy w rozległym Przysłopiu, któryby tu choć małej okruszyny nie miał.

Bory te koszone wspólnie i wspólnie siano suszono, a potem, podług uwagi, wiele kto mógłby zebrać z obszaru swojego, dzielono się kopyami. I nikt se nigdy nie krzywdował.

Podczas suszenia, gdy pogoda trwała, schodziła się tu wszystka młodzież ze wsi, cały prawie młody Przysłop, na nocne hulanki. Gdy już nadchodził ten czas, to jakieś drzenie owładowało nieletnim narodem. Pasterze przyganiaли wcześniej bydło z pola, szepty chodziły poza węgły, a córki zwijały się w izbach jak wrzeczona, całkiem podobnie, jak w przeddzień odpustu. Ojcowie już miarkowali, co się na noc święci, i zapowiadali ostro przed każdą wieczerzą, aby się żadne nie ważyło iść z chałupy na te pokusne bezceństwa. Ale skoro ino po wsi przeleciał głos trąby, wywierała się młodzież z pozakładanych drzwi i pędem biegła, nie szukając ścieżek, nicby jej nie zdołało utrzymać na miejscu. Lejące hasło: „Na bory! Na bory!“ działało, jak rozkaz tajny, jak przemocny cud. Po chałupach

ostawali jedynie ojcowie, biadający w cichości nad zepsuciem świata.

Tego lata pogoda szczęśliwie dotrwała. We dnie słońce pomagało suszyć wilgne siano, a noce były księżycowe, białe, jak sny dziecka.

W taką noc szedł Rakoczy doliną Huciska. Wesół był, wiedział dobrze, że przy takim czasie wszystko, co żywe, wylegnie na bory, i Hanusia pewnie będzie. Szedł, jak na wesele.

Księżyc mglistem, łagodnym światłem zalewał dolinę; roztoka w oczach mieniła się srebrem, a poza cienie cichych smreków kryło się milczenie. Powietrzem, jak omamienie, które mgłą na oczy siada, snuła się błękitna przędza, osnuwała zbocza i czarodziejско odmieniała kraj do niepoznania.

W taką noc dziecku zbłąkanemu w lesie otwierają się skarby ukryte pod pniami; w taką noc na stromej skale tajemnego zamku siada z kądzielą zaklęta królowna i, oczekując wybawienia swego, tęskno poziera okiem na dolinę; w taką noc przy cichych stawach, przy zadumie smreków rodzą się, jak mgły z jeziora, nieśmiertelne baśnie.

Rakoczy tkliwy był od czasu na urok księżycy. Szedł doliną lunatycznie, jak we śnie czarownym. Magnetyczne światło nocy spływało do jego duszy, pełnej nadziei miłego spotkania,



i wzdymało przypyływami idącymi w niebo, jak miękką wełnę wód, jezioro cichej szczęśliwości.

Czuł w sercu swoim przepętnię uczucia; tryskało w górę, jak snop wody, rozpryskującej się w djamenty przy świetle księżyca. Budziły się w nim pieśni, przepojone czuciem, które się ujawniały na świat kaskadami słów. Lecz słowa były, jak te krople, nie czyniące dźwięku i przeźrocyste, bez rumieńca, bez złocistych barw. Tęcza od ich prześwietli padała na jego duszę — on sam ją widział i sam słyszał muzykę tych pieśni. Ale wygrać nie umiał zewnętrznemu światu.

Idąc, mówił, jak dziecko, śpiewającym głosem:

— Jest kraj nieznanych cudów,  
Gdzie z białych gór  
Potoki srebrem płyną,  
Doliny śpią,  
A tajemnicze źródła leśne  
Czyszczą ze szmerem przy świetle księżyca  
Połyskujący, złoty piasek.  
Smreki w milczeniu stoją, bez oddechów,  
Jak strażę nocne w przedsieni kościoła,  
W którym za mgławą tajemnic osłoną  
Bóstwo, nieznanne ludziom, śpi...  
A jedle drżą,  
Dygocą łękiem utajonym,

Czy ich nie zdradzi światło białe,  
Które na nie pada;  
Bowiem sięgają białemi ramiony  
W głębie rozpadłych, wąskich szczelin  
I wyczuwają palcami korzeni  
Skryte głęboko pod skałami skarby.  
Albo na ziemię kładą się cieniami  
I, wstrzymując dech, słuchają,  
Co tam w głębi dzwoni.  
A to dzwonią owce białe, idące uboczą;  
Wełna im się zdala srebrzy,  
Jak te włosy fal,  
Wspinających się w księżycu  
Ku urwistym brzegom.  
Przeszły ubocz,  
Już dochodzą pod zamglony wierch...  
A małe jagnię ostało,  
Nie może nadążyć,  
Samo idzie po polanie, zawodzi i płacze  
I woła, woła, by je poczekali.  
Ostatniej owcy grzbiet łysnął za wierchem.  
W głuchej ciszy słyhać jeno ten samotny płacz.  
O kraju! O dolino smutku!  
Tam — przy nieznanem drzewie  
Ukryty drogi skarb,  
O którym nikt nie wie...

Wszedł w wąwóz. Huk roztoki zgłuszył dal-  
sze słowa. Niezadługo minął wąwóz, przeszedł  
wąską bramę i ujrzał się na drodze w przestron-

nej dolinie, wśród ugorów rozległych, na krańcu Przystopia.

— Już niedaleko bory! — szepnął i przyspieszył kroku.

Doleciało go z oddali zawodzenie skrzypiec. Począł dygotać w sercu, drzeć na całym ciele. Ile razy posłyszał kiedy zdala skrzypce, zawdy to drzenie dziwne owładało nim. Nie wiedział jeno, skąd się bierze, jaki temu powód. Może powstaje nieświadomie na wspomnienie chwil, jakie dotąd pamięta z dzieciństwa swojego.

Spał w izbie... Naraz przebudził go widok. Owies zadzwonił na szybach. Skrzypce zajęczały. A on się zrywał: „Tato! tato! kolędnicy przyszli...” I z drzeniem biegł do okna patrzeć na te cuda.

Były to czasy dużej szczęśliwości...

A raz, pamięta, zbudziły go krzyki: „Pali sie! pali!” Wyskoczył na pole. Tłumy ludzi, wieś cała biegła na wierzch Gronia. Pobiegnął i on. A lecąc, dygotał, jak w febrze. Palił się las. Przeróżny widok był, bo zbliżka. Morze płomieni szło uboczą, a dymy, jak chmury ciężkie, wisiały nad ogniem. Ktoś wyniósł skrzypce, grali, tańczyli przy świetle...

I odtąd, ile razy usłyszy płacz skrzypiec, drzenie wraca, jak odgłos potrąconych strun.

— Bo też ino nasze skrzypce tak umieją płakać.

Co on się nasłuchał muzyk po szerokim świecie, i takich i owakich, a przecie żadna nie działała tak, jak one skrzypce. Jest w nich czar, który pada urokiem na duszę.

— O, jak płacze, jak się żali, jak się skarży głośno!

Nietylko słyszy, ale widzi tę muzykę zdala. Idzie, idzie po ugorach, ręce załamała, włosy rozpuściła na wiatr i zawodzi w płaczu, lamentuje, jak zdradzona planetnica leśna. A serce człeku rwie się za nią; trzepoce, jak ptak schwycony, bije skrzydłami i krwawi zasklepioną pierś.

Coraz wyraźniejsze tony szły naprzeciw niego. Rozpoznawał melodje, uśmiechał się do nich. Zbliżał się zwolna ku borom, widział zdala kopy, dokoła nich taniec cieniów, migających w świetle; zdało mu się, że napotkał tajemnicze święto, jakieś pradawne, zabyte duchów pohulanki.

Nadchodząc bliżej, usłyszał niewyraźny śpiew. Słów nie mógł powiązać uchem, ale nutę poznał. Gorączka nim owładnęła, i niepokój parł.

— Kto wie, czy Hanka jest? — pomyślał.

Chciał jak najprędzej ujrzeć i sprawdzić naocznie. Ustawili się prawie do nowego tańca, kiedy stanął za kołem wśród zgrachy ciekawej i począł szukać oczyma Hanusi. Obaczył ją na-

gle i miast roześmiać lice, spłonął, jak podpalony, suchy krzak jałowca.

Na przedzie, przed muzyką stał Michał Cichański, a przy nim Hanka. Dłoń oparła na jego ramieniu...

Obaczył ją tak Franek i zakipiał gniewem, zatrzęsło się w nim serce, zaćmiły się oczy — chciał biec w pierwszym momencie, rozbijać, rozrywać... Prędko jednak opanował naremność szarpiącą.

Poznali go stojący blisko i pytali:

— Cóż was przywiodło ku nam? Tak dawno, jak nie byliście na borach...

Nie słyszał i nie odpowiadał. Przeciskał się przez tłum i szedł milcząco ku muzyce z ogromnym spokojem, jak chmura ciężka, która idzie ołowianą ciszą. Oczyma, jak piorunami, świecił poprzód siebie. Ludzie się rozstępowali i cofali trwożnie.

Raptem Hanka, jakby czuła te oczy na sobie, obejrzała się, a twarz jej, biała przy świetle księżycy, stała się jeszcze bielszą. Z cichym krzykiem, który zmarł na ustach, cofnęła się za plecy swojego tancerza. Rakoczy odchylił go na bok lewą ręką, jak oną gałąź z przed oczu wśród gęstwi. Ten odruchem podniósł pięść w górę, ale, widząc Franka, opuścił ją i trwożnie usunął się w ciżbę.

Rakoczy stanął blisko przed zalęknłą Hanką

i cichym głosem, w którym dzwonił rozkaz, rzekł:

— Chciałbych z tobą pomówić słów kilka.

I wskazał ręką pośród ciżby drogę, którą był pierśią przed chwilą otworzył.

Hanka, widząc w jego twarzy niezwyčajne wrzenie, zawahała się, ale wnetki postąpiła naprzód i, z udaną gotowością, wartko przed nim szła... Stojący zbliżka cofali się na bok i prowadzili ich oczyma, szepcząc między sobą. Michał się już nie nawinał.

Minęli gromadę, zrównali się ramionami i szli w milczeniu po trawniku wśród lasu wonnych kóp.

Franek, zapamiętały w gniewie i wściekłości, chciał ją zrazu pokarać dotkliwie obelgą, ale, nim w myślach słów wyszukał, już gniew zmalął w sercu i słowa one zdały się za ostre. Dobierał inszych, a tymczasem złość go omijała. Miał też czas, idąc przy niej, zauważyć przestrach i drzenie ptasie w jej cichej postaci. Chwiała się wiotkiem ciałem, jak gibrzyna leśna, z której wiatr obrywa kwiecie i otrząsa puch. To go powoli rozbrajało. Długo ważył słowa, i tak w milczeniu doszli razem do ostatnich kóp.

— Powiedz mi — ozwał się Franek z surowością wielką — powiedz mi, ale tak szczerze,

dłaczego tańcowałaś z tym człkiem niemrawym?

Podniosła ku niemu oczy, od których śnieg tajać może, i odrzekła po cichu:

— Bo ciebie nie było...

Nie spodziewał się Franek takiej odpowiedzi. Myślał, że powstanie z krzykiem, z niewieścią urazą i pocznie bronić swobodności swojej... „Cóż mi to nie wolno — powie — tańcować z kim zechcę?” Miał już na te słowa gniewem jarzące, jak iskry rozdmuchiwane wiatrem w spopielennej wiatrce. I teraz wszystkie pogasły odrazu, jakby je nagły pozalewał deszcz. Ona, jak dziecko, które czuje przewinienie swoje, broni się cichym wyrzutem: „Bo ciebie nie było...” I cóż tu na to powiedzenie rzec?

Hanka zaś mówiła dalej:

Takeś mnie ostawił, jak ten pasterz głupią owcę na ugorach w nocy. Ani światełka, ani głosu, ani znikąd nic. Myślałam, żeś już o mnie doznaku zabaczył...

I po licach jej poczęły staczać się, jak tarki, siwe, w świetle księżyca migocące łzy.

Zachwiał się Franek, obaczywszy płacz. Żal naremny potokiem spłynął w jego serce i uderzał o brzegi spienionemi nurty. Ostatki gniewu, litość i miłość bezmierna walczyły w nim i żadne zwierchować nie mogło. Patrząc na jej łzy, cierpiał i bolał okrutnie, a przecie tego nie chciał

jej powiedzieć. Gdzieś na samem dnie serca rwała się, jak pies z uwięzi, chęć torturowania, dręczenia jej i siebie podwójnie za jej ból.

— Co ja się też naczekała! — mówiła w płaczu. — Com się nawyzierała daremno! Kieło nocny nieprzespanych, sam Paniezus wie i Matka Boska Pocieszna, bom się nieraz godzinami przed nią nakłęczała...

Na wspomnienie tych utrapień nowy potok łez.

— A przecie — rozpoczął Franek, gwałt zadając sercu — miałaś czas o inszych myśleć.

— O nikim! Nieprawda!

— Nie gadaliby mi ludzie.

— To ludziom dajesz prędziej wiarę, niż mnie? Teraz, to już wiem, że mnie nie kochasz.

— Hanka!

— Przyczyny szukasz, aby się oderwać, ale ja cię nie związała — mówiła obłądnie — możesz iść, kany zechcesz, ka ci się podoba. Ja ci nie będę zażadzała drogi. Ino skoczę do rozutki i utopię się...

Jakby chciała odrazu wykonać ten zamiar, zwróciła się ku roztoce i poczęła iść. Franek zmartwiały, przeląkł się i zabiegł jej drogę.

— Hanuś! miej rozum...

— Puść mnie! — zawołała. Coraz to większa rozpacz owładła nią.



Ujął jej dłoń i począł z tkliwością przeproszać.

— Daruj mi, bo ja nie wiem sam, co mnie nadeszło. Przecieżem z taką chęcią dążył na te bory! Z taką uciechą wielką, jak do rajów... Ale, gdy ujrzałem obok ciebie ten łeb wyświecony... Daruj mi, bo ja ciebie tak bardzo miłuję, że nie zdołałem letko przenieść, aby taki wół wierutny śmiał o tobie przez moment inaczej pomyśleć, niż jako o wielkiej pani, która patrzy z chmur. Bo wierzaj mi, chciałbym cię tak wysoko stawić, iżby ludzie, patrząc na cię, mrużyli oczy podobnie, jak w obliczu gwiazd. Hanuś, dziecino moja, ustanów się w żalu i nie płacz, bo mi serce doznaku popęka...

Prosił i błagał, nie wiedział już wreszcie, jakimi słowami mówić, by ją ulegować. Przyciskał jej dłoń do piersi, a z taką czułością, jakby żywego ptaszka dzierżył w ręce. I jak ptaszkę, któremu serce bije z trwogi, drżała jej drobna dłoń przy jego piersi.

Ucichła i otarła łzy przyschłe na licach. Ale jeszcze zapaskę trzymała przy oczach i patrzyła z poza niej, jak łaska z poza cienkiej strzechy. Widziała, że już niema znikąd zagrożenia. Milczała jednak, idąc przy nim, jak strapienie ciche; dopiero, kiedy doszli do ostatniej kopy, siadła na sianie, założyła ręce i począła z surowością:

— Teraz ty mi powiedz... Powiedz mi, ale tak szczerze, dlaczegoś nie dotrzymał przyrzeczenia swego? Pamiętasz, jakieś obiecowałeś święcie? Miałeś zaraz nazajutrz starać się o wypłat... Ja cię nie przynaglała, sameś się wyruchił. A potem, co cię opętało złego, żeś uciekł ze wsi od ludzi, jak dzik? Czemuś nie przyszedł, nie powiedział, ani nie dał znać? To ja niegodna, żeby słówko od ciebie usłyszeć?

I nie czekając odpowiedzi, mówiła dalej:

— Wiesz ty, mogłabym umrzeć z turbacji, ani byś o tem nie był wiedział. I jak miałeś sumienie tak mnie poostawić, w takiej niepewności i trwodze? Musiałach się od ludzi innych dowiadować. A myślisz, że mi miło było słuchać, jak mnie żałowali! Abo jeszcze i gorzej, bo się śmiali ze mnie, że za planetnika wyjdę. Powiadali ludzie, żeś się z Djabłem stowarzyszył, i chodzicie razem...

— Ale nie wierzcie ludziom...

— Aha! Tyś nie wierzył? Widzisz, jak my się to zeszliliśmy...

Uczuł się skruszonym i na chwilę nie wiedział, co jej ma powiedzieć. Wreszcie począł:

— Bywają różne przeciwności. Ja natrafił na taką, że musiał cofnąć.

— A powiadałeś, że się nigdy przed nikim nie cofniesz!

— I dosiela powtarzam. Ale bywa różnie;

przeszkody mocne znajdują się i w sercu. Człek musi nieraz cofać się przed samym sobą...

— Tęby nikany nie zaszedł, abo w przeciwną stronę, niż zamierzył.

— Ja też tak — uśmiechnął się. — Zamierzylech iść na dół roztoką, a zaszedłech do Huciska...

— Coż cie tam ciągnęło?

— Bardziej mnie ono pchało, niż ciągnęło. Ale to wszystko jedna siła — dodał — dość, zem się tam niechcący dnia jednego znalazł. I nie żałuję! — począł mówić z wstającym zapalem. — Nadżyje się, co przeszło, wszystko będzie dobrze. Bo może nie wiesz, Hanuś moja, że ją ścinam ubocz?

— Powiadali, ale mi się nie chciało koniecznie wierzyć. Bo jakżebyś sam dał radę...

— Czy ja to nie mocarz? Ścinam już od paru niedziel i raduję się, że wnetki dojdę ku wierchowi. A wtedy se odetchnę szeroko, jak wia-ter, i kiela stówek zgarnę do zanadrza.

— Hej? to ci telo aże obiecali?

— Za cóżbych się mocował z twardemi smrekami? Za jakie tajne grzechy świata? powiedz, Przecie to nie żadna rozkosz, ino męka szczerą. Tak, moje dziecko, tak mozolnie tych skarbów dobywam, o jakich ludzie myślą, że ich z Djabłem szukam. I powiem ci, że choć strasznie

cnęło mi się za tobą, nie miałech postanowienia obaczyć cię wcześniej, aż pieniędzy uzgarnuję...

— Przecie wiesz — przerwała — że choćbyś i goły przyszedł...

— Ale mnie samemu byłoby to nijako. Zresztą, o czym gadać, kiedy i tak bogaczem przed tobą nie stoję.

— Siądź przy mnie — poszępnęła.

Posłuchał jej rady i usiadł ostrożnie z boku, by kopy nie zwalić.

— Czemuż tak daleko? — pytała z uśmiechem. — Boisz się jakiej zdrady? Ja się zaś nie boję...

I przysunęła się ku niemu z wesołością dziecka, obejmując jego ramię splecionymi dłońmi. On jeszcze myślą stał w poprzedniej gwarze i, z tego wierchu pozierając, mówił:

— Wszystko się dobrze złoży, nawet lepiej, niżby się kto myślał. Na jesień ubocz zetnę, zapłatę otrzymam, i będziemy się radzić o inakszym życiu. Już ja się nie dam biedzie ostać na mojem gazdostwie. Bedę ją dotąd prześladował, aż mnie opuści. A jak mi się świat rozwidni, to obaczysz wtedy, co Franek Rakoczy może, jakie cuda działa! Ino ty wierz we mnie Hanuś, bo mi trza koniecznie, aby ktoś we mnie uwierzył, choć jedna duszyczka...

— Twoja! — szepnęła, przytulając się.

— Nie spocznę, pokąd krzywdy nie obalę we wsi! Tak ją będę wycinał, jak tę ubocz leśną.

— Myślałaś, żeś już o tem zabaczył.

— Przenigdy! To ino życie odniosło mie na bok, jak ta fala mętnej rzeki odnosi łódkę rybaka. Ale ja sie wnet odbiję od cichego brzegu i wypłynę na sam środek...

— A jak cię topielec wciągnie?

— Topielców już niema.

— A ludzie powiadają, że jeszcze są...

— Nie wierz. Ale ja nie o tej rzece...

— Mówmy o czem inszem. Abo lepiej nie mówmy, słuchajmy, jak grają...

Umilkli. Słysząc było zawodzenie skrzypiec. Ludzi nie widać, zasłonił ich las kóp rozstawionych. Poza tem oddalenie kryło ich poza mgłą, która oparem zaległa doliniaste bory. Odgłos tupotów głuchych szedł po równej trawie. Śpiewy dolatywały do ostatnich kóp.

„Kochałaś cię Jasiu,  
Kochałaś cię dosić,  
Trudnoż mi cię było  
W podolecku nosić...“

Szum niedaleko płynącej roztoki owijał melodje, głużył i przywracał, zdawało się, że fale wynoszą je z wody. Przewijały się w widnej księżycowej nocy, jak wiotkie ciała boginek rozkosznych, które sie rade pluskają na jazie w mlecznych i srebrnych pianach wodospadu. Czasem pierś zaśnieży biała, błysnie cudo-łono,

czasem oczy zamigocą urokiem i zgasną, gdy je zawieje płomienny wichur złoty włosów. A czasem, ale rzadziej, ukaże się postać, zapatrzona w głębinę, jak brzoza płacząca. Tak się snuły melodje w tej nocy urocznej.

Za mglistem, białawem światłem widać było tęczę, jak stroiła miesiąc blady w pożyczane szaty. Dobierała promieniami siedmiorakich barw, dwie się jej zwidziały bardzo i ostała przy nich.

„Jużem był, jużem był  
Po kolana w niebie,  
Alem się zawrócił,  
Anielciu, po ciebie...“

Pieszczota melodji kołysała serce, mgła owijała myśli i siadała pomroka na oczach, siano pachniało, jak kadzidło, które poi zmysły.

- Czemu tak drżysz?
- Pytasz się, a sama dygotasz...
- To od zimna.
- Nie wierzę...
- A od czego? powiedz...

Przychyliła się ku niemu, jak habina giętka. Od boru śpiewy leciały swawolną melodją. Dzwoniły, jak dzwonki owiec, turlikały głośno, jak puste śmiechy pasterek, gdy się zejdą razem.

„Wianeczka ode mnie  
Chcesz Jasiu koniecznie?  
Ożeń-że się ze mną,  
Bedziesz go miał wiecznie!...“

Leciała trzepotliwie, grająco, jak ptaszę, które się skrzydłami z wiatrem bije.

— Słyszysz?

— Nie słyszę nic, wiem ino, żeś moja...

— Pamiętaj!

Całą dolinę jasność zatopiła, morze światła białego, bez dna i bez brzegu, kołyszące się cicho w uśpieniu głębokiem przez jakiś bezmiar siny, nieskończenie wielki, który dokoła opasuje wieczność. Ucichły płacze i śmiechy umilkły i ustał wszelki gwar stworzenia; dolinę całą wypełnił Bóg-twórca. Na cześć Niewidzialnego wstają pieśni mocne, zrodzone z wyobraźni zolbrzymiałej duszy, a śpiewane, jak przez las tajemny, milczeniem, którego dźwięk głośniejszym jest od surm anielskich i echo dalej niesie, niż płacz ziemi.

— Oczy twe odbijają w sobie światło gwiazd.

— A w oczach twoich płomienie się jarzą.

— Księżyc na czoło twoje świeci i ubiera cię jak świętą.

— Czoło twe czarne, jakby je smoła opaliła.  
A twarz podobna teraz djablej...

— Nie lękasz się?

— Nie, bo wiem, że ty jest przy mnie, bo cię czuję.

— Niech się świat zapadnie ze mną!

— Zabij mnie!

Księżyc znowu rozgarnął po dolinie światło,

rozprószył białe mgły i porozwieszał je po stromych zboczach. Roztoka się rozwidniła, bory się odkryły, kopy stoją, jako stały — nic się nie zmieniło. Odgłos tupotów głuchych odzywa się w ziemi, i słyhać z oddalenia zawodzenie skrzypiec. Zmęczone głosy dolatują do ostatnich kóp.

„Czemuż ci sie, Franuś,  
Piórko nie migoce?  
Dałeś je Hanusi  
Za złote warkoce“...

\* \* \*

Na niebie poczęło świtać. Gwiazdy pobielwały, a od wschodu wychodziły coraz śmielej zorze. Roztoką szła i błądziła siwiejąca mgła.

Ludzie z borów pomału poczęli się tracić. Zasepienie i senność zeszyły się nad wodą i wiły się leniwie ponad siwe młaki. Niejeden z borujących padł na wilgne siano, aby dać wypoczynek znużonemu ciału.

Uboczą, po ugorach, we mgle, jak płanetnik, szedł grajek, który całą noc przegrał na borach. Grał ludziom, a teraz sobie. I śpiewał pod nutę. Było w niej dziwne powiązanie uczuć, można rzec: szczęśliwość smutku. Albo jeszcze insze...

„Hej, biedne moje serce  
Na poły sie dzieli —  
Jedna strona płacze,  
Druga sie weseli...“



Głos czysty biegł, a skrzypce zabiegały wartko; mijały się i w pustej ginęły uboczny. Zwoływały się długo smutnymi echami. Wreszcie głos przepadł. Echo skrzypiec zapłakało po nim.

---

#### IV.

W chałupie mroczej radzili ojcowie. Nad losem dzieci swoich radzili pociemku, układając w rozumach słowa przeznaczenia.

Ślebodną chwilę wybrał Suhaj, bo wieczór w niedzielę, kiedy się naród z urzędu potracił, i każde poszło z Panem Bogiem do swojej chałupy. Ostał się sam z Cichańskim, ojcem jedynaka. I w bezpiecznym spokoju mogli wzajem radzić.

Mówili zwolna, pomału, nie spiesząc się zbytnio. Każdy długo ważył słowa, nim je wypowiedział. Oba czuli w sercach swoich, że co tu uradzą, to tam Pan Bóg nieomylnie do wyroków włączy.

— Tak, moiściewy — prawił Suhaj — ochnych nie braknie. Co się też tu nazachodzą! To z tej, to z owej strony... Bo majątek niemały, rola odpowiednia. I zresztą Sołtysówna, to nie byle kopyść. Trafiają się i z gruntem, i ze stów-

kami, ba, nawet i tysiące paru obiecuje. Ale cóż z tego? Dy wiecie, jaka dzisiaj młodzież. Ani Boga w sercu, ani poszanowania dla ojców, ani żadnej stateczności, ino letkomyślność. Rozumem swoim wszystko wie, niczego jej nie ucz, ba żebyś jeszcze sam od niej brał naukę życia. Choćbyś i sto lat żył na świecie, to to nic nie płaci. Byle podrostek powie ci, żeś głupi. Taka teraz ponastawała młodzież. Ledwo głową dostanie do ocapu odrzwi, a już chce mieć swój rozum, i djabeł wie, czego jeszcze jej się nie zachciewa. Ty ojcze za nic, Pan Bóg za nic, ino jedna wola rządzi z upartością w parze.

Zasapał się i dyszał oburzeniem serca. A stary Cichański na to:

— Ja wam to przyznaję, bo sam zabiadam nieraz nad tem, a co bedzicie robić. Świat idzie ku dołowi, z roku na rok spada, i ludzie się inaksi rodzą. Wszystko się przeodmienia na tym bożym świecie, a przecie nie na lepsze, ho! bo nie na lepsze. Baczycie, jaka była w nas insza natura, choć i człek młodym bywał. Bo wtedy przykazania były w sercach ludzkich. Nie uczyli ich po szkołach, ani nie wypisowali na drzwiach, a każdy wiedział o nich dobrze i znał, jak się ma zaobchodzić we wszystkich stosunkach. Ojcowskie prawo było święte, nikt go nie naruszał. I Pan Bóg nie żałował ludziom swojej łaski. Opatrzność czuwała wszędy, chleba było podo-

statkiem, niczego nie zbrakło. A teraz naród stęka, jak w ciężkiej niewoli. Biedą go Pan Bóg skarał za to, że się przeinaczył. A to wszystkiemu młodzież winowata, bo, jak słusznie powiadacie, ni ma Boga w sercu. Choć są wyjątki. Jak i mój Michał na ten przykład... Nie powiem, żeby i on nie miał wad nijakich, bo nie, bo też i nima człeka bez przywary — ale co sie tyczy, powiem, kościoła bożego, to już pilnuje w każde święto i nie opuści sumy letkomyśnie. Już ta co do tego, to mu nima najmniejszej przygany. Ino to jedno, że jest niezaradny; niczego sie sam nie ima bez porady ojca. Zawdy mu trza nakazować, bo sie nie domyśli. Swoim dumem nic nie zrobi, o wszystko sie pyta. Już ta rozumem nie grzeszy, to darmo, i ni ma go na zbyciu. Ale co bedziecie robić, kiedy już taki był od czasu i taki pewnie poostanie.

Przestał; i siedzieli oba długi czas w milczeniu, zgadując myśli swoje. Nareszcie Suhaj przerwał ciszę, mówiąc, jakoby do siebie:

— Dobrzeby to było i nieźle, jakby sie doprowadziło do skutku, co sie przedumuje, bo rody podupadają, ubożeją przez to, że nie dbają o siebie, nie łączą się wzajem. Trza te węzły zacieśniać, co je czas ozłuznił, trza je ściągąć, żeby sie całkiem nie zwolniły. A niebezpieczność wielga, bo już fale mętów ludzkich dochodzą pod ściany. Trza to mocnego domu, żeby sie oparł

uderzeniom wściekłego żywiołu. Jak ino ściany słabe, podgniłe od spodu, to sie letko osuną, i woda je zbierze. Na nic wtedy osęki, ratowanie próżne. I tak powinny stać nasze osiedla pośród napływu przeróżnej gawiedzi, jako te twierdze kamienne na morzu, których podwalinami samorodna skała. Bo inaczej to nas połkną, zaleją doznaku. A przecie nie na to mocarzyli tu nasi ojcowie, abyśmy, schylając głowy, poszli w poniewierkę. Już i tak nas niewielu, bo sie dużo poniżyło z dobrowolnej woli, abo i z musu, jak nie miało pomocy od swoich. To też ci, co poostali, powinni sie krzepić i nie oddalać, ale zbliżać przez krewieństwa bliskie. I majątki sie powiększą, i rody sie wzmocnią. Zapanuje sprawiedliwość, jak za dawnych czasów. I dlatego też powiadam: dobrzeby to było, jakby sie tak nienajdłużej myśl z uczynkiem zesła.

Na to Cichański:

— Wola Boga i Jego przenaświętszej łaski. Jak Mu sie upodoba ono młode stadło, to je złączy bez dużej przyczyny człowieka, a jak nie, to choćby człek sto rozumów nabył — nie wskóra, nie poradzi przeciwko wyrokom. Ale ja tak uważę: Wypełni sie dobro, to dla Pana Boga chwała i cześć przedewszystkiem. A my przecie ku dobremu radzibyśmy ciągnąć. To nas Pan Bóg nie wypuści ze swej opieki. Na wszystkie strony byłoby to dobrze. Bo i rody by sie zesły, i ma-

jątkuby przybyło, i człekby se uśmierzył głowę, nie turbując się, co będzie, jak go tu nie stanie. Wiecie, ja nieraz nad tem przemyślał, jako to będą gazdować ci młodzi, czy se dadzą radę ze wszystkim, i czy nie zaprzepaszczą swojej ojcowizny. Teraz o gospodynię dobrą straszecznie niełatwo; ze sta jakby jedna była, a i to niepewne. Wszystko to takie światowe, ozpustne, nijakiego zdania we łbie, ino marne plewy. Przyjdzie święto, abo i niedziela, to nie patrzą nabożeństwa, ale pijatyki; wystawają poprzed sklepy i oczami świecą, jak te pokusy djabelskie. A tego drzewiej nie bywało. Jak wyszła z kościoła, to prosto z matką do chałupy, bez żadnych postawań. Chciałeś ją widzieć, toś się ojców musiał pierwej pytać; a teraz o znajomstwo łatwiej, niż o tabak; wnet ci sie skądśi nawinie i sama zaczepi. Za grajcar wstydu nima u tych córek. I na jakie to matki powyrasta? Ej, mocny Boże, jest nad czem zabiadać. Nie takie to bywały nasze niebożyczki...

Zadumał się, a Suhaj niżej zwiesił głowę. Miał i on w sercu niemałe strapienie, o którym nikt nie wiedział; i temu chciał wydać Hankę, jak się da, najprędzej. Dumał pocichu, żując turbację. Wnet jednak opamiętał się i otrząsł myśli z obaw ciężkich. Nie spadły wszystkie, bo i owoc zielony nie spadnie, chociaż drzewem zatrząsie najmocniejszy wiatr. Ale mu już nie

ciężyły nad schyloną głową, gdy się ozwał po chwili:

— Nie wiem, jako ta inszych, ale mnie to już Pan Bóg opatrzył dzieckiem usłuchliwem i bez żadnych zradliwych od świata nawyknień. Figłów ona nie ma w głowie, jako insze dziopy, woli cicho posiedzieć, jak czasu dopraśnie. I roboty dopilnuje i służbą zarządzi; dyć już od wielu lat zastępuje gaździnę w chałupie. Nie mam sie na co uskarżać...

— No, to chwała Bogu. Jak sie dziecko wydarzy, to szczęście człowieka. A w tych dzisiejszych czasach, to prawdziwy skarb. Ilu to ojców, ile matek przeklina i pomstuje swoje własne dzieci. Niejeden wolałby raczej psa chować w chałupie. Bo pies się wywdzięczy za to wernem przywiązaniem, a dziecko... mocny Boże! Dobrze, jak ojcu kija nie pokaże i nie wyżenie z chałupy. Trafia sie i tak, moiściewy, i nie w jednym miejscu. To też człek winien Panu Bogu chwałę, jak go opatrzy uczciwem potomstwem. Coby to niejeden dał za to, a darmo! Co sie już złem ulągnie, to złem poostanie.

— Kiedy znowu i starunek niemało przynosi. A ojcowie po części sami winowaci, bo nie trzymają ostro cugli, jak Pan Bóg przykazał. Jakby raz i drugi ukarał przykładnie, to ono by sie ta przyuczało słuchać i musiałoby żyć w bojaźni bożej.

— Prawda i to, ale znowu różne są natury. Niedarmo też powiadają, że opornego kijem do nieba nie wpędzisz. Trafi się czasem taka psia-para uparta, że na nic, na żadne kary nie dba. Bij go, co żywnie chcesz, łam na nim najhrubsze kije, to on jeszcze gorszy. Zatanie się, i ani rusz. Z takim na żaden żywy sposób nie poradzi.

— Jużby ja go ta ulegował...

— Tak się wam to widzi...

— Przywiązałbych do słupa i dotąd bych morzył, ażby się w pokorę udał...

— To umrze na złość, a nie ukorzy się...

— Dałby ja mu umrzeć!

Powiedział to po cichu, z taką zaciętością, że aż Cichański zadrygnął się w sercu. Duża chwila uszła, nim się ośmielił przemówić:

— Co się mamy o czyje dzieci trapić, kiedy nasze, chwała Bogu, dobre są i w bojaźni przed ojcami chodzą. Raczej podumać wypada przed tem, jak przyprowadzić myśli do uczynku, aby się wypełniło, co jest przeznaczone.

Suhaj nie odrazu spieszył z mądrą odpowiedzią. Siedział jeszcze chwilę, dysząc, a wreszcie rozpoczął:

— Dumanie takie, moiściewy: Jak wy rozumem swoim przystajecie i nie macie w swoim sercu nijakiej przeszkody, to ja gotowy przyzwolenstwo dać każdego czasu. Bo z odwlekaniem nie zawdy dobrze się wydarzy. I to wam



jeszcze powiem: Choćby ludzie rozumów nabrali, i obgadywaniem Hanki odstręczali was od przedsięwzięcia, to się nie dajcie skierować na żadną złą stronę. Bo djabeł nie śpi, ale czuwa, pilnuje, aby dobro nie przemoгло w świecie. On tam swoje sługi i pomiędzy ludźmi, którzy zamiarom czystym podstawiają nogi. Wtedy ich radość, jak się człowiek na prostej drodze obali, a jeszcze większa, jak zbcoczy i za nimi pójdzie. To też powiadam: Czuwajcie, nie dajcie się przewieść, bo was będą odciągali wszelkimi siłami, jak ino wartko posłyszają, że się Michał żeni.

— Ho, moiściewy — rzekł na to Cichański — ktoby też ta uważał, co się ludziom baje. Człękby nikany nie zaszedł, jakby szedł za ich przewodem, ino kręciłby się w koło bez ustanowienia. Jeden tak mówi, drugi zaś inaczej, a wszyscy razem, to wierutny Babel, pomieszanie ozorów, jak powiada pismo. I diabli nie śpią, słusznie powiadacie. Ale ich moc u taje u progu kościoła. „Bramy piekielne nie przemożą cię!” Jak co postanowione od Boga, to się musi spełnić, choćby sam lucyfer stanął z czeladzią na warcie. A, widać, takie było zdawna przeznaczenie, skoro nas Duch Święty natchnął jednakiem zamysłem.

Siedzieli oba długi czas w milczeniu, żując

w cichości każdy swoje myśli. Wreszcie posze-  
pnął Suhaj:

— Trudna rada. Nie doczekał się człowiek  
syna...

— O moiściewy — rzekł Cichański, widząc,  
że go trza pocieszyć — nima czego żałować,  
ani nad czem biadać. Z córki większe skrzepie-  
nie, bo jak padnie na człowieka chorość, niedołę-  
stwo, to się prędzej nabliży i zaopiekuje, serce  
ma zawdy przychylniejsze starobliwym ojcom.

— Dyć i to prawda. Ale znowu markotno  
człękowi, że nie będzie miał nikto po nim urzędu  
odzierżyć.

— Przecie was, chwała Bogu, krzepkość nie  
opuszcza. Pożyjecie jeszcze długo, nie gryźcie  
się darmo.

— Hej, mocny Boże! Już to nie te siły, ja-  
kie bywały, bo nie te. A tu się zewsząd zwa-  
lują na głowę coraz to większe ciężary. Ani-  
bych wam opowiedzieć nie zdołał...

— Ja wierzę.

— Złość ludzka z przewrotnością wzięły się  
za ręce, upytały głupiego rozumu na pomoc  
i chcą obalować wszystko, co im się nie widzi.

— Kanyż-by się podziała zazdrość? moi-  
ściewy...

— Dy nie co insze, bo zazdrość wierutna.  
Ona to milczkiem wojuje o władzę, a rozpowiada  
głośno, że o krzywdę...

— No powiedzcie wy ludzie, jaka to przewrotność!

— Trza mieć przeziorność wielką i uwagę, by sie nie dać łatwo podejść, trza mieć dużo siły, bo inaczej zrada może zwyciężyć, a wtedy... Panie ratuj, zachowaj od takiego końca. Byłaby to gospodarka, o jakiej sie ojcom naszym za życia nie śniło.

— To też, jak wydacie Hankę, bedzie wam już lekcej. Uśmierzycie se głowę choć po jednej stronie i bedziecie mogli wtedy ślebodniej wójtować.

— Dyc żeby Bóg dał...

— Uważcie, że wam bedzie lekcej.

— Trza jako radzić...

— Końcem trza nad tem podumać.

— Bo czas leci...

— Nie stoi...

— Piekło nie zasypia.

— No to kiedyż myślicie naprawdę poczynać?

— Czy ja wiem, moiściewy. Zeszłoby sie jak najprędzej. Jadwent na ramieniu...

— No to radźmy, kiedy tak...

— Radźmy, w imię Boże...

I radzili, jak dwa bogi zmurszałe od wieków, owinięte chmurami przed oczyma pasterzy, którzy, baraszkując swawolnie przy ognisku gasną-

cem, nie czują, ani wiedzą w uszczęśliwionych sercach, jaki los im gotują nieznane wyroki.

Tak w chałupie zamroczonej radzili ojcowie.

A o tym czasie Franek odprowadzał Hankę. Spotkali się na wierchach prawie o śródwieczerz. Hanka wyszła po sumie na maliny do wrębu, jak zwyczajnie, przy święcie, mając czas ślebodny, a on czekał na wierchach, i tak się spotkali. Zwidziało im się bardzo to wysokie miejsce; uradzili se odtąd co niedzielę schodzić się na tej polanie. A rada trwała dość niekrótko, bo ich mrok zaskoczył, musiał Franek sprowadzać Hankę na dół drogą.

Skoro ostatni lasek minęli na zboczach i ugory się otwarły przed ich oczyma, podziękowała mu za opiekę, mówiąc, że tu już śmiało pójdzie sama. Więc ją pożegnał i skręcił ku dolinie roztek. Zdaleka zawołał jeszcze:

— Ale przyjdź na pewno!

— Przyjdę!

Rozśmiała się ku niemu i pobiegła na dół, przeskakując zagony, jak sarna spłoszona. Wnet zbiegła ku roztoce i zginęła w mroku.

Franek idący zboczem pozierał w dolinę, czy mu się nie zabieli jej postać zdaleka. Ale na próżno wypatrywał oczy. Gęsty mrok zastąpił drogę, i nie widać nic. Chcąc jej powiedzieć zdaleka, że wciąż o niej myśli, zaśpiewał głośno, aby echo nie straciło słów:

— Hejl... Czy ja nad doliną,  
Czy ja na uboczy —  
To za tobą, dziewczyno,  
Lecą moje oczy.

— Mógłbych śpiewki układać — rozśmiał się do siebie.

Chwilę przystanął, słuchał, czy mu nie odpowie. Ale jeno echo grało na przeciwnej stronie. Skoro zmilkło, rozpoczął, potęgując głos:

— Hejl... Goworzy rozтока,  
Rozpowiada szumnie —  
A ja wołam z wysoka,  
Obróć oczy ku mnie...

— Byłoby — śmiał się — nie takie ostatnie...  
Ale coby tu nowego? — spojrzał dookoła.  
Za górą czerniło się czoło Obidowca.  
Zawiódł głośno, aż ubocz zadudniła wokół:

Hejl... Popod las, popod las,  
Popod Obidowiec,  
Nawróć-że mi, dziewczyno,  
Rozstrachanych owiec.

Nim echa powróciły, dopowiedział dalej:

— Hejl... Nawróć-że mi, nawróć,  
Abo ja nawrócę,  
Ej, abo cię pocieszę,  
Abo cię zasmucę...

I jał wywodzić coraz nowe, na przeróżne nuty, i śmiał się i radował, jak dziecko nieletnie, gdy mu się słowa zeszyły i złożyły układnie.

I śpiewał, o czem jeno oko powiedziało. To o zorzy zachodu, która, obaczywszy mrok na dole, zbladła i skryła się za skrzydła osowiałych chmur, to o lesie ostatnim, skazanym na ścięcie, który, nie czując złego jutra, owinął się w czarny płaszcz i szepce przed spaniem pacierze, to o wierchach, które w mroku chyła się ku sobie, to wreszcie o tem, co najbliższe: o swoim kochaniu...

W szczęśliwym sercu jego zrywały się ptaki skore do lotu, dziwnie rozśpiewane. Takiej swobody nie pamiętał dawno, chyba wówczas, gdy pasterzem po zachodzie słońka zganiał z ugoru owce, napasione godnie. Od tego czasu dużo wody spłynęło roztoką. Aleć się powróciły zapomniane chwile, pozlatywały się wszystkie zabaczone śpiewki, i nowe się urodziły z miłującej duszy. I nie mógł się ośpiewać — tyle szczęśliwości było w jego sercu, pełnym słowicznych trzepotów. Czuł chęć wypowiedania na głos wszystkich myśli, wyśpiewania wszystkiego, jak dziecko, które śpiewaniem rado mówi, czy je kto słucha, czy nie.

I stał się dobrym w sercu przez miłość wezbraną — gdyby świat jedną postacią zjawił się teraz przed nim, ująłby go w ramiona i woje rozskrzydlone i serdecznie uściskał. Ziemia nawet, ta smutna, zdała mu się piękniejszą — każdy wierch, każde drzewo pozdrawiał zdaleka.

Rozgrały się ubocze, rozchwiały się jedle, gałęzie w rozkosznem drzeniu tarły się o siebie, kołysały się trawy melodją miękką, jakby szła po nich fala uśpionego wiatru, po całej dolinie echa pieśni błądziły jak cienie, jak roztracone po lesie bojaźliwe dzieci, nawołując się żałośnie, niewyraźnie, długo — ożywiła się do cudu ta pustka zamarła, gdy Franek śpiewający zstępował w roztokę.

Naprzeciw obaczył zdala czerniącą się ubocz.  
— Będę też cią! — zawołał, aż echo zaszczekło, a bełkocąca roztoka na moment przycichła.

Z lekkim, jak pióro, sercem poszedł do Huciska.

Z zapalem ciął tę ubocz leśną i myślami o swojej Hanusi skracał sobie dłużący się przy robocie czas. Przez owo myślenie ciągłe rozpołowił mu się tydzień na dwa duże dni, z których pierwszy zdawał mu się krótszym, drugi zaś znacznie dłuższym, bo tak: Od niedzieli do środy żył wspomnieniami chwili białej, na wierchach przebytej, a zaś od środy do niedzieli oczekiwaniem nowego spotkania. To oczekiwanie tak na długość wałkowało czas.

W niedzielę zato było wielkie święto w jego duszy. Cała dolina, zamknięta wąwozem, zdawała mu się ogromnym kościołem, którego ściany zieloność przybrała: jasna i ciemna, i spło-

wiała nieco, pnąca się w górę wzorzystym rozkwitem aż ku samemu wierchu, pod sklepienie; a zaś po onem sklepieniu niebieskiem płynęły baranki czyste, wykąpane w rosie, to znów pierzaste, jak łabędzie, nieprzejrzane stadem; niekiedy patrzącemu przezdało się w oczach, że to rój małych aniołków i drobnych anieląt, posplatanych rączkami, w nieskończoność leci... I cichość taka była wielka w tym jasnym kościele, jak i w inszym z kamieni, albo i z przyciesia, kiedy zeń ludzie do jednego wyjdą, i nie słyszą nic, prócz ciszy, zamodlonej w sobie; przez okno wąskie od sklepienia wdziera się światło białą smugą, pada z ukosa na ołtarz i odbija się na kościół rozczepionym blaskiem, jakby schodziły odpromienie złotej monstrancji.

Podobnie i tu, tylko więcej jasności dopływa. Nie przez uboczne okno, lecz przez całe błękitne sklepienie leje się z góry rzeka światła i zatapia ciche wnętrze białością przejrzystą. A hań wysoko lśni promienna monstrancja światów, oczom ziemi za widna, za dużo przezczysta, aby wprost ku niej mogły patrzeć: rozżarzone słońce...

Franek błąkał się po tym kościele od samego rana, od świtu. Zachodził nad roztokę, podumał i wracał, przesuwając się przez gąszcze, wyłaził do wrębu i, wędrując pośród zrosłych traw jak błędny rogacz, na każdej łączce odpoczywał chwilę.



— Jaki w tym kościele spokój! Ani echa głosu... Wszystko dokoła świętuje. Zwierzyna się pochowała, i ptactwo pomilkło. Drzewa stoją w skupieniu, i trawa nie szmerzy. Nawet i woda ciszej płynie...

Pozierał w roztokę. Widział z góry, jak perlącą się pod słońcem smugą snuje się pomiędzy skały, a napotkawszy większe głazy — zeskaakuje wartcej.

W miejscu, gdzie się dwie roztocki witają u zbrocza, widać było wodospad niedużo wysoki, ale cudnie z daleka światłami grający.

Czasem zwieszał się nad nim sierp tęczy uciętej, niby pasmo wielorakich barw, jak struny nad wodą rozpięte, po których chodzą krople świećkami gwiazd, to opadają deszczem migotliwych pereł, gdy wiatr, strzepując je, lekko o struny potrąci. Pod wodospadem widać było czerniącą się głębię, wirującą pianami toń, zwaną baniorem, z brzegu wysterczające ponad wodę skały — ławy dla wypoczynku zdradliwych topielców.

Tam też najczęściej Rakoczego ciągło... Ułaziwszy się po trawach, spinających nogi, schodził na dół ku roztoce i siadał nad wodą, na skale, gdzie zdradliwe topielce siadują. Z początku, dając wytchnienie sennemu w ciele znużonemu duchowi, patrzył bez myśli na wodę, która poczyniała zwolna rozbawiać jego oczy. Gonił

przelatujące migiem fale, chodził za kręcącemi się wkółko pianami, albo rzucał urwaną na brzegu gałązkę lub patyk złamany w palcach i śledził, gdzie i dokąd fala je zanieśie. Zwolna chłód od zimnej wody orzeźwiał go i budził wypoczęte myśli; poczynają pomалу wyzierać oczami i psuć zabawę dziecka. Wtedy widział, co przódy, ślizgając po grzebieniach fal, nie zauważył, że woda odbija niebo i maluje je na dnie, w niezmierzonej głębi.

— Taksamo tam, na dole, po niebieskich polanach słonecznych idą, pasęcy się, baranki czyste... Taksamo po błękitnych jeziorach powietrznych pływają lśniące łabędzie... bez końca...

Zdało mu się raz, że siedzi na krawędzi ziemi — bezmiar powietrzny u stóp i nad głową — zawieszony na cyplu duchem nieciężącym, na krańcu wystającej nad otchłanią skały... Przełękł się, aż dech zaparł od lęku i trwogi i, przerażony, cofnął się od brzegu. Chcąc oczy upewnić całkiem, że na ziemi stoi, rozglądnał się dookoła i nabrał spokoju w serce, aże poweselał. Przybaczył sobie zaraz, że w młodości opowiadano mu o jednym człeku, który chciał widzieć grzmot. Bóg go za tę ciekawość dosadnie pokarał. Ujrzał ino ucho grzmotu i padł na miejscu nieżywy; tak się przestraszył. Zbaczył sobie to Rakoczy i pomyślał w sercu, że i on mógł paść,

rażony strachem, gdy ujrzał ucho nieskończoności.

— A nawet nie całe ucho, ba! nawet nie włos...

Bywało, gdy go tak bezmiar przydusił ku ziemi, odginał się niby smrek wichrem przyłamywany, rozprostowywał zwolna ducha i podnosił wzrok ku niebu, jak człowiek, który z padołu pokrzepienia prosi.

I, uświęcony w sercu swoim przeogromną ciszą, modlił się:

— Panie! Wskrzesicielu światów! Władco dusz! Opiekunie ziemi i stworzenia! Oto ja, wędrowiec mrówczy i skurczony duchem, gnę się przed Twojem obliczem, jak łodyga słaba, jak pęd, który od ziemi nie odrósł, a gnę się... Daj mi moc! Niech wiem, że żyję choć tę małą chwilę... Na złe jej nie obrócę, o tem wiesz sam, Panie. Z nieprawością wojował będę aż do końca, pokąd mi sił wystarczy, pokąd życia! Za moc potężną ducha oddam na ugruntowanie królestwa Twojego. Za cały regiment stanę, za tysiące — sto śmierci po mnie przejdzie, a nie zaдрę — ino daj moc duchowi mojemu, Panie...

Czuł się bliskim tego Pana, pewnym był, że go słyszeć musi, skoro sercem do Niego z padołu przemawia. Łudził się nawet chwilę, że mu z chmur odpowie głosem, od którego cała dolina się wstrząśnie. Bo wierzył, że jak grzmot na ja-

snem niebie, musi być Jego głos przeraźny, wielki. I w kornem pochyleniu głowy oczekiwał, ale znikąd nic nie słychać było; ino woda hucała w dole na roztoce, spadając poszumem w ciszę, jak skrzydlate dni, po schodach zlatujące w przepaść. Nic nie mąciło spokoju, tylko jeden czas, co wodę od wieków przelewa, i nie wiedzieć, co wyraźniej słychać: czy szum wody, czy oddech zdyszanego od zmęczenia czasu.

Rozczarowany beznadziejnem milczeniem i ciszą, jaka się wokół rozszerzała głucho, dźwiگاł ku niebu ociężałą głowę — i dziw! — przedawało mu się w oczach, jakoby dojrzał twarz posępną, chowającą się nagle za obłok. Czekał, czy mu się jeszcze nie objawi, ale napróżno, już się więcej nie wychyliła z za chmury.

— Czyżby ino przywidzenie?

Widzi jeszcze tę twarz w myślach, widzi jej obraz odbity na niebie, nawet, gdy zamknie oczy — widzi jeszcze... Skąd to dziwne omamienie? Baczy, że nieraz widział to oblicze. Na obrazkach, w biblji, w kościelnej kaplicy... Ta sama biała, długa, pomierzwiona, jak z wiszących obłoków uprzedziona broda, te same oczy groźne, czoło pomarszczone i włosy rozwiane wiatrem — ten sam żywy.

Czując w sercu wątpienie mocne, począł wołać:

— Ukaż mi sie jeszcze raz, o Panie! Abo daj

znak, że jesteś, na świadectwo prawdzie. Coż ci to szkodzi wyjrzeć na sekundę, na jedno okamgnienie małe?... Nic nie widać. No to poraż mnie, ubij, skoro bluźnię.

Przeląkł się w sercu i w śmiertelnej trwodze oczekiwał, rychło się ozwie grzmot na jasnym niebie. Ale cisza była wielka, ani echa znikąd.

Wtedy uczuł śmieszność całą swojego wołania. Począł się wstydzić sam siebie, swojego wiactwa, i przyznawał szczerze w duchu, żeby się nie odważył tak wołać ku niebu, gdyby się chmury zeszyły czarne i stanęły groźną burzą nad jego głową.

I znowu długo błąkał się po wrębach; wreszcie schodził do koleby, gotował obiad, a co chwila wyzierał za próg, daleko tam słońko. Skoro się już przechyliło na zachodnią stronę, zasuwiał wrota i puszczał się znaną ścieżyną ku wierchom.

Trza było minąć roztokę, przejść stromy wrąb, ciągnący się wzdłuż przez całą ubocz, następnie przylasków parę, dwie małe polanki, i za ostatnim gąszczem dopiero otwierała się polana widna, zajmująca wierch Wasielki, bliskiej Turbaczyka.

Tam na tej wysokiej łące miał czekać Hanusi. Tu, opuściwszy chałupę po sumie, miała dojść o śródwieczerz, idąc za malinami wrębem, który się tu sterma.

Franek wychodził zawczas. Z dołu mu się widziało, że słońce już nisko, a teraz postrzegął nierad, że jeszcze nie małe koło po niebie zatoczy, nim śródwieczerz nadejdzie. Mając dość próżnego czasu, rozglądał się wkoło. A miał gdzie patrzeć. Bo choć Turbacz od południa zasłonił sobą świat, a od wschodu bliźnie Gorce podźwignęły czoła, to na zachód i na północ była przestrzeń duża. Mógł dojść oczyma aż do Babiej, aż do Zimnych Dolin, które się od jej ramienia na prawo rozwłóczą, a ku północy jeszcze dalej, bo aż w lackie nize.

Na tych obszarach wszystkie miejsca prze-wędrował okiem. Znał je, i w każdym myślą powstał, podumał na chwilę. Wreszcie zawracał do wsi, wgłębianej w roztokę. Widział, że dopiero ludzie wychodzili z kościoła po sumie. Znać ich było po drodze, jak rozsypane paciorki.

— Który też paciorek mój? — zgadywał myślą.

Ale ani uznać z tak wysoka. Czernią się, bielą i toczą się niepostrzeżenie; po drzewach i opłotkach można tylko miarkować, że im drogi ubywa.

Rachował zwolna czas, kiedy Hanusia dojdzie do chałupy, jak długo w niej zabawi, kiedy wyjdzie, i dużo cienia przyrośnie w uboczy, nim się na polanie zjawi. Ale w rachubie mylił się

o długo, bo to pono nie tak nogami mierzyć, jak oczami.

Wreszcie nużył się rachowaniem czasu i silił myśli ku czemu innemu. A łatwo było je oderwać, bo świat z wysoka drobniał jakoś; rozszerzał się, a malał. Zdawało mu się, że siedzi na chmurze, jak płanetnik, i patrzy z góry na ziemię. Przelatują popod nogi, jak znikające obrazy: wsie, miasta, góry, lasy, doliny, roztoki... Wszystko z ogromną szybkością pędzi i, jak te fale na rzece, ucieka bezpowrotnie. A oczy nieruchomieją od znużenia, od wirujących kołem światła i tańczących barw.

Zadumywał się tak mocno, że się zapominał, gdzie jest, w jakiej nieznanej przestrzeni. Tracił się doznaku. I budził się dopiero, kiedy śmiech uderzał o jego uszy, albo głos wyraźny:

— Franku!

Hanusia stawała przy nim.

— Można cię ukraść, a nie bedziesz wiedział... O czym ty tak myślisz wiecznie? powiedz...

On, zamiast odpowiedzi, wyciągał ręce po nią i sadzał ją na kolanach, jak dziecko nieletnie. Czasem się mu wyrywała, a niekiedy zlatywała ku niemu sama, jak oswojone ptaszę. Za każdym razem przynosiła jakąś nową pieśczętę nieznaną, że się aż Franek dumiał.

— Ty mnie musisz bardzo kochać...

— Bardzo. Ino o niczem nie myślį.

Nie lubiała, gdy się przy niej zadumywał o czemś. Raz nawet, stając przed nim, powiedziała wprost:

— Wiesz, Franek, czasem, to mi się zdaje, że ty patrzysz na mnie, a nie widzisz mnie, tak, jakżeby ja szybą stanęła przed tobą, a ty jakbyś przez nią wypatrywał coś dalekiego za światem.

Poczęła mu czynić wymówki, aż jej przyobiegał, że nigdzie myślą od niej nie odejdzie, przynajmniej wówczas, gdy jest przy nim. Dotrzymywał słowa, nawet chętnie, bo go umiała zająć i rozbawić. Czas ulatywał przy niej, jak skrzydło popędzane wiatrem. Pozostawał tylko w myślach rozkoszny szelest uleciałych chwil. Rozmowy ich były puste, swawolne, jak figle dzieci, którym ojcowie jeszcze żyją.

— Kto bardziej kocha?

— Ja...

— Nieprawda, bo ja!

— Co ty robisz przez tydzień?

— Myślę o tobie... a ty?

— Ja taksamo.

— Żeby tak świat przed nami stanął...

— To co? Powiedziałbych mu, żeś moja...

— Nie ogoliłeś się, widzisz, wyglądasz, jak cygan.



— Skądże ja tu, moja ty, brzytwę wezmę? Musiałbych chyba trzaskę ustrugać z gałęzi...

— Weź skąd chcesz, a pozbądź się tych gwoździ kolących. Bo inaczej, to cię przestanę kochać... bedziesz widział!

Nie zważał na jej słowa, ani na opór słabych rąk, ale brał ją przemocą, sadzał na posłaniu z liści i całował bez upamiętania, aż do utraty tchu. Wiła się pod gorącym jego pocałunków i szeptała, jak we śnie, przymykając oczy:

— Mój! mój! mój!...

Cichość ich otaczała zewsząd. Czasem tylko, spadając, zaszleściął rozkwitły owoc buka, rozgałęziającego się ponad nimi w górze; rósł na kraju polany, owinięty całym ciałem dookoła jedli, i tak się z nią doznaku spoił, że nie uznać było zdala, czy to buk, czy jedla; zdawało się patrzącemu, że to jedno drzewo.

Mrok już gęsty zapadał, kiedy Franek sprowadzał Hankę na dół wrębem, układając w głowie śpiewki coraz to cudniejsze.

I tak czas wartko upływał, mijały tygodnie, a pasterskiego ich kochania nic nie mąciło. Widywali się na wierchach o jednakim czasie i przeżywali coraz dłuższe chwile upojenia. Świat im ginał, zdawało im się, że nikogo, prócz nich, niema na całej przestrzeni.

Franek się coraz rzadziej zadumywał w sobie. Spostrzegła to radośnie Hanka i darzyła go

pieszczotami, o jakich pojęcia nie miał. Widziało się, że cały tydzień ino o tem musi myśleć, jaką Frankowi na niedzielę zgotować pieśczętę. I dziwnie jakoś odmieniła się w sercu. Dawniej była w niej obawa, niepokój o jutro, a teraz to wszystko znikło, jak mgła się rozwiało.

Ile razy chciał Franek zacząć rozmowę poważną, a nawet o ojca spytać, przerywała mu pocałunkami, nie dając słowa wyrzec.

— Nie myśluj o tem. Bedzie czas... Ino kochaj! kochaj!

Jakaś dziwna lekkomyślność ją opętała. Widniała z jej ócz roześmianych beztroska o przyszłość, czego dawniej nie widywał w niej, choć pragnął widzieć. Ukołysał się i on przy niej, odurzył, i nie myślał już o cieniach życia. Żył, jak w pół-śnie, pół-jawie, otoczony mgłą rozkoszną, która owijała jego myśli i na oczach osiadała niby wiotka pajęczyna babiego lata. Poddał się z ciekawością temu wrażeniu i ani czuł, jak ono powoli, zdradnie rozluźnia jego wolę i omotuje umysł. Wszystko, co czynił w tym czasie, zdawało mu się jakieś mgławce, nierzeczywiste, tymczasowe i dziwnie jakieś lekkie. Ani jedna myśl trapiąca nie nadeszła go teraz. Dziwił się sobie, tej przemianie złudnej, ale niepokoju nie czuł w sercu, ani wyrzutów nijakich. Gdzieś w jego duszy, na samem dnie odzywał się czasami o mroku jakiś przyduszony głos

nieśmiałem ostrzeżeniem myśli. Ale go Franek uspokajał i pocieszał słowami: „Nie bój się, to ino tymczasem... Potem inaczej wszystko się ułoży. Jakże ja teraz mam inaczej żyć? No uważ se i powiedz. Niech się ta już tak samo żyje do jakiegoś czasu”.

W tem śnie-życiu obudziło go na chwilę parę wypadków.

W jedną niedzielę, z południa, jak zwykle, szedł na polanę oczekiwać Hanki. Minał wrąb i wszedł do gąszcza zarosłego krajem, i tu niespodzianie całkiem nadybał Cyrka. Zabaczył o nim i nie myślał, że się tu jeszcze płacze. Stał on przy małej jedliczce, a obaczywszy Franka, przyłożył palec do ust i przez zaciśnięte zęby syknął:

— Tssst!

Franek też, podnosząc stopy, aby gałęzi nie łamać, zbliżył się cicho na palcach ku niemu.

— Czego to wypatrujecie? — spytał.

Ale Cyrek nie odrzekł, zapatrzony w górę. Dopiero po chwili szepnął:

— Ona tu zaraz przyleci, ino jej pozierać...

I patrzył w milczeniu dalej. Wreszcie, umęczony wzrok, opuścił głowę.

— Musiało ją cosi zajść... Kanyż idziecie?

— Na polanę.

— To was kawałek doprowadzę.

I ruszył z Frankiem, opowiadając po drodze:

— Ani pojęcia, jakie to stworzenia zmyślnie! Co ja sie im też napatrzę! Nieraz mi zejdzie i do zmroku, dopokąd nie posną. Tyle gwary przez cały boży dzień po hańtym lasku, że sie osłuchać nieporada wszystkiego, co one pletą. Wygnaliście je z uboczy, to sie tu osiedliły. Ale i na nie bieda. Gałęzie rzadkie, padnie słota, to im dość pracy napsuje.

Opowiadał o gniazdach, zatopionych deszczem, o rozpacz y powodzian skrzydlatych za dziećmi.

— Muszą sie, wiecie, na nowo budować, i to sie ściągnie do jesieni. Zanim młode odchowają, to je mróz zapadnie. I znowu bieda...

— A wam sie jako wie dzie?

— E, tak ta, nie najgorzej... Ale te stworzenia, to już mają wieczne utrapienie z życiem... A tak biedactwo krótko żyje... Co też to ma za rozum! Żeby to między ludźmi tak... Ale nie warto i myśleć. Jak one se pomiędzy sobą gadają! Ha! ha! Żebyście sie przysłuchali...

— Wy już musicie znać trochę ich gwary?

— Ba! Dyc to nie wielga sztuka. Każdy może łacwo pojąć. Trza sie ino przysłuchać uważnie. Drózd naprzykład przeklina w ten sposób: — to rzekłszy, począł udawać głos chrapawy drozda: — „Koninion, koninion, łysopol, łysopol, biczem go, łysego, popod brzrzuch!”.

Franek stanął, zadziwiony, jakby wyraźnie

drozda słyszał. Dopiero teraz pojął jego śpiewną gwarę.

A Cyrek, widząc niemałe zdumienie w oczach Franka, uśmiechnął się z pewną dumą i począł dalej udawać:

— Abo ludzi nawołuje: „Orać, orać, siać, siać, skródlić!“ Abo znowu opowiada: „Mój brat, mój brat, w morzu siedział, ryby jadł!“ A nie jednako opowiada, bo innym razem: „Mój brat, mój brat, górował, owcarował, serr jadł!“ Bo, widzicie, ma dwóch bratów. Jeden po wodach lata, a drugi po wierchach. A on jest trzeci, leśny. I tak różnie — czasem to go nie można nijak wyrozumieć, jak gada: „Śtuchlik! śtuchlik! śtuchlik! ciachciachok!“ Kto wie, kany sie ta wyuczył takiej gwary. A jak widzicie, zawdy powtórzy jedno słowo po dwa i trzy razy. Ziemia, bo ino po naszymu: „Siej, siej, siej garzdeckę siemieniaa!“ A na końcu, to tak przyrznie, przytży człowiekowi, żeby sie nie opuszczał na nic. Konopka znowu ma swoją filozofję, a jakże. Jak padnie na przednowku, mór idzie na bydło, i chłopa taka bieda ściśnie, że mu ostatnie cielę skapie, to wtedy, wiece, konopka siędzie przed izbą na gałęzi i pociesza strapionego chłopa: „Nie bedzie, nie bedzie zdechłemu cielęciu nic!“ ... Takie to mądre.

Ponad głowami stojących przy lesie ze świstem skrzydeł przeleciał ptak ciężki i przepadł

w ciemnych gałęziach smreczyny. Cyrek, który mu się w przelocie przyjrzał, począł się gorączkowo żegnać z Frankiem.

— Powiadałech wam zaraz, że ją musiało cośi zająć. Ona tu nigdy stąd nie wraca. Trza iść, uważać, co takiego...

Franek, zaciekawiony jego powieściami, chciał go zatrzymać dłużej.

— To był grzywacz, zdaje mi się — zagadnął.

— Grzywaczowa, moi drodzy. Bo on ma pióra czarne i wstążkę białą na podgardlu, a ona szara cała i ma korale białe pod szyją. Przecie widać... Oni się wywodzą z drozdów. Ale nie mam czasu, moiściewy. Kiedyindziej to wam opowiem i o nich. Ostańcie zdrowi.

I odszedł. Przepadł, jak echo, w lesie.

Drugi raz mniej przyjemne Franek miał spotkanie. Wracał z polany w niedzielę o mroku. Jeszcze nie było ciemno. Przeszedł roztokę, huczącą po skałach, wyszedł na polankę cichą, gdzie kiedyś spotkał pasące się sarny, i zdążał prosto do koleby. Naraz słyszy trzask gałęzi w kraju bliskim lasku — odwraca się i widzi łeb straszny, potworny. Wydało mu się w pierwszym mgnieniu, że to szatan stanął przed nim, albo jaki strach. Zatrząsł się cały, i nogi pod nim się ugięły. Ale w tej chwili poznał postać dzika. Lęk go nie odpadł z tej pewności, ogromne kły świe-

jące zamajaczyły mu przed oczyma. Pomyślał, że już koszyk niesie w pysku na jego kości. I mimowoli obejrzał się za jaką ochroną — w terazy dzik charknął trwożnie i przepadł w ciemnościach. Słysząc było jeno tupot i dudnienie ziemi.

Ochłonał, ale postanowił sobie nigdy tak próżno nie iść o tym czasie. I zawdy, gdy wychodził, brał ze sobą strzelbę. Idąc zaś do ścinania, ostawiał ją po drodze w wybutwiałej kłodzie.

Te zdarzenia jednak przeszły, jak coś powszedniego, nie ostawiając w jego sercu trwałego wrażenia. Przez oddalenie zszarzały i zeszły z jego pamięci.

Żył, jak w zaczarowanym kraju, śniąc jeno, że żyje. Całą uwagę jego pochłaniała myśl o minionej niedzieli i tej, co ma nadejść. Zatapiał się coraz bardziej w beztrosce leniwej i rozmarzał wyobraźnię rozkoszą kochania. To było jego snem i jawą i całym myśleniem. Jakiś urok czarowny padł na jego oczy i zamglił mu je tak doznaku, że nic nie mógł wyraźnie widzieć prócz jedynie postaci ukochanej Hanki. Wszędzie za nim szła, zastępowała świat cały i nagością jaśniała przed nim, jak różowy wschód. I byłby się Franek uspił pod promieniami jej ciała, gdyby nie przypomnienie, które go zerwało i obudziło moc czuwania, zaostrozając oczy.

Oto w jedną niedzielę, popołudniu, nie mo-

gąc się doczekać Hanki na polanie, poszedł po wierchach dla rozrywki i zaszedł niewiedzący na szczyt Turbaczyka. Wierch ten górował nad innymi, i widać było zeń dobrze wszystkie polany naokoło.

Franek stanął na szczycie i rozglądnął się. Naraz zadrżał i pobladł ze wzruszenia... Przed nim blisko, tak blisko, że prawie ręką sięgnąć, łąsiało Czoło Turbacza, a na niem czernił się kamień.

Rakoczemu, jakby łuska opadła nagle z oczu. Wszystko się tak wyraźnie zarysowało przed jego wzrokiem, że się aż tej jasności niespodzianej przeląkł.

Kamień rósł, olbrzymiał w jego oczach, widać było mech żółty i litery duże. Rakoczy, stojąc w bliskości przed tym kamieniem, powtarzał:

— Lacki... Koldras Lacki...

Ale nie czuł, jak wonczas, lęku, ani trwogi, ino potęgę jakąś, w duszy swej uśpioną, którą to imię obudziło. Jakieś hasło z za grobu brzmiało w tem imieniu. Zdawało mu się, że zmarłychwstała Moc tak musi wołać.

Czuł się związanym jakąś tajemnicą z tym duchem bliskim, a nieznanym, i ślubem wielkim, który musi spełnić. I czuł jakoby dwie połowy siebie. Jedna umarła — ta nieznana — a druga w nim żyje. Myślał nawet rozdzielał, szepcząc:

— Koldras — Lacki...



## V.

Mijały dni za dniami, a Rakoczy klął światu, że musi bezowocnie tę ubocz ścinać. Gniew swój odbijał na drzewach i rąbał je z wściekłością, niby wrogów zaciętych w bitwie, aż miazga pryskała z ich ciał. A tu końca nie było widać. Ta ubocz zdawała się wiecznością znużonym pracą siłom. Chwilami ciskał siekierę.

— Pójdę! Świat szeroki. Nic mnie tu nie uwiąże. Co ja bych się tu miał targać, i to po próżnicy, kiedy tam sto rzeczy czeka...

Jednak po krótkim namyśle schylał się po toporzysko i znowu rozpoczynał swoją ciężką pracę.

— Darmo! Skoro się rzekło, to nic nie uwolni. Trza tę niewolę przetrwać i dociąć do końca. Ej, przychodzi to! — westchnął czasem. — Jak i mnie teraz... Czyją letkomyślność wspierać i wspomagać grzech.

Tem większa gorycz zalewała jego serce, że

widział teraz dużo jaśniej tyle na nic straconych i zmarnionych chwil.

— Żebych to choć dom budował z takim mozołem... Szczęście, że się to przydarzyło w lecie mojego żywota, że pozostaje jeszcze do użytku czas dłuższy, jak uważuję po siłach. Ale gdyby tak padło na jesieni życia, to wtedy byłoby gorzej. Umieraj w rozpaczycy człeku, boś na darmo żył.

I tak, uwiązany przy pracy niewolnej, jęczał w sercu, a pragnienia jego mocne rwały się ku nieznanemu. Dusza jego, ockniona z chwilowego snu, rozprostowywała zwolna skrzydła i, umacniana przeciwieństwem obecnej niemocy, rosła w siłę. Czuł jej potęgę i młodość, nie trwożną przed bojem życia, niepokalaną, zwycięską, jak światło wybuchające. Nieraz powtarzał głośno:

— Hej! Coby ja mógł!...

Na razie widział się okrążonym zewsząd rumowiskiem zwalonych przeszkód i jakoby w więzieniu od świata zamkniętym. Mógł jeno śnić o potędze i o niejasnych ciemnemu rozumowi dziełach. Śnił też i marzył całe długie wieczory i święta. Wszystko, co było krewne jego myślom — potężne, wielkie, wspaniałe — stawało mu przed oczyma jawą.

Widывał we snach Tatry... Przez wyobrażenie spotężniałe, rosły w przerażny ogrom, w nieskończoność. Wierzchołki ich wychodziły

ponad krainę słońca, gdzie już króluje Nic — i stamtąd patrzyły na dół twarzą zzieleniałą strachem własnej potęgi.

Mierzył się myślą z wierzchołkami Tatr, i z ciężkim żalem spostrzegał, że jeszcze głowę trzyma w słońcu na równi z okrwawionymi ścianami, daleko od granicy królestwa nicości, ale czuł, że gdy się wola, spiętrzoną w swoim wnętrzu, od ziemi odbije, to się wyniesie nad nią czołem, choćby miał spaść i głowę roztrzaskać o granie.

Te sny mówiły mu o szczęściu prawie niezdożytem. Przeto lgnął do nich sercem, pragnieniami, duszą. Wszystko, co zagradzało drogę do ich myślowego urzeczywistnienia, począł z niechęcią widzieć i uczuwać wrogiem. Począł się nawet lękać zdrad własnego serca. Za to stawały w przymierzu z jego myślami rzeczy, przed którymi niedawno uczuwał obawę. Porywało jego wyobraźnię wszystko, co niezwykłe. Dziw! Z zapomnienia szarego wyłaniała się chwilami postać cyganki, którą był spotkał w Kowańcu, wracając z Ludźmierza. Piękność jej dzika i tak niezwykła jawiła mu się teraz wyraźniej, niż wtedy. Nieraz o zmroku, gdy dumał siedzący, widział wpatrzony w siebie jej oczy ogniaste. I dziwnie potężnego doznawał wrażenia. Jakby płomienie tych wpatrzonych oczu parzyły jego mózg... Gnałby na przepaść, na wiatr

z gołą głową — łamałby wszystko, przewy-  
ciężał — leciałby na śmierć bez pamięci — niech  
wszystko się zawali potem! Byle te oczy pa-  
trzały, te oczy... Nie było w nich rozkazu, ani  
zachęty, ani prośby — nie, jeno jakieś stra-  
szone, patrzące przeznaczenie, które czeka... A ty  
idź naprzód, nie uważuj, z rozkoszą wściekłą  
druzgotania i nie bacz na nic, co cię spotka:  
zwycięstwo, czy zagłada — odzycie, czy grób.  
Te oczy nie zapłaczą, ani podziwem nie rozbły-  
sną, a przecie za ich spojrzenie przez piekło  
można brnąć...

Więc marzył i tak w dumaniu.

Porzuci wszystko, pójdzie do Kowańca, zaraz  
na wstępie do osady spotka tę młodą cyganekę  
przecudnej urody i już jej nie obejdzie, jak  
wtedy, a ona obdarzy go potęgą, jaką daje wia-  
dome tu na ziemi przeznaczenie. Już będzie  
wiedział, co ma czynić. Zwoła całą osadę i ogło-  
si się ich królem, który ich ma wyprowadzić  
z domu niewoli. Uwierzą mu i dadzą posłuch,  
bo ona pierwsza schyli przed nim głowę wycze-  
kująco, jak poddanka. Tylko jej oczy będą mó-  
wiły, że jest panią jego czynów i jego serca.  
Wtedy powiedzie wszystkich na węgierskie ni-  
że, gdzie ich bracia rozliczni w pohańbieniu ży-  
ją. Na głos jego powstaną ochotnie i rażno, i bę-  
dą się zlatywali, jak ptaki, na wiece. A nie jeno  
ci, bo wszystkim będzie hasło grzmiało: „Kto

chce swobody — ku nam!" Któżby jej nie pragnął? I będą zastępy rosły wśród fanfar bijących w niebo, aż się cała dolina zaczerni. Będzie ich taka moc, że grody padną od samego strachu. Morzem szumiącym zaleją dolinę, zatopią wszystkie góry Siedmiogrodu i na najwyższym szczycie zatkną sztandar, który będzie łopotał czarnymi skrzydłami, niby orzeł przykuły łańcuchem do skały. Czyje imię będzie wówczas szumiało morze? Czyj głos będzie, jak łoskot nagłej błyskawicy? Echo, z wichrami przyleci ku Tatrom, a Tatry głucho odhukną: „Rakoczy!" I po wszej ziemi będzie echo grało. A on będzie w jej oczy patrzył zapytaniem: „Czy chcesz więcej? Górę rumowisk u stóp ci zesypię... Czy chcesz wyżej? Świat cały odam za podnóże"... Póki oczy jej, ogniste szczęściem, nie odpowiedzą: dość. Wtedy pocznie się cygańskie wesele.

Na samą myśl, że ta dzika, jak bramy piekieł niedostępna, za którymi nieznanne piekło raju, może być jego kochanką — obłęd zawrotny porывał jego mózg, jakgdyby zagnała stawał nad otchłanią... Głębia nieznaną ciągnie i odpycha — śmierć wydaje się rozkoszą i lękiem... Dreszcz go przebiegał, ale dziwny, dreszcz niepojętych wzruszeń.

Gdy się otrząsnął za dnia z tych marzeń płomiennych, jeszcze czuł w sercu echo ich

przejsć, które ostało, jak cisza po burzy, jak watra po ognisku. Gasiło do reszty te niedotłone głównie snów samotnych spotkanie się jego z Hanką, w której starał się widzieć przewodniczkę swoją i jedyny przedmiot, bo najbliższy, miłosnych swoich pragnień. Ubierał ją wyobraźnią i malował oczom swoim, jak chciał w myślach ją widzieć. Przeto wydawała mu się omal że cudem, i nie pojmował chwilami, jak mógł o innej pomyśleć. Wstydził się w sercu, i wyrzucał sobie ciężko tę zdradę potajemną wobec ukochanej. Przy jej widoku mgliła się coraz niewyraźniej i traciła barwy żywe postać cyganki. Nie nachodziła go nocami, oczy jej tylko czasem w mroku łysnęły dziko i zagasły, albo zaświeciły zimnym, szydzącym ogniem. Tak te oczy go niepokoiły. Były mu jakby wyrzutem. Sam już mieszał się w rozumie, co nienawidzieć, odganiać, a czemu dawać posłuch. Myśli i pragnienia duszy stawały nieraz wyraźnie w poprzek jego sercu, musiał je nieraz naginać i niewolić gwałtem. A tu znowu instynkty jakieś niechowane odzywają się, mówią, każdy swoim głosem. Nieraz te wszystkie władze wewnętrzne zewrą się i uczynią chaos taki głośny, że głowa od niepokoju pęka. Widział tylko, że wszystkie godzą się na jedno, wszystkie pragną dla niego mocy i potęgi. Praca głużyła ich spór, stawały się wówczas jedną myślą. A zaś odpoczynek je

rozwydrzał i powodował ich starcia wewnętrzne. W takim rozkłopotaniu i rozterce spędzał Rakoczy wieczory i święta.

Chcąc ujść ramionom samotności, które go oplatały podczas mroku i duszącymi uściskami niewoliły mózg, opuszczał chętnie nad wieczorem próg swojej koleby i wałęsał się po dolinie aż do późnej nocy. Gdy się trafił czas swobodny, wtedy zachodził dalej uboczami, nieraz do skraju polan, które zwykle wierchami się ciągną. A w tym czasie było dużo ruchu na polanach. Ludzie, którzy za dnia suszyli pokoszone trawy, dokładali kóp, zwijali się i zamykali koleby, aby ich noc na wierchach nie zastała, bo dalekie drogi mieli do chałup swoich; niektórzy byli z Klikuszowej, inni od Nowego Targu i zdalej jeszcze. Pasterze zaś spędzali woły do koszarów. Odzywały się holokania przeciągłe i śpiewy. Nieraz od Czoła z wierchu zaleciało:

„Hej!... Turbaczu, Turbaczu,

Cożeś tak osowiał?

Ej, czy cię mgła obsiadła,

Czy cię wiatер owiał?...“

Wtedy Rakoczy wspominał z lubością swoje pasterskie czasy, kiedy z rówieśnikami pasał woły po polanach. Było to życie! Jakieś dziwnie lekkie, pełne swobody i beztroski. Szukał pamięcią w załonionych latach i nie napotkał tak szczęśliwych chwil, jak te, przebyte za młodu

na halach. Tak się przypominały, jak te łąki, wygrzewające się leniwie w słońcu. Widzi je dobrze, i tęsknotą wyrывa mu się ku nim dusza. Hej! Żeby się to wróciły...

Baczy — nieraz i miesiąc nie pokazał się w chałupie. Za dnia chodzili z wołmi po trawia-  
stych zboczach, a nocą legowali w kolebie na  
liściach buczyny. Ziemniaki piekli pod jedlami,  
a gdy żywności nie starczyło, to zbierali dziki  
agrest kosmaty i bukiew. Lasy były nieprzebyte;  
nieraz tydzień szukali wołów zaginionych. Ja-  
każ była radość wielka, gdy je nadeszli leżące  
w powalonych trawskach leśnych, że im jeno  
rogi duże wystawały z traw.

I tak pędzili żywot lekki bez obzierania się  
na potem. Ze sobą byli zawdy w zgodzie; jeden  
drugiemu rad woły przywrócił, i każdy nie zjadł  
nic przez towarzyszków. Gdy im się zadużo siły  
nabierało w sobie, wtedy rąbali siekierami kłody  
lub ścinali twarde buki, żyłowate w środku,  
i darli je na łuczywo podczas leniwych słońc. Raz  
ktoś wypatrzył tak grubego buka, że go czterech  
nie mogło rękami obstać; to go trzy dni ścinali,  
nim legł. Albo też, co najczęściej, brali się za  
pasy i siłowali się po dwóch na widoku, a reszta  
stała i patrzyła, zagrzewając słabniejących śmie-  
chem lub uwagą. Kto zwyciężył, ten musiał  
z drugim iść w zapas do tela, pokąd go kto na-  
reszcie nie położył. Zdarzyło się dwóch jedna-



kiej siły, którzy się raz od rana do nocy wodzili, a żaden żadnego nie zmógł. Jednak nigdy w tych zawodach jeden drugiego nie ukrzywdził, nie przychodziło do zajadki, ani stąd powstałych bitek.

Bywały bitki — ho! i bardzo krwawe — ale nie między swoimi. Trafiało się o tym czasie, kiedy polany koszone, że pasterze lubomirscy, którzy w sąsiedniej roztoce pasali, przyganiiali swoje woły na przysłopską stronę.

Stąd oczywisty powód wojny, jaka się toczyła z przerwami aż do zimy, kiedy już woły pozganiano z polan. Ale przyczyny bywały różne. Kto je ta już dziś spamięta! Trza było dać upust siłom — i to też przyczyna. Hej! Były to czasy, były! o jakich i z opowieści nie łatwo usłyszeć.

Jedną tylko znał Rakoczy opowieść podobną, a to historję rzymską z czasów Romulusa. Nie raz, czytając, porównywał i dziwił się w sercu, jak się to tak czasy zejda — dalekie i bliskie.

Bywało — ogień obsieda i radzą, którądy ich zajść znienacka, aby nie postrzegli. Zwykle najśmielsza myśl miewała posłuch, a ten, kto ją podał pierwszy, prowadził wycieczkę. Niekiedy znajdował uwagę i podstęp, zwłaszcza, gdy tamtych zebrało się więcej, i nieporada było na nich iść przemocą. Więc było i tak, że wysłano jednego z pośród siebie, aby zaprosił Lubomirzan

na wspólny obiad. Poszedł z bojaźnią wielką, ale poszedł i, stając przed nimi, mówi: „Bić mnie nie macie prawa, bo ja tu przychodzę z prośbą... Kazali wam powiedzieć nasi, że sie ziemniaki dopiekają i żebyście przyszli”... Ci mu odpowiadają: „Nie zwiedzisz nas. A kielo was jest przy wołach?” — „Jest nas pięciu”. — „A Franek jest między wami?” — „Niema”... Popatrzyli na siebie, porachowali się w myślach i obaczyli, że ich jest trzy razy tylu. „No, to pójdźmy. Ale pamiętaj, że nie twoja skóra, jak nas ocyganisz”... I ruszyli wszyscy za nim. Skoro na wierchu stanęli, zawahali się jeszcze, ale, widząc zdaleka czterech siedzących przy ognisku, pozbyli się wszelkich obaw i poczęli schodzić. Droga wiodła z polany lubomirskiej przez wąski przesmyk bukowego lasu na polanę dużo niższą, gdzie paśli woły przysłopscy. Na drodze leśnej przewodnik się stracił — a w te razy na pędzących śmiało Lubomirzan poczęły padać zewsząd pociski zdradliwe, i uczynił się taki łomot wielki, iż się ci polękli w sercach i pomyśleli, że się las, podcięty, wali. Poczęli w trwodze uciekać napowrót, ale tu Franek im zastąpił drogę; sam widok jego ich przeraził, nie wiedzieć czemu, nie miał bowiem nic w rękę, prócz wykarczowanego pniaka. Rzucili się w bok na obie strony i popadli w las. Nie ocknęli się ze strachu aż w swojej uboczy. Jeden z nich, który w ucieczce zaplątał

się w łomy, dostał się w ręce przysłopskich pasterzy. Pojmali go na postronek i wiedli do ogni-ska śpiewający:

„Hej! Turbaczu, Turbaczu,  
Cożeś tak osowiał..“

Zdumiał się przywiedziony, obaczywszy na oczy, że ich ino siedmiu. Raczyli go ziemniakami i śmiali się, opowiadając całą historję skraja. Obiecał okup drogi, cały rękaw gruszek, więc go puścili, wytrzymawszy przy sobie do wieczora.

Przychodziły na pamięć Frankowi nawet drobne zdarzenia z owych czasów. Tak się bawił niemi, jak dziecko, które stawia domek z patyków i śmieje się wystawionemu. Chętnie powracał myślą do pasterskich lat. Przypominały mu one swobodę, jakiej już potem nie zaznał.

I, włócząc się po uboczach popod znane wierchy, pozdrawiał okiem każde miejsce, które mu jakieś wspomnienie przywiodło.

A myśl, niepokojąca pragnieniem potęgi, chodziła za nim nieodstępnie, jak cień podczas wieczorów księżycowych, jasnych. Nie skryły jej wspomnienia, ani sny, kołyszące ducha w rozmarzeniach. Chodziła za nim uparcie ta krzyżująca myśl i raniła wyrzutami słabniejące serce. Nie mógł się oprzeć jej kuszącym słowom, i z czasem owładnęła nim. To jedno miał na uwadze, że trzeba iść — ale jak, którądy, dokąd,

nie pojmował głową. Wszystko jeno w nim tętniło wezbranem pragnieniem.

Działo się w jego duszy podobnie, jakby roztokę ktoś zatrzymał w biegu: napływają nowe fale, a nie mają ujścia; kłębią się i podnoszą i cofają pianą; szukają drogi gorączkowo i, złamane niemożnością, rozplývają się bezradne i stają w niemocy ciężkiej; jakieś oczekiwanie skupione odbija się w ich powierzchniach, a głębie ich, rosące zwolna, patrzą ku niebu coraz większą, posępniejszą groźbą; wreszcie, wzmocnione przyplývami, poczynają wiertać ziemię, rujnować kamienie i sięgać niszczącemi ramionami w głąb, między samorodne skały; niedługo czasu trzeba, jak je rozważą i wcisną się pomiędzy nie gwałtem; tak rośnie tajemny potok, przedziera się ziemią, aż natrafi na powierzchnię i buchnie znowu roztoką. Taką tajemną wewnętrzną pracą nurtowały w jego duszy zatamowane przeszkodami siły i szukały widnokręgu, aby się ujawnić.

Znużony włóceniem się po stromych uboczach i zmordowany myślami, które go pędziły, siadał nieraz na wierchu otwartej polany i rozpatrywał się po świecie.

W głowie jego wstawały wówczas przeróżne plany, wysnuwane z obrazów, które w zorzy zachodniej widniały w dole przed oczyma. Wy-

obrażał sobie naprzykład, coby czynił, gdyby wojsko szło z dolin ku roztokom...

Najpierw zapaliłyby wici po wszystkich groniach i skrzyknałyby naród wszystkich, aby się, co rychło, gromadził w niedociętym jeszcze lesie pod Czołem Turbacza. Stamtąd rozesałyby strażę na wszystkie wierchy, któreby o obrotach nieprzyjaciela dawały znać ogniem. Ogniska te byłyby, jak chorągwie, różne; na każdą wiadomość insze. Potem wybrałyby z ludzi najmądrzejszych, aby dawali baczność na znak każdy i uspakajali słowami rozsądku naród, trwożący się w sercach. Sam zaś zabrałyby najśmielszych z gromady i piorunem spadłyby z nimi do Nowego Targu; wzięłyby armaty, jak swoje, i kazałyby je wieźć przez wierchy wprost na niższe wzgórze, które górują nad dolną roztoką i nad otwartym ku północy niżem. Pod ziejącemi śmiercią oczami tych armat ani myszby się nie prześlizgnęła. Wszystkoby legło pokotem. Ktoby się odważył zbliżyć, to na pewne zatracenie. Takie czoło żelazne stawiałyby roztoki każdemu, ktoby je chciał przemocą zalać.

Ale przypuśćmy, żeby się nie udało wziąć armat. Co w takim razie? Wróciłyby do oczekujących, pościągałyby z wierchów strażę, tylko jedną, osłoniętą od doliny laskiem, ostawiłyby po to, aby donosiła o bliskości nadchodzących wojsk. W te pędy posłałyby ludzi na całe Pod-

hale, aby, kto żyw, zlatywał na obronę dzie-  
dzin. Zgarnęłoby się moc narodu, zamknęliby  
wąwóz i czerniawą nieprzejrzaną pokryliby  
zbocza; stanęliby żywym lasem... A jakby też  
naród nie posłuchał wezwania — bo i to trza-  
mieć na uwadze — jakby spokojnie ostał w do-  
mach i, chcąc mieć łaskę w oczach nowych pa-  
nów, wskazał jego, jako podburzyciela i herszta  
nienawiści? Jakby go przez to wyjęto z pod  
praw i urządzano nań, jak na zwierza, zajadłe  
polowanie? Wtedy wiedziałby, gdzie się schro-  
nić. Słyszał przecie tyle razy o jamach tatrzań-  
skich, słyszał o jednej w wąwozie wysokim, do  
której prowadzi ścieżka, jak po ścianie. Żeby  
ino żywności naprzód przysposobił, mógłby se  
tam śleobodnie przebyć lata całe. Bo z dołu ani  
z góry dostępu nijakiego, z nikąd. A naprzeciw  
równie ściana i równie wysoka. Siedziałby se,  
jak na chmurze, i spluwałby se na dół, na ły-  
sinę komendanta, któryby już od samego cze-  
kania wyłysiał. A jakby się któremu zachciało  
wyłazić w górę, toby ino starczyło nogą poru-  
szyć kamień, lada gruz wysterczający, a jużby  
wartko zawrócił łbem na dół, nie miałby czasu  
przeżegnać się, lecący prosto do piekła. I ża-  
dna ludzka moc nie zdołałaby się dostać do  
tych zbójeckich okien, przez któreby se patrzył  
na świat, urągając prawom.

— Ale i to byłaby niewola — pomyślał z żalem po chwili.

I tak w radości snując plany różne, zawdy dochodził do smutku. Ten się do serca przyczepił, jak oset, i w rzeczywistości codziennego życia rósł, jak to złe ziele w słońcu.

Ścinając ubocz, smucił się, że czas na niego nie czeka. Odpoczywając, myślał o tem, że czas nie odpoczywa. I w ciągłej był z sobą rozterce. Widział dobrze, że snami oszukuje siły, które wracały z dalekich wędrówek zbite, jak gdyby ciężką przeszły pracę. Wywłóczył je po świecie wyobraźnią swoją, i po wielkich przedsięwzięciach powracały z niczem.

Widząc całą niemoc swoją w stosunku do zamysłów duszy swej, opętanej przez urok potęgi, postanowił nie podawać głowy snom i majaczeniom, a upatrywać rzeczy bliższych, które się wolą dadzą przeprzeć, choćby z wysiłkiem nie małym.

Wtedy to, wracając myśli z awanturnych wypraw, obrócił baczniej oczy na rozutki.

— Dyc i tu świat jak inszy...

Czuł, że i tu potęgi można dojść w działaniu, a niemożebność nie zastąpi.

— Od czego począć? — dumiał, siedząc na wierchu polany. Wyszedł, jako zwyczajnie w niedzielę przy święcie i, chociaż Hanki nie spodziewał się doczekać, bo już coraz to rzadziej

się pokazywała, przecie nie myślał zejść w dolinę, aż o późnym mroku. Trzymało go tu i przyzwyczajenie i owe stanowisko otwarte, wysokie, z którego mógł przezierać świat poniżony w dole i czuć się wyżej ponad nim, jakoby na chmurze. Stąd można objąć Przysłop jednym spojrzeniem szerokiem.

Myśl jego kołem orła krążyła nad roztokami i chwiała się w powietrzu, upatrując czynu. A oczy jego przyciągał barwami zewnętrznym obraz roztok.

Zbiórki były w tym czasie. Zieleniły się tylko zagony koniczyn, częstsze płaty ziemniaków lub kawałki spóźnionego popod laski owsa. Zresztą w całej dolinie i po zboczach rozchylnych roztok była wesoła białość rozpoczętych zniw. Gdzie niegdzie już połyskiwały ścierniska. Ale gęściej widne były złocące się w słońcu płatki dojrzałego jęczmienia i innych pobielałych na stojącu zbóż. Kóp było rzadko po polach, deszcz widać nie straszył ludzi. Co było przed niedzielą zżęte i nie wyschło, leżało na pokosach, mieniących się zdala. Wiele robót było pozaczynanych, ówdzie pokos użyty, ówdzie snopków parę związanych na pokosie; zdawało się patrzącemu, że ludzie zeszli z pola na chwilę i wrócą, nim jeszcze słońce stoczy się za wierchy. Ale cichość była wielka, znikąd echa głosu. Wyraźne święto odpoczynku. Widać było



na polach niedzielę słoneczną, uciszającą nawet trawy, by nie szeleściły.

Rakoczy patrzył z góry na tę uciszoną ziemię i oczyma błąkał się po widnej przestrzeni. Myślał, jak wyglądały roztoki, gdy były lasem doznaku pokryte.

— Czerniawa, bory, nieprzejrzane puszcze... Gdzie się to popodziawało? Żeby to chociaż w ziemię było wpadło... Przyszli ludzie, wycięli, i dziś goła pustać. Ile to czasu minęło, nim ta przemiana powstała. Ile to warstw narosło z trumien na cmentarzu... Kto też tu pierwszy był? Czyje osiedle najstarsze? Ani pamięci ludzkiej o tem niema.

Począł przechodzić oczyma osiedla: Michałczewskich, Potaczków, Cichańskich, Sołtysów i wielu jeszcze innych zasiedziały rodów. A myślą zaś przezierał ich długie koleje.

— Przyszedł człowiek nieznan; nikt się go nie pytał, skąd, z jakiego przybywa kraju; zajmował kawał ziemi, nikt mu jej nie bronił, rąbał las i budował schronisko rodzinie. Tak powstawało osiedle: jedno, drugie, trzecie, aż całe wzdłuż i wszerz roztoki zapełniły się osiedlami. Każdy se siedział na swoim osiedlu i obsiewał swoją rolę, abo wypasał na niej owce, co ino żywnie chciał i umiał. Ale z czasem trza było dzieciom miejsce robić, wydawać córki, żenić synów, a luźnej ziemi już nie stało. Wtedy to

ojciec niejeden przeciął swoją rolę na pół, albo na dwie, na trzy części. Ale osiedle ostało osiedlem. Pastwisko było wspólne, domy razem, ino gazdów namnożyło się z latami. I tak przyszło pomału — gdzie był jeden gazda, tam dziś dwunastu i więcej. Role, dawniej całokształtne, pokrajano w strzępy. Jak i rola Potaczkowa... ile to na niej miedz!

Począł przelatywać okiem ściśnione zagony. Wyobrażał sobie w myśli, jak je czas zwęza pomału, jak niepostrzeżenie, milczkiem pomyka granice.

— Gdybyż to choć było gdzie rozprzestrzeniać się ludziom... Ale już wszystkie zbocza zatorane, zasiane wszystkie wertepy i brzegi, i tłoki skalne, i urwiste drapy, i już się na samych wierchach głowami grunta poschodziły. Dalej nie sposób posuwać się pługiem, bo ze wsząd napierają równie mocno i równie łakomie. Ile na tych granicach krwi rozlanej o parę marnych skib! Gdyby nawet i peczek nie było sadzonych, to wyraźnie znaczyłyby się krwią graniczna miedza. A drzewiej, za lat dawnych, za pierwszych osiedleńców, kto ta gdzie komu ziemi sprzeciżył! Było jej dość, do zbytku, nikt nie na nią wieldze nie łakomił. Mniej piekła było w narodzie, więcej przychylności. I przeszły czasy, minęły, nie wrócą — roztoki zalane ciżbą, aż się przepelniają...

Tak dumając, patrzył z góry na wieś poniżoną i szedł oczyma po polach, z osiedla w osiedle. Wszystko zatrzymywało jego uwagę, jakby pierwszy raz przezierał tę okolicę.

Już się słońce zatoczyło na wierzch Obidowca, a on nie myślał oczu swoich oderwać od zacienionych pól i chałup szarych. Coraz nowe obrazy, jedno z drugich, jak różaniec snów. Owinęły jego myśli pomroką tak gęstą, że się świat cały zatracił, jak w czasie zaćmienia. A obrazy były jasne, przeraźliwie jasne.

...Najpierw stanęło mu w oczach pole niezmierzone. Naraz poczęło się kurczyć ze wszystkich stron. I powoli, powoli szły granice ku sobie, coraz bliżej i bliżej, aż się zeszyły. Miejsce pola zajęła jakaś przestrzeń dziwna, bez nazwy i wyrazu, bez światła i barw. Tak się wyrażać musi chyba nicość. Zalał się tego widoku, i w te razy obraz się rozemgłił. Pomyślał sobie w duchu, że to była mgła.

Ale zaraz drugi obraz nadskoczył podobieństwem tamtemu tak bliski, jakby zeń powstał.

...Oto obszar, pokrajany na wąskie zagony. Te nagle poczęły mu się w oczach zwięzać, zamieniać na ledwie widoczne smugi, i ponikły. A miedze, które się niepostrzeżenie pomykały, jak wskazówki czasu, doszły ku sobie i stanęły. I cały obszar długi stał się polem miedz, bez

płatka zaginionej czarodziejsko roli. Gdzie okiem dojrzał — miedze, wysokie i niskie, pozwężałe i szersze, o różnym wyglądzie. Stały zwarto, jak skiby na mokrze odorane. Rdzawiło je słońce czerwone, jakieś inne, nie to, które ziemi świeci, i zdały się krwią oblane, przepotwornie straszne. Aż zadygotał cały od lęku i trwogi.

Obraz przepadł, a wtedy otwarły mu się chałupy. Jakby ściany powyjmował z nich, wszystkie wnętrza odsłoniły się jego oczom.

Ujrzał niezliczony drobiazg, na raczkach pełzający po ziemnej podłodze, gązdów ponuro siedzących na ławach, kobiety załzawione i dzieci w kołyskach śpiące. Wśród tych ujrzał na zapiecku przyczajoną nędzę, popod ławy snujący się głód o wilczych zębach, i z podchylonych drzwi ze sieni patrzący zarazą — pomór...

I naraz zrozumiał wszystko. Poprzednie obrazy zeszyły się, i stanęła mu przed oczyma twarz bliskiej przyszłości, patrząca niemiłosiernie czarną otchłanią...

Poznał, że jego naród stoi nad urwiskiem. A pod stopami miałki piasek. Zagłada i śmierć.

— Ratunku! — zawołał sercem i uczuł ból, jak kamień ciężki, nieznany dotąd ból. Zdało mu się, że widzi przed sobą człowieka, skazanego na zagładę, który o tem nie wie.

Zwolna powracał myślą na tę ziemię i rozpatrywał się przelękłym wzrokiem, jakby po

strasznym i przerażnym śnie. Ta ziemia straciła już dla niego odtąd barwy jasne i wyglądała tylko ziemisto, jak grób rozkopany świeżo.

Odtąd też o niczem innym nie myślał, jak o tem, aby ratunek wynaleźć dla człeka, który skazany na zagładę i który o tem nie wie.

Aż w chaosie ciemnych myśli błysnęła mu zielona gwiazda.

## VI.

Widnemi nocami siadywał Rakoczy na progu swojej koleby, i kładąc deskę białą na kolana, rysował na niej przy świetle księżyca plan gminy, jaką w długich snach myślenia wyśnił. Do rysowania używał lubryki, czerwonego kamyka o miękkim dotyku, jakiego się zazwyczaj używa do cechowania drzew. Nie brał od razu na uwagę całych rozgałęzionych w dole roztok, ale jeno jedną gminę, rodzinną swoją, Przysłop. Tej się przyjrzał dokładnie z wysokiej polany i najpierw pooznaczał granice linią. Potem uważał dobrze w myślach, które grunta i w jakiej stronie bardziej urodzajne, które mniej żyzne i uprawne, a które nieużytki, i części te wyraźnie naznaczył na mapie. Było ich sporo, lecz mniej niż dawnych osiedli.

Podzieliwszy tak gminę, począł bez porządku znaczyć, co mu się tylko nasunęło w myśli rozognionej. Nie zatrzymywał się długo nad jednym

planem, odkładając szczegółowe przemyślenie na dalsze wieczory. Chciał bowiem jak najprędzej objąć całokształt życia gromadzkiego w granicach zakreślonych przez oświeceniową myśl. Przeto jeno znakami utrzymywał w pamięci swojej mgławicę planów i pomysłów, i gorączkowo dalej biegł wśród mroku nieznanego, zdążając pilnie do celu, który przed wzrokiem jego duszy błędnym światłem migotał.

W sercu się palił, gorzał cały, to rozpaczą wysiłku, to trwogą, to nadzieją szczęśliwości, jaką przeczuwał na ziemi. Ale nie dawał się opanować żadnemu uczuciu, chciał naprzód rozumem wszystko ułożyć i zważyć, aby świat nowy powstał na epoce, którą nie łatwo skruszyć.

Rozłożywszy grunta gminne na części podług urodzaju, począł dalej przemyśliwać nad sposobami ich uprawy.

— Przypuśćmy, to tak, jakżeby jeden miał te wszystkie grunta. Abo jeszcze lepiej, jakżeby jeden ród posiadał je wspólnie. Własność niczyja i wszystkich. Wtedy łatwo zauważyć, jak będzie z uprawą. Tam, gdzie pole korzystniejsze, sadi się ziemniaki, sieje się żyto, jęczmień, orkisz, wykę, koniczynę, i łoży się w uprawę, bo ziemia to wróci. Tam zaś, gdzie rola strasznie skąpa, wysiewa się owies. A resztę, co się nie da zorać z powodu pustki, niedostępu, albo innych przyczyn, obraca się na pastwisko lub na zale-

sienie. Gmina odrazu przez to zmienia wygląd i jest jak jedno wielkie gospodarstwo, na którem łany, jak jeziora, kołyszą się zbożem, abo zieloną płatą szerokie i długie. Miedze się poobalają, granice ponikną, przez to się pola przyczyni o spore stajanie.

Zamrużył oczy w rozkosznem dumaniu i widział obraz rzeczywisty przyszłej swojej wsi. Uśmiechał się do niej tęskno, podobnie, jak na obczyźnie uśmiecha się człowiek we śnie widokom swoich pól. Obejrzawszy obszar cały wszerz i wzdłuż, rozsnuwał dalej.

— Grunta obrabiają wspólnie i zgromadzają plony wszelkie do wspólnych spichrzów gminnych. Skoro już wszystko zgromadzą, wtedy się dzielą zebranemi owocami prac. Każdy otrzymuje tyle ze wszystkich darów ziemi, żeby mógł ślebodnie przez cały rok, bo aż do przyszłych zbiorów, rodzinę swoją wyżywić. Gdyby zabrakło zboża, to jest gminna kasa, jest kapitał gotowy z rozmaitych wpływów. A gdy zaś padnie lato piękne, zboże się udarzy, i po bogatym podziale jeszcze zbędzie plonów, to się je chowa w spichrzach na czas nieurodzaju. I niema obaw przed złymi rokami, jakie trapiły naród głodem, i dosiela trapią.

Odetchnął. Widziało mu się, że to już tak wiele, iż o niczem więcej nawet myśleć nie potrzeba. Radość mroczyła jego głowę i przesła-



niała wyśnionym widokiem wszystko, co nie z tego świata. Już się tak rozmarzył w sobie, że na nic dokoła uwagą nie baczył. Wszystkie nadzieje, myśli i pragnienia zestrzelił w jeden obraz, malowany sercem, w to światło, które zapaliło jego wewnętrzne siły i rozprószyło czatujący mrok przed jego duszą. Ledwie mu zamajaczył ten świat mgławicowy, a już go oczarował, niewoląc ku sobie. Zarysowały mu się z daleka granice, i już wśród nich przeczuciem widział łąkę jasną, na którą tylko wejść i zrywać kwiaty szczęśliwości. Cudował się sam sobie, że wcześniej na to nie przyszedł.

— Wybierze się wielką radę z dwunastu najmądrzejszych, i ci powprowadzają w życie kolejno wszystkie plan. A potem rada mądrych, co parę lat zmieniana, ma czuwać nad robotami, aby jeden nie ponosił ciężaru więcej, niż drugi. I przy podziale plonów musi być dozór uczciwy, aby się krzywda nikomu nie działa.

To pomyślawszy, pewnym był, że już wszystko gotowe, ino zacząć.

Chwilami przychodziło mu na myśl porzucić ścinanie, iść i apostołować za swoim zamysłem. Ale się wnet rozumem opierał gorączce, postanawiając dociąć już do końca. Skoro wyrzekł słowo ciężkie, choć i w konieczności, to musi dotrwać i pokazać, że nie jest słomianym chłopem, ale opartym na wszystko, na wszelki wiew. To

i ludziom się spodoba, i chętniej mu dadzą posłuch, wiedząc, że się nie uboi potwierdzenia słów działaniem do ostatka sił.

Przytem miał w sercu jakiś lęk kryjomy przed nagłością powstania planu. Zdumionym też był równie, czemu to tak łatwo przyszło i stało mu w prostocie jasnej przed oczyma. Ani głowy nie natężał, ani znikąd nie słyszał nic o czem podobnem.

— A może to już jest na świecie, albo kiedyś było, a pokazało się niedobrem i zaniechali... kto wie!

Jak człowiek w najgorętsze pragnienie swoje uderzony, zasmucił się i strwożył niepokojem serce. Ale to jeno chwilę trwało. Wnet się osatał i począł bojaźliwie osłaniać świat swój odkryty przed zalatującemi myślami z tej ziemi, które każdy zamysł nowy zwykłe obejrzeć, wysmiać lub powiać nań zarazą, że się jeszcze w zaczątku pocznie próchnem świecić i, nim się słońcu ukaże, już po nim, już śladu niema z jego chwilotrwania.

Wiedział to dobrze Rakoczy, bo nieraz, gdy się zamyślił o tworzeniu czegoś, już czyhały te wrogi rojem, ogłuszającym każdy szelest myśli dopiero poczynanej. A gdy zamierzył coś wykonać, nie dbając na trwożę przez nie rzucaną na serce, wtedy stawały przed nim postaciami o najdziwaczniejszych kształtach, przybierały

wygląd ludzi znajomych i bliskich, pokazywały twarze drwiące, wargi szyderstwem skrzywione, lub brały się za boki dłońmi i aż włosami ziemi dotykały, nachylając się w śmiechu. I to go nieraz wracało. Ale też i nie mniejszą zamiarom jego przeszkodą było rozważanie w myślach, podobne usypianiu sił, by nie wstawały; była to jakby zabawka, przecie nużąca ducha bardziej, niż sam czyn z zamiarów owych poczęty; brał je w myśli na wagę i ze wszystkiem, co myśl nadniosła, próbował; oczywiście przeważało w końcu wszystko insze, bo zamiar każdy nie miał ciężkości nijakiej w porównaniu z rzeczami, bytującymi na ziemi.

Teraz to wszystko nadlatujące zarazą, Rakoczy łatwo mógł rozpłoszyć, i plan jego przeżył w myślach skałą, bo z ziemi urodził się i na niej był oparty. I jak ziemia rzeczywista, tak rzeczywistym jego oczom wydawał się ten obraz objawionej gminy.

— Kto idzie naprzód, musi dojść, gdzie myślą zamierzył, choćby sto strachów zastąpiło na rozstajach drogę.

I tak pewnym był dojścia swego do tej świątającej w dali jasnej polany, że ani się nie zaturbował, jak iść, którędy i przez co. Wszystką uwagę skupił na widnym krajobrazie. Ścinając drzewa, jak przedtem, czynił to machinalnie i nie patrzył, wiele uboczy ubywa, a cały my-

ślą stał w przyszłości bliskiej, jakby w niej żył i mieszkał ciałem.

Tak go to pochłaniało, że i na głód przestał już być cikliwym i zapominał nieraz, czy gotował obiad lub wieczerzę.

Dumając nad swoim planem, przeważnie nocami, zauważał w nim pomału braki, które go trapiły. W dziele już poczętem w myślach rysowały mu się szczyrby, podobnie jak rzeźbiarzowi, który w glinę tymczasowo zamknął myśl, a glina się zesycha i pęka; inne zaś strony życia gromadzkiego, którym nie oddał jeszcze swej uwagi, czerniły się, jak tablice niczem nie zapisane, stawały niepokojącą jego umysł próżnią, trwożyły jego serce nieznanem, jakie patrzyło pytająco z ich pustych lic.

To równie przyłożyło się, że postanowił dokończyć z uboczą. Widział, że mając czas przy ścinaniu, może wszystko dokładnie przemyśleć i każdy szczegół z osobna. Zanim się obraz uwy pukli, zejdzie chwil niemało. A gdzież sposobniejsze naleźć, jak nie tu, w roztokach śpiących, z daleka od gwaru świata, od zamętu walk.

Schodziły te chwile szybko, ani się obejrząc na nie, ani je dostrzec, jak mijały. Dopiero środa była — już niedziela. A na uboczy nie znać było tych lejących chwil.

Rakoczy z utęsknieniem wyzierał swojej Hanusi, której już od dłuższego czasu nie widział.

Chciał jej powiedzieć, co go radowało, co przez czas jej niewidzenia przyszło mu do głowy. Chciał się jej zwierzyć ze swoich zamysłów — co ona też na to powie, czy ją zachwyca, czy złąkną...

— Pewnie złąkną z początku... moje małe, drogie! Otworzy oczka, jak ta sarna, w zdumieniu trwożliwym, kiedy się jej odkryje nieznane pole. A potem się uraduje jak dziecko nieletnie. Jaka uciecha, jaka duma w jej oczkach rozbłyśnie, że to jej Franek, nie kto inszy, na tę myśl natrafił. Wtedy jej powiem: Moja Hanuś, moje ty wszystko na świecie, ja myśląc o tem, o tej gminie, miałech i ciebie na myśli. O obojgu nas myślałech. Bo skoro przyjdzie do spólności, to wtedy każdy, co będzie pracował, będzie miał udział swój we wszystkich plonach. I nam się będzie dobrze działo, jak równie i wszystkim innym.

Zarzuci mi ręce na szyję i powie: „Toś mój, mój jeszcze bardziej, żeś i o mnie myślał...” Jakżebych nie miał myśleć, moje dziecko, przecież ty moje, moje już na wieki.

I tak rozmawiał z nią przez wyobraźnię i roztkliwiał się w sercu, jakby głaskał jej lina-no-złote włosy.

Tyle mu się nazbierało w tej samotności wynętrzeń, że przepełniały się, jak zatamowane źródło; coraz częściej mówił głośno, ani się nie

spozstrzegał, jak się spowiadał drzewom, skałom i mrocznej pustce koleby; pragnął jakiejś duszy człecznej, którejby mógł opowiedzieć wszystkie radości, nadzieje, dumy, niepokoje. Czuł wewnętrzną potrzebę objawienia ludziom swoich ciężących zamysłów i patrzeć, jakie wrażenie wywołają w duszach, czy je olśnią, pociągną urokiem szczęścia, czy też wzbudzą nieufność zwyczajną do tego, czego jeszcze dotykalnie nie ma. Nie dla utwierdzenia siebie tego pragnął, bo wiarę miał w zwycięstwo dobra, a jedynie dobra pożądał w swych dziełach, ale dla rozchwały ziemskiej, jaka sercu daje odpłatę za trudy, myśli żarzy i do nowych zapala wyśilków.

Tem bardziej wyglądał tęskno obaczenia się z Hanusią, która miłującą duszą odczuje, czego nie pojmie, a wszystko podziwem szczerym, z serca idącym, przywita. I co niedzielę po południu wychodził na wierchy i wypatrywał z widnych miejsc otwartych, czy mu się nie zabieli jej postać kochana. Nieraz do późnej nocy zezmarudził, wałęsając się po grzbiecie wyniosłej polany.

Jednej niedzieli, jak zwykle, wyszedłszy na wierchy, obrał sobie widne miejsce od strony Przystopia, tak, że mógł całą wieś w dole, wszystkie osiedla mieć na oku. Dumał se, że chociażby i Hanka nie wyszła, to będzie miał sposobność oznaczyć oczyma cały plan, całą mapę

swojej przyszłej gminy. I rozpoczął odrazu przezieranie pól. Niejpierw też, nic dziwnego, stanął w osiedlu Sołtysów. Powietrze było czyste, bo jesień się już poczyniała, wszystko się odkryło jaśniej, jakby się zbliżyło. Mógł widzieć zdala dobrze najmniejszą krzaczynę, nawet płot niski przy ogrodzie na widok wystąpił. Franek zbaczył, jak niedawno stał koło tego płotu. A Hania była w sadzie...

— Gdzie ona też teraz? Nigdzie nikogo nie widać... Musi być w domu, albo jeszcze nie przyszła z kościoła. Żeby ja tak teraz zszedł na dół i spotkał ją kany niespodzianie...

Przerwał swoje zamierzenie, bo widział wychodzących z osiedla Sołtysowego ludzi. Było ich kilkoro razem, szli nie drogą, jak się chadza, ale przez pola, na przełaj, i zdążali, widać było, wprost ku osiedlu Cichańskich.

— Cóżby to za ludzie byli? — pytał się w zdziwieniu. I wpatrzył się z natężeniem, jakby chciał z tak daleka rozeznac postaci. Ledwo po barwach zmiarkował, że jest trzech chłopów, jedna niewieścia postać między nimi. Przypuszczenie, że to Hanka, zamieniło się pomału w pewność.

— Któżby inszy? Ona sie tak pomiędzy nimi bieli.

Szli pomału, stawali nawet czasem, jakby opatrywali idący ostatnie ścierniska.

— Ale wyraźnie, widać, opatrują grunt; i to Suhajów, bo po jego kawałkach przechodzą... Coby to było? — zaniepokoił się Franek. — Cóż Hanka między nimi ma do czynienia? Bo to pewnie polowi. Ale nie. W niedzielę przecie nikt nie urzęduje.

I sam nie wiedział, co myśleć. Uradował się, że widzi Hankę w zdrowiu. Bo nie wątpił już, że to ona, tak mu serce przekonywająco gadało. Ale i zły był, że sobie tak śleobodnie po polach spaceruje, jakby żadnego Franka na świecie nie było. A on tu czeka, Bóg wie odkąd, i przez tyle niedziel... Trzeba ją za to ukarać — poddawał mu gniew, zmieszany z uradowaniem serca. Szarpnęła go chęć zejść na dół, tak się mu wydało blisko. Ale namysł chwilowy odrzucił tę myśl.

— Jakby jej tu uwagę zwrócić na się...

Dziesięć pomysłów nadleciało, ale wszystkie nieporadne. Wywiesić chustkę na smreku? Nie ujrzy. Przecie to daleko. Z dołu jeszcze gorzej patrzeć. Zapalić ogień? Skądże będzie wiedziała, że on to pali? Kiedy wie, że nigdy przy niej nie zakładał tu ogniska. A pasterzy dość po wierzchołkach... Trza innej rady.

Wpadło mu na myśl, że nic lepiej, jak chyba zaśpiewać. Ale tak głośno, żeby usłyszała. Ba! po głosie nie pozna. A i śpiew pewnie do niej nie doleci. Chyba odzew, to prędzej...



Było to dawne pasterskie wołanie, mające właściwą sobie nutę, przeciągłą, jak fale wiatru. Drzewiej, kiedy pasterz jaki, stęskniony za widokiem pasterki, która była gdzieś w zapadłej uboczy z owcami, chciał się z nią zejść, to jej tylko tem hasłem dawał znać o sobie. A ona mu odpowiadała, jak echo jękliwe, i naprowadzała go na drogę, która ku niej wiodła. Inaczejby się nie spotkali w tych bezmiernych lasach. Nieraz on stał na jednym wierchu, a ona na drugim, i nie mogli się nijak rozeznać z daleka: poznawali się po sposobie przeciągania głosu, bo każdy pasterz i każda pasterka mieli swój własny sposób dokończania.

Franek pewnym był, że Hanka musi znać jego odzew, bo musiała słyszeć nieraz, jak się odzywał w uboczy, schodząc wieczorem do Huciska.

— Ino czy doleci do niej? Bo to przecie dal...

Poruszające się zwolna maleńkie postaci były już w połowie drogi między osiedlem Sołtysów a Cichańskich. Rakoczy, nie zwlekając, nabrał oddechu w pierś i, jak mógł najpotężniej, ozwał się przeciągłym głosem:

— Ou-ho-ho-ho-ho!

A skoro echa pocichły, dorzucił, jakby ostatnie, ostro urwane:

— Ho-hu!

To najroźgłośniej się odbiło o wszystkie ubo-

cze i wpadło do roztoki, jak skała puszczona z wierchu.

Z niespokojnością serca śledził oczyma wrażenia i spostrzegł po małej chwili, że postać biała, niewieścia, oddzieliła się od innych i szła napowrót, z początku pomału, a potem coraz prędzej, ku Suhajowej chałupie. Teraz z radosnym niepokojem patrzył, rychło z tej chałupy wyjdzie. I rzeczywiście wyszła wnetki, podała się ku roztoce i szła wzdłuż drogi chodnikami wyraźnie ku wierchom. Serce mu zatrzepotało uciechą i szczęściem.

— Moje drogie, najdroższe! — szeptał, wpatrzony w białą postać, która skracała widać drogę, przecinając pola. — Pójdę naprzeciw! — zerwał się ochotnie.

I pomknął na dół ścieżyną wśród gąszcza, a potem już i ścieżki nie patrzył pod nogami, wpadł do wrębu i na prost biegł po zdradliwych wertepach, byle prędzej ją ujrzeć i ździwić niespodzianie. Pędził, jak rogacz ku wodzie, wśród wysokich traw, wśród potrzasku łamanych pod stopami gałęzi i grzechotnego chrzęstu okwitłej gibrzyny.

Jakież było jego zdumienie, gdy spotkał Hanke już we wrębie, schodzącą, zdawało mu się, na dół. Przestraszona jego pędem i szumem, jaki uczynił, długo nie mogła słowa przepowiedzieć, gdy stając przed nią, zawołał:

— Hanuś! Skądżeś się ty tu wzięła? Toś nie ty teraz szła z dołu ?

Hanusia, trzymając się dłonią za piersi, odychła i szepnęła z wyrzutem:

— O! takem cię sie złąła...

I chwilę, patrząc na się, milczeli oboje. Franek jakiś zawód przewiewny uczuł w sercu, że to nie ona szła z dołu. Naprzeciw tamtej bowiem biegł, i trudno mu było teraz nagle wszystką radość ze spotkania obrócić ku niej. Ona zaś, zwyciężywszy lęk i pomieszanie, patrzyła nań z przebiegłą w oczach upartością i gotowo oczekiwała, co powie.

— Pędziłeś naprzeciw ciebie — zaczął — bo mi sie zdawało, że ty idziesz od chałup, ale widać, że mnie oczy zwiedły.

I powiedział jej, jak było z tem całym złudzeniem.

— Musiałaś słyszeć mój głos...

— Słyszałaś, i zganiałaś zaraz owce, żeby wyjść ku tobie...

— Toś z owcami?

— Dy widzisz... Wyszły z ugorów do wrębu, i trza było je zegnać na dół, żeby kto nie zajął. Chcieli pasterza posłać po nie, ale ja sie sama wyrychliła na to, żeby cię widzieć...

— Jakaś ty dobra moja! — szepnął.

Uśmiechnęła się nieznacznie i poczęła się mu sprawiać, czemu tak długo nie była na wier-

chach. Gdy kończyła zażaleniem, już łzy jej w oczach stały.

— Nie dadzą mi iść nikany i zakazują ostro. Dopokąd jeszcze maliny były we wrębie, tom sie mogła wycyganić...

— No, nie płacz-że, moje dziecko.

Przygarnął ją ku sobie i, siadając na trawniku, posadził na kolanach. Wyrwała się, podbiegła do najbliższego pniaka, wskoczyła nań i rozejrzała się z uwagą na wszystkie strony. Poczem wróciła i siadła obok Franka.

— Nie mam dużo czasu... — szepnęła.

— O żebyś ty wiedziała, Hanuś, co ja przez ten czas przemyślał!

I począł jej opowiadać o zamiarach swoich. Mówił bezładnie, ciżbą słów, jakie się tłoczyły, przynaglone gorącością i zapałem serca.

A Hanka skubła mech palcami, wyczekując rychło skończy. Coraz niecierpliwiej targła mech i trawę razem i roztwierała dłoń nerwowo, upuszczając je na ziemię. Wreszcie przerwała mu:

— A ubocz ścięta?

— Nie! — odrzekł szorstko, dotknięty przybaczeniem, które go samego gryzło. I zaraz dodał: — Ale to nic. Zetnie sie jeszcze na czas. O tem nie myślę, bo, jak widzisz, ważniejsza rzecz jest do myślenia. Cóż marna ubocz wobec tego? Jak dzień chmurny, który już dochodzi,

wobec jasnej i długiej przyszłości. O żeby ja ci to umiał wszystko opowiedzieć!

— Opowiesz mi kiedyindziej — przerwała szybko. I umilając uśmiechem odmowę słuchania, przycisnęła się do niego gorącym ciałem, które piekło i parzyło, jak mech w lipcowym skwarze południa.

Począł drzeć mimowoli i dygotać cały. Świat mu ginał poza nią i zachodził mgłą. A ona, nachylona piersiami ku jego piersiom, patrzyła w jego oczy płomieniami ocz. Rozżarzał się pod jej spojrzeniem, i począł płonąć, jak smrek na suchu podpalony. Przywarł wargami do jej ust rozwartych i zabaczył już doznaku o wszystkim.

— Bądź mój... tak strasznie — szeptała w uścisku — bo kto wie, kiedy znowu będziemy razem... . . . . .

W oszołomieniu dziwnem powracał Franek do Huciska. Miał uczucie, jakby go ktoś, jakaś moc niezwykła uobracała w wietrznem kole na miękkiej pościeli i postawiła na ziemi. Dziwnie słodkie marzenie napowietrznej jazdy i potem zawód niewytłumaczony. Jakgdyby przebył błogi sen szaleństwa i zbudził się z pamięcią o nim. Pamięć ta za nim szła i zaskakiwała przed oczy, otrząsnąć się z niej nie mógł. Przypominał mimowolnie rozkosze piekła czy raj, które

jeszcze teraz, choć już przeszły, dreszcz w nim budziły.

— A potem... Cóż to było? Aha! Ktoś zawołał: „Hanka!“ i znowu głośniej: „Hanusz!“ Zerwała się, powiadając: „Ujna mnie wołają“... To ta ujna szła z dołu, kiedych myślał, że to ona.

I tak o wszystkim myśląc i o niczem, szedł w mroku, bo już mrok był, prosto do Huciska. Kiedy stanął u progu swojego domostwa, jak płaszcz opadło z niego uroczne omamienie, coś, jakby mgła planetnicza, rozwiało się z przed oczu.

I poczuł niesmak ze siebie samego, jakiś wstyd wobec myśli, które go przywitały w progu. Tyle tu nocy przedumał...

— Nie wiedzieć, co mną rządzi. Jakże ja mógł zabaczyć przy niej...

Ale myśląc to, przyznawał, że mógł zabaczyć o wszystkim.

— Kto wie, kiedy się znowu ujrzymy...

W ciężkiem niezadowoleniu usiadł i podał głowę zadumie.

— Nie, nic jej nie powiem, skoro tak... Aże się wszystko uwidoczni.

I począł snuć, jak pająk, przerwaną robotę. Chwile szły, coraz czarniej czyniło się dokoła, a on siedział, pogrążony w myślach, kąpiąc duszę w promieniach wschodu, który mu nad ziemią wymarzoną ognistym słońcem wstawał.

I rano tak się obudził, jak wieczór siadł. W pamięci pozostały mu odkrycia, poczynione w planie gminy, z której marzeniem zasnął. Te, jak dobre uśmiechy, przywitały go na dzień nowy i podnieciły do pracy.

Z każdym dniem ubywało po kilkanaście drzew z uboczy, z każdym dniem rósł jego plan, chowany w myślach. Rakoczy dorzucał doń w beładzie, co nadeszło, pewny, że się całość stworzy z tych właśnie rozskoków.

— Podstawa główna to już jest, a potem — co kto woli? Niech se każdy gazduje w chałupie swojej, jak mu sie żywnie spodoba.

Rachując prace, zauważył, że ludzi zbędzie od robót.

— Teraz każdy na swoim namocarzy sie, narobi, a i tak nijak biedy nie zratuje, choćby i swoje ręce do łokci poudzierał; robota wlezie, nie znać jej, i ramion wsze brak do roboty. Inaczej, gdy sie wspólnie popycha naprzód pracę; wtedy sie toczy wartko, jak wałek po równi, i siły telo nie potrzeba, ostanie sporo rąk.

Co z nimi począć? Dumął. I stąd nowe zamysły wstawały.

— Trza zaprowadzić kopalnie, założyć warsztaty. Juści jeden nie poradzi, ale cała gmina. Na młakach Potaczkowych są pokłady gliny, możnaby cegielnię stworzyć. Kto na polu nie rad robi, a do fabrycznych zajęć chętny, to sie go

użyje. I nikt nie będzie po próżnicy bożego chleba jadł. A każdy najdzie taką pracę, co go zadowolni. Kto ino ma jaki talent, to go nie zakopie, ale wydobędzie na jaw na pożytek bliżnim. Weźmy kowala, krawca dzisiejszego: połowę czasu tracą na obrabianie pola, jakie mają, bo któż je im obrobi, a resztę zbytecznych chwil od zajęć gospodarskich obracają dopiero na rzemiosło. Ani tamtego, ani tego dobrze nie wykonują, ani stąd, ani stamtąd użytku dużego. I tak się spycha i kutwasi jak może najgorzej.

To znowu rozsnuwał dalej:

— Każdy, jakąbądź pracą zatrudniony, czy rolną, czy fabryczną, czy wreszcie warsztatową, ma swoją część w plonach wszelkich, jakżeby je sam uprawiał, i równy udział we wszystkim. Gmina łoży na naukę zdatnych rzemieślników, którym ojcowie, jako i dziś, nie mogliby dać żadnej pomocy od siebie. Gmina posyła zdolnych chłopców i do wyższych szkół. I wychowuje z latami: dla swoich fabryk techników, dla oświaty swej nauczycieli, dla chorób dusz swoich księży i dla chorób ciał lekarzy — cały zastęp ludzi swoich, którzy znać będą przyczyny niedoli i zła. Będą radzić, nauczać i leczyć zbawiennie, aże gmina ozdrowieje, i na sercach już nie będzie nijakiego trądu.

Zaszedłszy myślami w przyszłość, gdzie już słońce grzało i serce się topiło w gorącu rado-



ści, wracał znowu do początku, do najbliższych zmian, i tak wędrował bezustanku nieznużoną duszą.

— Pastwisko będzie wspólne, rozumie się, tośmy już oznaczyli na desce. Ale tego jeszcze nie, że dwoje, troje upasie wszystko bydło z gminy. Reszta pasterzy niech się zawie o młodszych braciach swoich, żeby nie wypadowali z kołysek na ziemię, nie rozbijali głów zawczasu, bo rozumu szkoda. I tak zamało go jest w jednym mózgu, a jak się jeszcze wytrzęsie... Bóg nie doda, i na nic wszelkie ofiary.

Rozweselony uciechą, że mu się wszystko tak składało bez trudu, pokpiwał w duchu z tej nieporadności, jaka się rozlega wokół i trapi naród klęską.

— Dyc' ino chcieć, nic więcej, a wszystko się rozpadnie. Cały ten śpichlerz gminny, w którym myszy gazdują, szukając plewy jakiej, bo ziarna niema. O ludzie nieobaczni! Tyle doświadczeń za wami... I co to wszystko płaci, kie się nie chce.

Coraz większym zapałem rozplómiął duszę, gdy widział, że już końca dobiega myśleniem i że go już nieznanie nie dręczy pytaniami. W sercu uczuwał taką pewność lekką, jakżeby przeszedł gęstwienę ciemną, nieznaną jakiś bór i ujrzał wreszcie spodziewaną długo, tęsknotą w tej wędrowce leśnej ukochaną — jasną polaną. A na niej szczęście, już wyczekujące, pa-

trzące słonecznemi oczyma przez drzewa naprzeciw idącego.

— Zło stopnieje w sercach ludzkich, jak bury śnieg ku wiosnie. I zapanuje dobroć w naturze człowieczej. Powiadają, że natura nie da się odmienić. A Chrystus ją przeodmienił. Widać, że nie wieczna. Od tego czasu nie sto lat! Słowo ostało słowem. Opowieści o raju chodzą i nic więcej. A tu na ziemi piekło się przestrzemi... Odrazu się zagasi, jak sadze zatlone. Bo ktożby dobrowolnie chciał pozostać złym, jak niema przyczyn ku temu? Człęk nie będzie się turbował, co dzieciom da jeść, co jutro i pojutrze i dalej, nie będzie się łamał głowy, skąd wypłata wydobyc córkom, jak synów podzielić gruntem, którego nie staje, stąd i zjadłość na ludzi odejdzie go odrazu. Jak płaszcz zmorą duszący, opadnie z niego złość, i wstanie inszy. Ani się sam nie pozna po niedługim czasie, jak się w naturze swojej przeinaczył. Nastanie spokój, do którego każdy, jak z czyścica, z dzisiejszych dni wyciąga chude ręce. Ludzie dobrzy — sprawiedliwość — ponad wszystkim spokój. I to będzie prawdziwie chrześcijańska gmina.

Żył w niej myślami wszystek i prawie ciałem w niej przebywał, odczuwając przyjemność wysnionego życia. I tak... W niedzielę po sumie widział się w gromadnem kole, w przestroniej gospodzie. Zebrali się tu wszyscy, aby spożyć

obiad. Nie brak i księdza, i nauczyciela, doznaku jak za czasów Chrystusowych gmin. Po obiedzie przechodzą do bocznej czytelnicy, aby okrzepić znowu ducha i umysł, przyprószony tygodniową pracą. Poczem zabawa. Młodzież popisuje się, czem umie: muzyką, śpiewem, zapasami, a starzy siedzą po ławach, jako sędziowie uważni. Poczem ciekawe gawędy, opowieści starych, a wreszcie wypoczynek pełen dobrych wspomnień. I znowu tydzień robotny, i znowu niedziela biała, i mieniąca się, jak wstęga, rozmaitość dni. A wszystkie jasne...

— Trza już raz zacząć! — porywał się, tęsknotą ku temu nowemu życiu pchany, tem mocniej, że je widział tak bliskiem i tak wyraźnem, iż woła, zdało mu się, można je było za dzień dosięgnąć. A tu ubocz więziła go, jak łańcuch przykuwający. Szarpał się w sobie coraz to rozpaczniej. I nie widział nawet końca tej niewoli ciężkiej. Czy wieczność sama? — dumał. — Co ja se poradzę?

A tu plan dojrzał i wołał o życie. Franek trawił się gorączką, to w niemoc popadał. A dni leciały w pośpiechu, jakby je kto pędził. Wreszcie wpadł na myśl krzepiącą.

— Co mi z przechwały, że ja ją sam zetnę, kiedy sto razy ważniejsze czeka...

I postanowił przynająć dwóch chłopów, aby jeno prędzej skończyć i czas poświęcić gminie.

Schodząc raz wcześniej z góry, niedługo po zachodzie, nadszedł przy drodze Teklę, komornicę, składającą na powróż gałęzie z cetyną i chróst uschnięty, drobny, zdatny do podpały. Przywitał ją wesoło:

— Jak sie to przytrafia, że zawdy wtedy was spotykam, kiedy mam interes we wsi. Wyręczycie mnie i teraz, moiściewy, drodzy...

— O cóż takiego idzie? — spytała, prostując powoli plecy.

— Trza mi dwóch chłopów do ścinania. Nie wiedzielibyscie o jakich?

— Wiem... — odrzekła z powolnym namysłem — Chudomięt by sie zgodził, i Bekac by z chęcią przystał, bo oni haw już ni mają roboty, poprzątałi, zebrali, co mieli na polu. A na zarobek każdy chciwy...

— To ich też upytajcie za mnie, moiściewy, bo musiałbych sam zejść na dół...

— No, nie turbujcie sie. Ja im ta już powiem. A jakże z płacą?

— Jak będą chcieli. Abo za dzień, abo za sztuki wyłupionego drzewa, co wolą.

— Juścić, wy ich ta nie skrzywdzicie.

Schyliła się i poczęła składać dalej nazwłózione za odwieczerz gałęzie.

— Coż ta na dole słyhać? — spytał Franek.

— Jak zawdy... Biedy kroćsetnej moc i tyle.

A więcej to ta nic ciekawego bardzo. Zresztą... musieliście i wy słyszeć, bo tu ludzie chodzą.

— O czym, myślicie?

Popatrzała w jego oczy z uwagą chwilową i zastanowiła się w duchu nad czymś. A potem poszepnęła jakoby do siebie:

— To wy, widać, nic nie wiecie, skoro tak.

W oczach, jak i w głosie jej dostrzegł Franek jakieś w zatajeniu skryte, litosne pożałowanie. To go uderzyło przykro.

— Mówcież wyraźnie! — zawołał.

Przychyliła się jeszcze niżej, jakby złąkniona jego naremnością. Po chwili, nie przerywając roboty, poczęła:

— Niejednaki są serca na świecie, bo też i niejednacy ludzie, moiściewy. To też to największa bieda, że razem żyją...

Franek się zastanowił nad jej słowami. Przebierał je chwilę w myślach i zdumiał się niepomąłu, skąd powstały w tej głowie biedaczey. Nie mógł zaś nie zauważyć, że były dokończeniem dłuższych przedumywań, kto wie gdzie i jak zrodzonych, przez jakie nieszczęścia. Myśl, zawarta w jej słowach, wydała mu się, jak ptak o nieznanym upierzeniu, przelatujący z nagłą poprzód oczy. I jak nieraz praca pilna, albo inszy nieczas nie pozwoli śledzić ptaka o dziwnym przystroju, tak obecnie niepokój, trącający serce, przerwał Frankowi rozsnuwanie myśli.

— Do czegoż to mówicie? — spytał.

Tekla jednak nie odrazu odpowiedziała.

— Ja wiem, do czego mówię. Wyście sto razy szczęśliwsi, żeście zdaleka...

— Ja zaś nie powiem, żebych był szczęśliwym...

— Ale mnie się tak widzi.

Poskładawszy gałęzie, związała je powrozem, i miała już ociepkę zawdziewać na plecy. Franek się przybliżył ku niej.

— Wy coś kryjecie przede mną — rzekł — ja tak uważuję. Ale przecie możecie powiedzieć mi otwarcie, tem bardziej, jeśliby to mnie miało dotyczyć.

— Moiściewy, kochani! To trudno powiedzieć, jak się nic z pobliska nie wie... A ludziom wiary dawać nie popłaca. Bo ludzie pletą, co sami umyślą, prawda zaś zwykle poza płoty chadza. Ktoby ją chciał od ludzi nabyć, to się sparzy. Jak i mnie nieraz sparzyło...

— Tu się przecie obawiać nie potrzebujecie...

— Ja się też nie boję o się. O was mi ino markotno, jakbyście se mieli przybierać do głowy to, co się ludziom od wiatru przyśnije. I szkoda nawet, żech wam natrąciła... Wierutne bajtki muszą być, nic więcej, bo jakby prawdy było choć napałek, tobyście wy musieli pierwsi o tem wiedzieć. Widujecie się z Hanką...

— Widuję...

— Wiem, napotkałaś ją kiedyś, wracającą z wierchów. I cudno mi doprawdy... Nic wam nie wspominała?

— O czym miała wspominać, myślicie?

— Niby o Cichańskiego zabiegach...

— Nie! — odrzekł szorstko, dotknięty przypomnieniem wolego łba, jak go nazywał zwyczajnie.

— Oj ludzie, ludzie! — szepnęła z westchnieniem i schyliła się po ociepkę.

— Zaczekajcież — odsunął ją łagodnie Franek — odniesę wam na chwilę, choć ku wodzie.

Spojrzała nań z wdzięcznością, a on gałęzie zarzucił na ramię, i poszli razem na dół drogą ku rwącej roztoce.

Skoro dochodzili wody, Tekla przystanęła, gotowiac się do odebrania ciężaru. Ale on jeszcze nie myślał się zegnać i szedł z nią wzdłuż roztocki przez całą dolinę. Dopiero za wąwozem zdjął brzemię z ramienia, powiadając:

— Tu granica. Teraz wam już oddam...

— O, niech wam Bóg zapłaci! Boście mnie skrzepili setnie.

Przyklęknęła na ziemi i, odebrawszy ociepkę, wiązała końce powroza pod szyję.

— To się już o tych chłopów nie trapię...

— No moiściewy!...

Stał przed nią, wyczekując, aż powróz zwiąże, aby jej pomóc brzemię zadźwignąć na

plecy, i spodziewając się jeszcze usłyszeć co od niej. Bo go jej słowa poprzednie nie zadowolily i nie uspiły w nim niepokoju serca. Skoro milczała, wprost zagadnął:

— To mi nic nie powiecie do końca?

Czekała, widać, i ona na to zapytanie. Nie patrząc nań, z przymusem jakoby odrzekła:

— Cóż wam powiem, moiściewy, kiedy ja sama jak ta owca zabłąkana w lesie. Nic sie pewnem nie wydaje, a domysły zwodzą. Ale, skoro tak koniecznie chcecie... Powiadają, że ta cosi u wójta sie stroi. Pono były namowiny...

— Kłamstwo! To nieprawda! — krzyknął.

— Ja wam też zaraz gadała, że to muszą być bajtki. Bo coby inszego było? Ludzie zawdy ludźmi...

I, nie czekając dalszych pytań, zebrała się wartko.

— Ostańcie z Bogiem — szepnęła.

Nie dosłyszał pożegnania. Stał w zadumaniu tępem, nieruchomo i patrzył zasępiiony przed się. A mrok go osnuwał zwolna czarną pajęczyną.



## VII.

Niema siły, powiadają, którejby trzech nie zmogło. To też ubocz przelękała się, gdy białym rankiem wyszło ku niej trzech chłopów do wal-ki. A każdy dzierzył w dłoni piorun o błyszczącej stali, która na ostrzu niosła zgubę i niechybną śmierć. Z trzaskiem padały harne smreki, waliły się, niby maszty druzgotane burzą. Jedle zaś, upadając, wydawały jęk przeciągły, który po ziemi dudnił jeszcze długo po ich rozgłośnym skonie.

Ubocz, odziana lasem, poczęła się kurczyć i zmniejszała się widocznie z dniem każdym. Płat lasu topniał, jak płat szarego śniegu, który, przez wiatr nakryty ziemią, uszedł oczom słońca, aż ono, wyszedłszy na wierch, dojrzało go z góry i w gniewie swe ogniste groty nań wypuszcza.

Coraz więcej bielejących, odartych ze skóry drzew zaścielało zbocze. Widziało się patrzące-

mu, że to pobożowisko jakieś smutne, gdzie trupy schną na słońcu niegrzebane, i świecą gęsto odziobane przez wrony piszczele. Groza zniszczenia i śmierci szła od tego zbrocza. A łoskot walki posunął się wyżej, i zdawało się, jakby burza stała nad cmentarzem. Raz po raz trasku u wierchu, jęk i grzmot przewlekły, piorun, zda się, rozszczepia chmurosiężne drzewa — a na dole martwota zarośniętych zgliszcz, pniaki stoją omszałe, jak dawne grobowce.

Setnie dopomagali Rakoczemu: Chudomięt i Bekac. Przez dzień razem tyle położyli drzew, co sam przez tydzień. Bo też trzem łatwiej było podzielić się robotą, zastąpić sposobem siłę i nie dać się czasowi wyprzedzić. Dwóch podrzynało, a jeden podcinał i kliny bił, aby pile nie było duszno przedzierać się rdzeniem. W minutach kładli drzewo; potem je łupili i obrabiali dokoła na gładko. Szło tak sprawnie, jakżeby kto wiatr zaprzągnął w maszynę i rozpędzoną roztokę dodał ku pomocy. Koniec już widać było; przez drzewa, gdy się spojrzano do wierchu, przeświecało niebo. Te białe okna wskrós zieleni przeredniałych drzew patrzyły w serce Rakoczego słońcem, jak jasne oczy wytchnienia.

Bekac z Chudomiętem schadzali na noc do wsi; chałupy ich bowiem były blisko, na kraju Przysłopia; chyba jak padła noc ciemna, że drogi

nie uznać było, wtedy przyostawali w kolebie, i Franek ich gościł.

Obiady jadali razem; najczęściej ziemniaki piekli, bo im to najporęczniej było i najtaniej. Przy obiedzie też jedyne mieli za dzień chwile wypoczynku. Rakoczy swoim zwyczajem siadał na najbliższym pniaku i zwieszał głowę, oddając się medytacjom przeróżnym. Bekac zaś kuczał nad watrą, co chwila wygarnował z popiołu żarzące się węgle, rozbijał je na dłoni i kładł do małej fajczyny, która mu ciągle, nieustannie gasła; cierpliwości się już nauczył przy niej i nie szacował sobie trudu, póki ognia stało. Chudomięt znowu leżał na wznak opodal na ziemi, zakładał dłonie splecione pod głowę i rozprostowywał plecy, na które narzekał.

— Mnie nic tak nie pomoże, jak ta ziemia święta... Dziwny i to ból doprawdy, ni mogę go pojąć. Jak się zweźmie nieraz, to tak drze, jakżebyście szczeciami jeździli. A przy robocie, to go nie czuć, kanysi się straci. Dopiero, jak człek odetchnie, wtedy skądsi besterja psia sobacza wyjdzie. Co ja już nie używał na to! To ani... Co kto doradził, co ino apteki mają. A wszystko na nic, tak, jakżebyś za płot prał, bo nie inaczej. Jedna ziemia kochana, ta mnie trochę ratuje i krzepi. Jak się tak urobię dużo, a legnę se na gołej trawie, to mnie na chwilę opuści. Ale

potem znowu wraca. Żebyś tak miał czas wiecz-  
nie leżeć...

Przymykał oczy, oddając się błogości spo-  
czynku.

— Co ono w tej ziemi jest — myślał na  
głos — co tak człowieka ku sobie przyciąga.  
Wielu przed śmiercią kazuje się na ziemię skła-  
dać. Ono ta lżej na ziemi, ja sam po sobie czuję.  
Jakaś moc musi być w niej, co ma swój walor.  
Ssie niemoc z człeka, jak pijawka zmordowaną  
krew. Żeby mogła ten ból z pleców doznaku  
wyssać...

Bekac chwycił okazję, żeby opowiedzieć po-  
wieść o ziemnym duchu.

On zawdy, gdy kto mówił, zdawał się nie  
słuchać, zajęty nieustannem zapalaniem fajki,  
a w rzeczywistości słuchał i równocześnie je-  
szcze myślał, jakaby tu historję przyczepić do  
gwary. Tym razem łatwo było dostosować.

— Powiadacie: ma swój walor... Juści, że  
musi mieć. Ale wy nie dufajcie, że zrazu po-  
może, bo to najgorszy z duchów ten duch ziem-  
ny. On się ino tak łasi, żeby was przycapnąć.  
Nie ujrzycie go nigdy, bo się wam nie pokaże.  
Popod sam wierch ziemi chodzi i czyha na  
człeka. Ale nie do każdego ma walor. Jakeście  
nie bierzmowani...

— Juści nie...

— To się strzeżcie.

Co chwila zapalał fajkę, przerywając gwarę.

— Miałech raz taki wypadek... Ale to już dawno było, jeszcze za nieboszczyka księdza...

— O, to już setnie temu!

— Hej. Drużbowałech z Jantkiem z Brzegu na jednym weselu. Ten, wiecie, Chudy od Pocięchy wtedy się żenił. Wesele padło na takie zadymki, że mało kto i do kościoła szedł, bo zasy były straszne, co nierada. A tu nam wypadało ludzi zganiać. Poszliśmy jeszcze od kościoła na Lubomierz, tam-eśmy cały dzień prawie zmitrężyli, nikt, nawet z bliskich krewnych, nie dał się uprosić, coby szedł z nami na wesele. Coż było robić! Zebraliśmy się oba, już pod wieczór, i zdążaliśmy na prost przez przylaski, zapadając po pas i głębiej w zasy. Jantka-ście znali, wiecie, że był chłop rosły i mocny. Ja przy nim był jak mizera. To też szedł naprzód i torował drogę, i tak-eśmy się dopchali do Równi. Wtedy tam jeszcze las stał, śniegu było mniej, niż na otwartem polu. Widziało się, że już łatwo dojdziemy do chałup. Dyc niedaleko było, bo ino ćwierć mili, a uszliśmy sporo więcej, nie rachując zboczeń. Ale jak nieszczęście ma spotkać, to i przy chałupie spotka. Noc nas przysiadła w lesie, jak płaneta, i oślepiła całkiem. Telo widno było, co od śniegu, że ino człek o drzewa nosem nie zawadzał. Ale więcej się na domysł szło, niż na pewnoś, bo się pamięć straciła do-

znaku z przed oczu. Naraz mój Jantek poczyna coś kwękać, o, i przyostaje za mną, spoczywa co chwila. Poczekuję go, widzę, że mu cosi chybja. „Coż ci to Jantuś?” — pytam. — „Nic mi, nic”... — powiada, i zbiera się i chce iść naprzód, a nijak ni może. Wzięłech go pod ramię i z wysiłkiem prowadzę, a ten mi leci przez ręce i leci. Zmordowałech się przy nim, co myślicie, przecie chłop, jak drzewo. Nieporada go było nad ziemią dotrzymać. Tak się ku tej ziemi ciągnął. Upadł wreszcie na ręce, i poczyna się gramolić, jak po śliskim lodzie. Pomagam mu wstać, ale darmo, widzę, że nie wstanie. Proszę go: „Jantuś! Przecie też miej rozum... Ktoż widział tak się dać osłabić?” Zaklinam na wszystko w świecie, ale ten nie słyszy, ino się ku tej ziemi prze i przez uparcie. „Jezus kochany! — myślę se. — Coż ja tu z tobą bede robił? Ani chałup poblisce, ani człeka”... I tak stoję bez rady przy nim, widzę, że chce się jeszcze gratać, a tu już nie sposób. Pomyka się na raczku i walczy z czemś i walczy, i nijakiej se ni może dać rady. A ja też nie widzę znikąd, jak mu i czem dopomóc. Wziąć go na się? Nie uniesę. Czekać, aż pomrze? Coż mu z tego...

— Ho! ho! moiściewy... — dziwił się Chudomięt, który tę historję już słyszał od niego. — I jakżeście poczęli?

— Rozum mi wtedy doradził, cobych po lu-

dzi szedł. Juścić, nie zwłócząc, zabrałech się wartko i poszedłech przez zasy i śniegi na domysł. Musicie wiedzieć, jakech szedł, skoro już po czepinach było, kiedych się zjawił na weselu. Przelękli się mnie, jak ducha jakiego, bo nie inaczej musiałech wyglądać. W rękawach pełno lodu, jak mi potem powiadali, we włosach sople, a odzież cała śniegiem otulana. Telo zdołałech ze siebie wyjąkać, żeby szli wartko po Jantka, i powiedziałech, kany ostał. Więcej nie baczę, co ze mną robiono, bom się dopiero po miesiącu leżenia osatał.

— A coż się z Jantkiem stało?

— To się stało, co się miało stać. Nadeszli go koło pniaka, jeszcze ciepły był. A na ustach pełno pian, a w tem miejscu, kany leżał, śnieg tak staraszony, jakby się tam co najmniej z pięciu chłopów biło. Niemałą widać walkę musiał przebyć. Chcieli go jako ratować, zapalili parę ociepek słomy, co ze sobą przynieśli, grzali go, obracali, to znowu śniegiem tarli, ale na nic. Temu się ino dziwowali, że nie stwierdnął. Tak stawy chodziły w nim, jak za życia. I na twarzy miał rumieńce do samego grobu! Ktoby nie wiedział, że umarł, toby nie uwierzył.

— Ho! ho! moiściewy, drodzy — dziwił się Chudomięt, a po chwili zapytał z wahaniem: — To myślicie, że się z „nim“ spotkał?

— Juści nie co inszego. Bo jak wam powia-

dam: „on“ chodzi wiecznie ziemią, zaraz popod wierchem, jako ten kret podziemny, ma swoje chodniki. Trafi kto, jaki nieszczęsny, na jego tor przypadkiem, to się już musi z tym światem pożegnać. Potąd się z nim pasuje, pokąd go nie zdławi. Tak, moiściewy...

— To źle. Nie wiedzieć, czego się strzec...

— Strzeżcie się ziemnego ducha.

— Ba, djabliż wiedzą, którądy on chadza...

— Ja wam też nie powiem nijak.

— Opieka boska najpewniejsza...

Dźwignął się Chudomięt i tym osądkiem zamknął gwarę, bo się ruszali do ścinania.

Franek, zazwyczaj rozmowny, zmilknął jakoś i nie dał się długo wciągnąć do ich poobiednich gawęd. Zaczepiony pytaniem, rzucał słowo, częściej kiwnięciem głowy odpowiadał. Dziwili się niepomału, co go tak urzekło. I nieraz, idąc z góry na wieczór do chałup, mówili między sobą:

— Już to nie ten Franek...

— Widywaliście go dawniej?

— Ba, dy nie raz, nie dwa...

— Jak się znalazł między ludźmi, to końca mowy nie miał.

— Może i temu teraz taki smutny, że się od ludzi odstrychnął.

— Coby! To nie to. Jemu cosi chybia... Jakaś planeta wisi nad nim i tak go osepia.



— Ale też człek z niego walny! Ktoby wam drugi telo płacił?

— Chyba jaki szlachcic może...

— Ba! też dopiero szlachcic nie rad płaci.

— Powiedzcie mi, moi drodzy, co ono go tu dognało, że sie tak tej uboczy jął? I to sam jeden. Kiedyby on ją skończył!

— Ha no, któż wie... Takiemu sie, moiście wy, i dziwić nima co. Nigdy nie wiedzieć, co zamysli.

— Ja to sie go, poprawdzie, i trochę pobawiam. Z tobą gada, widzi ci sie, a kanysi daleko poza ciebie patrzy...

— Inakszą ma naturę, i telo powiedzieć.

— Abo też ta planeta...

— Ktoż wie...

Franek od czasu widzenia się z Teklą nie mało przeżył zgryzot. Niejedneby z tych utrapień na lata starczyły. Nie dziw, że mu się i mówić nie chciało.

Największą męką jego serca była wyobraźnia. Ta mu przed oczy nasuwała przerażne obrazy i włóczyła jego myśl po wszystkich pieklach. Nieraz go lęk przed życiem objął, nieraz strach opadł go, jak ryś w zamkniętej kniei. Nie było niepokoju, któryby mu nie zastąpił, patrząc zielonemi ślepiami w jego oczy. Widziało mu się, że idzie wśród pieczar po jakiś zaklęty skarb, a dziwaczne potwory zastępują drogę, straszą

i przerażają okropnością serce. W tej piekielnej wędrowce niósł, ochylając zazdrośnie, niby czarodziejską lampę — swój plan. I to go przed wątpieniem strzegło.

Po jakimś czasie ochłonał. Najcięższe minął bramy. Co przeszedł, było tylko snem, majaką złudną. A życie przed nim otwarte. A czarodziejską lampę dzierży w dłoni...

— Niech ja ino ubocz zetnę... Niech stanę we wsi i opowiem... Wszystko sie naraz rozwidni!

Wiara, smutkiem przygasła, poczęła się na nowo żarzyć w jego sercu. Strzelały z niej promienie, jak z onej jutrzenki, która się po nocy ciemnej pojawi na widnokręgu. I rozjaśniała mu się dusza nadzieją dnia słonecznego.

— Kłamstwo wierutne... Czem ja sie nie trapię! Przecieby mnie pierwszemu powiedziała, jakby ją musili... Zresztą dowiem sie naocznie wnet. Żeby ino skończyć...

To mu najwięcej dodało otuchy, że już widział koniec bliski tego utrapienia. I myślą już wybiegał naprzód, ostawiając za sobą ubocz niedociętą, jako ten pielgrzym utrudzony, który, obaczywszy zdala kres swojej wędrowki, pragnącą duszą przelatuje w mgnieniu resztę drogi i przeżywa już naprzód chwile wypoczynku, nie patrząc, ile jeszcze padnie przejść manowców.

— Jednego dnia staje we wsi, jakbych

z wierchów spadł... Ludzi ogarnia zdziwienie, jednych radosne, drugich trwożne. Rozpytuję się, co słyhać. Mówią: tak a tak, u wójta sie tam cosi stroi... Zwyczajne bajtki. Nie słucham, rozumie sie, ludzie sie jeszcze bardziej dziwią, że mnie to nic a nic nie trwoży. Idę prosto do urzędu, zastaję radę, siedzącą na ławach, Suhaja w pośrodku. Radzą o czemsi z powagą. Przerywam im bez namysłu i przedkładam plan... Nie mogą odrazu pojąć, ale coraz dalej poczyna im we łbach świtać — zrozumieli wkońcu. Wszyscy sie na to godzą, z radością przystają. I poczyna sie wesele, święto całego narodu. Hanusia z wielkiej uciechy ledwie mnie nie zdusi... Stary Suhaj błogosławi... Wszystkie ujne płaczą...

Sam rozczulił się tym obrazem i przywodził go parokrotnie na myśl z nadzieją w sercu, że co się w myśli utrwali, to się tem pewniej stanie jawą. Nagłą przemianę Suhaja i radnych usprawiedliwiał przed rozumem swoim poprostu cudem, który ich przemieni. Urok powszechnego szczęścia, wierzył, to grot, który w serca pada, to zorza złota, która wschodzi oczom od roku niewidzącym słońca.

Z wiarą budziła się w nim chęć rozchwały głośnej, ale ją tłumił wobec towarzyszków, wiedząc, że dusze ich zapałom obce. Gdyby je oświecić lepiej, naprowadzić na myśl... Ku temu nadarzyła się sposobność bliska. Jednego dnia

nie przyszli do roboty aż koło południa. Znając ich obu, jako nieleniwych, ździwił się Franek i zapytał, co ich tak zbawiło. Bekac splunął czy-  
stą żółcią, a Chudomięt nieskwapliwie, i jakby ze wstydem, odrzekł:

— Wyjmowali-my cielę z pod sekwestracje...

— Jakto?

— Ano tak: Przyszli i pojęli, trza było iść i wyjąć, chcący się dochować krowy.

— I wyjęliście?

— Nie — odparł z ciężkiem westchnieniem.

— A za coż to?

— Za podatek.

— No i widzicie, jacyście wy nieopatrzni. Nie mogliście to powiedzieć zawczasu? Dałbych wam naprzód co pieniędzy...

— Ho! Moiściewy! Ani wyrachować, kielo jeszcze na to czeka. Trza dokupić ziarna, bo to, co się zebrało, do siana nie schowa. Ziemiaki trza zaohabiać, bo ich niema dużo; padnie potem do sadzenia — co począć, jak braknie? Trza czem móc, pokił sie da, oszukiwać czas. I mle-koby sie przydało, a darmo. Wszystkiego naraz nie sprawi.

— To kiepsko, kiedy tak...

— Juści, że niedobrze. Dziś raniutko kumotr nadszedł, mielimy sie zabierać do lasa, a ci wchodzą. Popatrzeni po izbie — nima nic do wzięcia. I byliby sie bez niczego pięknie ładnie

zabrali, bo już na osiedle wyszli, kiedy na to szczęście djabeł nadniósł kumoszkę sąsiadową, i ta im poraiła, kany cielę stoi. W oborze nic nie było, bo żyd krowę, którą nam przynajęł, już na przedwieśniu z mlekiem zabrał, a to jedyne od niej cielę, to stało w komórce, przymykane zazwyczaj na skóbel, bo ja czułem, że oni ta już o niem myślą. No i nie omyliłem się. Wzięli zwyczajnie i wywiedli, i teraz ich prosz. Kumotr sie haw za mną ujął, niech mu Bóg da długie lata, ale cóż z tego?

— To niepoczciwy naród — wtrącił Bekac, który się dotąd nie odzywał. — Idę za nimi i powiadam: „To tak Paniezus uczył?” A ci z pięściami do mnie. Dy widzicie... — odkrył kapełusz i pokazał łeb otłuczony setnie. — To taka z nimi gwara, moiściewy.

— Inszej rady niema, ino trza wykupić — rzekł Franek.

Lecz Chudomięt innego był zdania.

— Co będę wykupował! Niech zjedzą. Ja choćem taki biedak, to i tak bez tego cielęcia wyżyję, a rząd choć taki możny, niechże sie pokrzepi.

I wylał dużo słów kipiących złością, aż mu się w sercu uczyniło lżej.

Franek w czasie obrabiania drzewa zwrócił się do obydwóch.

— Powiadacie: źle jest... Ja temu wcale nie

przeczę. Ale któż wam winien? Jak się tak dalej będzie pchało, jak się dotąd pcha, to ani gadki, żeby było lepiej. Możecie kłać pocichu, cóż wam to pomoże? Teraz niema na podatek, a za lat parę, myślicie, skąd będzie? Na opatrność niebieską darmo się opuszczać. Bo Pan Bóg na to człekowi dał rozum, aby sam o sobie radził. Pomyślcie ino trochę. Tak źle, to trza inaczej gazdować. Sposób się znajdzie, jak się go poszuka. Przypuśćmy: jedziecie z sianem; wóz wam się obalił; mocy tyle niema w rękach, żeby go podźwignąć; wtedy szukacie sposobu i musicie znaleźć.

— Kiedy to życie, moiściewy, cięższe od tego wozu...

— A i tak je dźwigacie na plecach.

— Co robić!

— Nie stękać pod niem, ino się ratować, póki do ziemi nie przyciśnie. Życie, powiadacie, cięższe, niż ze sianem wóz. Chałupę można przenieść, nie burtając dachu, jak się sposobu zażyje. Ale człek naski to tak: rękami będzie myślał, zamiast głową. To się też jak wół narobi, ręce do łokci poudziera, i to wszystko na skapane.

— Dyc tak, bo nie inaczej. Ale kto na to poradzi?

— Człek ledwie rad, że żyje. Jeszczeby miał dumać!

— Skorośmy już o wozie zaczęli, to przypowiadzmy dalej. Widzieliście wy kiedy, żeby wóz woły uciągnęły, choćby ich i dziesięć było, jak się je tak pozaprzęga, że każdy w inną stronę ciągnie?

— Ktożby znowu był głupi tak je pozaprzęgać!

— Ha, widzicie. Miarkujecie, że ani z miejsca nie ruszą. A w gminie przecie tak się dzieje. Każdy w swoją stronę ciągnie, i wszyscy od środka. Każdy o sobie ino myśli, nikt o wspólnem dobru. Przeto coraz ciężej ludziom, coraz to rozpaczniej. A skąd może być jakie wspomnienie, kiedy jeden drugiemu gorzej, niż wróg...

— Dyc'niejak!

— Miasto jakiego poratunku, jeden drugiego ciągnie w przepaść na oczywistą zaturę. A żeby się naród ocknął, uważył, co robi, toby się przeląkł sam siebie, swej lekkomyślności. Jeszczeby się mógł zratować...

— Ja ta w to nie wierzę...

Franek uczuł bezsilność całą swej wymowy wobec tych paru słów. Chciał jednak wypowiedzieć wszystko, co zamierzył.

— Jakby się wszyscy wzięli w kupę, jakby zaczęli ciągnąć w jedną stronę, jakby się wspólnie krzepili, to kto wie... Gromada wielka siła! Uważcie, coby to za dobro było, jakby wszyscy ku jednemu szli — ku dobru wszystkich... Wte-

dy człekby sie nie bał jutra, niczego na świecie, ino jednego Boga i sumienia.

Na to Chudomięt:

— Dyćby dobrze było... Ale poradzicie to z ludźmi?

— To też trza iść i nawracać...

— Jak haw kumotr Bekac... Poszedł ich nawracać i wrócił z guzami na łbie.

Poczęli się śmiać gorzko, a Franek uczył przykrość w sercu i zaprzestał gwary.

Za chwilę Bekac, który miał czas rozglądać się dookoła, zapalając nieustannie gasnącą fajczynę, pokazał ręką na bliską polanę i zawołał ze szczerem rozbawieniem:

— Patrzcie, on sie hań o nic nie trapi. Chodzi se całymi dniami, jak jaki konwisarz...

— A piesek przed nim — dorzucił Chudomięt.

— Ba, dy bez pieska trudno se go pojąć.

— Któż to? — zapytał Franek.

— To nie wiecie? — ździwił się mocno Bekac — stary Dyzma, ten z Gronia, z Burkiem, niby swoją psiną...

— Aha, przypomina mi sie z dawna...

— No to on taki sam dosiela, jaki był, nic sie nie odmienił. Bedzie miał z osiemdziesiąt roków, abo więcy, a nie znać tego po nim. Latem przy bacy owczaruje, jak za młodych czasów,



a resztę roku to tak przemitręży, prześpi lub przespaceruje, jak i dzisiejszego dnia.

— Co ono go tu przywiedło?

— A przyzwyczajenie, myślę. Zbaczyło mu się, widać, jak se za owcami chodził i: „pódź Dyzmo, do lasa!” — pociągnęło go, i poszedł. Co będzie inszego robił? Kiedy nic nie umie. Bez owiec to on kiepski, jakoś mu wsze czegośi brak. Z owcami nawykł, to go ino cieszy, jak się lato poczyna rozrabiać.

— Z czego oni z tym psem żyją? — zaga-dnął Chudomięt.

— Ho! oni se ta umieją radzić, nie bójcie się. Ten pies dla niego, to duże zbawienie. Sprzedał go na przedwieśniu księdzu z Mostownicy. Pies pobył u księdza parę czasów, wreszcie się zabrał i przyszedł do Dyzmy. Ten, nie czekając, aż się ksiądz upomni, sprzedał go zaraz organiście za parę papierków. Pies znowu przyszedł. Mój Dyzma znowu sprzedał go komuś inszemu. I tak go w krótkim czasie po kiela razy sprzedawał. Aż pies urósł w taką sumę, że się oba za ten pieniądz godnie wyprzednowkowali.

Frankowi zbaczyło się owo przykazanie, którego trudno było cygana oduczyć.

— Tak, tak... „Siódme: żyj, jak możesz...” Jest w tem i rozgrzeszenie z win zawczasu... Jeden cygan chciał iść prawdą — i nie dali mu.

A Chudomięt z Bekacem, śmiejąc się z Dyzmy i psa jego, zapomnieli doznaku: jeden o guzach na łbie, drugi o cielęciu. Jakby ich nic nie było spotkało.

Czas umykał, przeplatany robotą, gwara, śmiechem.

Bekac i Franka potrafił rozbawić, zmyślając często wesołe powieści o swojej własnej biedzie. A miał czas opowiadać, gdyż teraz częściej z Chudomiętem przyostawali na noc w kolebie. Dni się króciły, za to noce były dłuższe. Naopowiadał się też dość o różnych duchach, o strachach, o boginkach i o planetnikach. A jeszczeby mu starczyło powieści na sto i jedną noc.

Chudomięt się i wydziwić nie mógł.

— Ho! ho! — powtarzał co chwila. — Skądście wy też tego nazbierali do głowy?

— Od starych ludzi, najwięcej od stryka, który się jeszcze pląta, choć mu już sto lat dochodzi. Abo i kto wie, może mu już przeszło.

Franek też rad słuchał gadek, choć je już i nieraz słyszał, czem ujął Bekaca bardziej, niż hojną gościąną. Nie rozstawali się teraz, robiąc i nocując razem, chyba, gdy padło na jaką noc zajrzeć do chałupy, dowiedzieć się, co tam słyszać, i dostać żywności. Wtedy Franek pozostawał myślom na udrękę, a oni szli pod wieczór i wracali rankiem. Zwykle Franek przy

witaniu pytał się ich o wieści z dołu, a ci zwyczaj powiadali, że nic nie słyhać ciekawego.

— Zresztą, jak wiecie, siedzimy pod lasem. Nikto do nas ode wsi z dołu nie dochodzi; mógłby się w poniedziałek naski kościół spalić, a nie dowiedzielibyśmy się o tem aż w niedzielę.

Jednego razu przecie przynieśli nowinę.

— Widzieli-my Djabła na swoje oczy! Nie wierzycie?

Franek zmiarkował zaraz.

— Aha! Skądże on sie tam wziął?

— Szedł, jak powiadał, na kopańie... „Jakto? — pytamy sie go — to na pieniądzech siedzisz, a za zarobkami bedziesz chodził?“ Ale co- byście sie z nim dogadali! Roześmiał sie i poszedł.

— Spotkali-my też i Drozda... Musicie go pamiętać, jeszcze z dołu?

— Wiem — odrzekł zciekawiony — ten, co to ma chałupę przy wodzie...

— Ho! Już jej nie ma...

— Jakto? Co sie stało?

— Pamiętacie te ulewy, co to trzy dni trwały? Wtedy mu ją zabrała woda. Z kamieńca nie ostało ani śladu znaku.

— I cóż on, biedny, teraz robi?

— O je to, co i przedtem. Chodzi se wodą i łapie ryby kryjomo. Zwyczajnie: drózd... Edyc

ten ma święte życie. Sam jeden jest. Co mu trzeba? O nic się nie zaturbuje.

— Gdzieście go naszli?

— Na roztoce, wiecie, koło tego jazu...

— Wiem, a nie mówiliście mu o mnie?

— Nic my się dużo nie rozgadowali, bo raz, że czasu nie było — a po drugie, co z takim będziecie gadać?

Franek, doprasnąwszy chwili, umyślnie zeszedł ku roztoce, aby się z Drozdem obaczyć. Nie napotkał go jednak aż w trzeci dzień, kiedy schodził z towarzyszami na noc ku kolebie. Bekac go pierwszy ujrział.

— Widzicie wy? Drózd...

Franek się rozglądał wszędzie i nie mógł go dostrzec.

— Ku wodzie patrzcie, bo on inędy nie chadza.

Teraz dopiero Franek zauważył niedużego człeczynę, rzeczby można: chłopca, zachylonego za wystającą z brzegu skałę tak, że go trudno było uznać, bo szary był, jak ta skała, i nieruchomo do niej przywarł. Na jego widok Frankowi serce się rozelzało.

— Idźcież, moiściewy, naprzód — szepnął towarzyszom — nagotujcie wieczerzę, ja ta zaraz przyjdę.

I zbiegł ku wodzie, przedostał się na dru-

gą stronę roztoki, za chwilę stał już nad wystającą z brzegu skałą.

— Czy się nie mylę?...

Na dźwięk padłego z góry głosu Drózd się w przestrichu przyniżył, a potem podniósł z ciekawością głowę.

— To to wy? — zawołał z radością wielką i począł się odrazu wyczołgiwać na brzeg.

Skoro się już wydostał, ujął ręce Franka i przyciskał je długo w milczeniu do piersi, jakby chciał wcisnąć w nie ze serca wszystkie skargi i udręczenia swoje.

Franek się też roztkliwił i, zapobiegając, aby nie ranił powtórnie opowiadaniem serca swego, rzekł ze współczuciem:

— Wiem, co was spotkało... Opowiadali mi ludzie.

— Ludzie i tak nie wiedzą wszystkiego — szepnął, puszczając jego dłonie. Poczem usiadł na brzegu za przykładem Franka. Po niemałej chwili zaczął:

— Ja się wam nie skarżę. Ja się jeszcze nikomu na świecie nie skarżył. Ale się już przepełnia w sercu...

Oczy mu zaszły łzami. Odwrócił twarz, aby je ukryć. I znowu chwila przeszła.

— Nie chcę prorokować... Ale się cosi musi stać na świecie za to, że mnie ten los tak przesładuje strasznie.

Zapatrzył się na wodę i rachował w myśli, nie wiedząc, że głos powtarza za nim.

— Naprzód chudoba, potem dzieci, potem nieboszczka, potem chałupa, potem...

Osatał się i przerwał, kończąc po niedużej chwili:

— Tak się mści i mści, nie wiedzieć, za co...

Roztoka bełkotała, to cichnąc, to podnosząc w zadyszeniu pierś okrytą pianą, jak ten czas głuchy na wszystko, zamyślony w sobie i w swojej drodze, której koniec za wiecznością ginie.

— Co ja się też naspodziewałam: przyjdzie i mnie koniec... Padło nieszczęście, myślę: zabiere i mnie... A tu się nie i nieporada nijak dowyzierać. Zabrało wszystko, a ja ostałam. Sam, jako ten kamień. Dyc najlichsze stworzenie ma się do czego przytulić... Ale już nie narzekam. Może kto za mnie szczęśliwszy...

Zwiesił głowę na piersi i zamilkł, zapatrzony w połyskujące u stóp fale. Franek też nie co innego robił. Oba się tak pograżyli w zadumie i zapatrzeniu. Aż mrok, zastępując oczom, przebudził Franka pierwszego. Wstając, rzekł:

— Pójdziecie ze mną...

Drózd w zdziwieniu widocznem podniósł ku niemu twarz.

— Kany ?

— Niedaleko, za wodę, do mojej chałupy.

Widząc, że ten w niewiadomości za żart mo-

że wziąć jego zaproszenie, opowiedział mu krótko, jak się tu znalazł i jak mieszka. Ale mimo to Drózd nie chciał iść za nim. I ciągnącemu wypraszał się, mówiąc:

— Po co ja wam mam kłopot robić? Człek ta już wezwyczajony, to sie jakbądź wyśpi.

Ale Franek: „Musicie, i musicie!“ — nalegał i prawie gwałtem zabrał go ze sobą.

Po drodze Drózd z wdzięczności, niemogącej się niczem inszem objawić, jak tylko szczerością serca, począł się Frankowi zwierzać z ostatnich swoich przejsć. Mówił jednak obojętnie, jakby je już dawno przebył i nie on sam, ale ktoś mało, mniej, niż człek, znaczący. Przytem swoim zwyczajem rozglądał się wkoło i zdawał się uwagą swą zajmować wszystkim, najmniej tem, co mu się gada.

— Ja by tu był nie przyszedł — prawil — ale tak... Na dole już nieporada było wybyć. Wszystko sie razem zawzięło na jednego człeka, i chcący żyć, trzeba się było wyżej pomknąć. Dość, że żywiny mało tego lata, bo woda wytłukła, co nie zdołała zabrać, to sie jeszcze na dopłatek i ludzie tacy naleźli, co im sie krzywda widzi, jakbyś dostał jakiego głóca z pod kamienia, choćbyś pół dnia i dłużej za nim hle dał. Siedzę jednego rana i pozieram we wodę, jak zwyczajnie, a ten mnie łaps! niemiłosiernie za kark i powiada: „Heresztuję cię, boś pstrągi

chytał". — „Idź” — mówię mu — „dej mi spokój”. A ten mi na to pokazuje blachę mosiężną na jakimś pasie. „Czy ja wiem, co to?” A ten powiada: „Prawo!” No i gadajcież z nim... Do piero musiałych przysiąc, żem od lata nie widział pstrąga na oczy, bo i święta prawda była, wtedy mię popuścił. Na odchodnem powiada jeszcze: „Żebyś se pamiętał, że ci nie wolno nad wodą wystawać. Jak cię drugi raz ujrzę, to zaheresztuję, choćbyś sto razy przysięgał”. No dy heresztuj — pomyślałych, ale potem mi przyszło do głowy, że lepiej głupiemu ustąpić. Prawem sie przekazuje... No dyć dobrze... Ja też miarkuję trochę, co to prawo. Ale mi sie nijak nie chce wierzyć, żeby zaś takie prawo było. Zresztą, kto ta wie... Niczemu się dziwować nie trza.

Franek przybaczył Jasia.

— Słusznie. Niczemu sie dziwować nie trza...

— Ja też z tego wszystkiego zabrałych sie w górę... Bo se myślę: Bóg-że wie, co sie może trafić. Przyheresztują... no dyć dobrze... żeby to choć na śmierć sądzili odrazu... Bo wam powiem — zniżył szeptem — że czasem to i śmierć lepsza od życia. Ale jak do lochu wepchną, do jakiej ciemnicy... To już lepiej tak pomykać do jakiegoś czasu. A znowu myślałych se: Lec na ziemi i czekać, aże śmierć nadejdzie, to też nie-dobry rozum. Może śmierć akurat obejść i oszu-



kać człeka. Juści trza żyć — myślę se — bo kto będzie za mnie?... I z tego dopierom tu przyszedł.

Przerwał, bo już stanęli u progu koleby. Bekac z Chudomiętem niechętnie i w zdziwieniu przyjęli wchodzącego bojaźliwie Drozda, ale widząc, że Franek go opieką darzy, poczęli się i oni słowom jego przyuśmiechać i raczyć go wieczerzą, którą zgotowali.

Nazajutrz, po śniadaniu, skoro się już do roboty trza było zabierać, zwrócił się Drózd do Franka z podziękowaniami. Przyczem nieśmiało zagadnął:

— Może bych sie wam na co przydał w lesie. Bo jeść, a nic nie robić...

— Ho! ho! ho! — rozśmiał się Franek. --- My wam tu robotę damy. Nie jedną, ba sto robot, jeśli o to idzie. Bedzicie nam stroić obiad, gotować wieczerzę...

— Hej — przytwierdzili Bekac z Chudomiętem.

— Przez to nas dużo skrzepicie. Bo dni sie króca, czasu bardzo mało. A tak sie nie bedziemy odrywać od pracy. Hań macie drwa, tu ziemniaki, tam mąkę, sól i co potrzeba.

— Czy ja to będę umiał wam dogodzić? — wymawiał się uradowany Drózd.

— Tem sie nie trapcie. My tu wszyscy nie-

grymaśni. Byłe przez ogień przeszło, to już dobre.

Zabrali się do ścinania, on ostał w kolebie. I tak se wziął do serca to zadanie swoje, że już od rana myślał o obiedzie, a od południa o wieczerzy. Mając tyle celów przed sobą naraz, poweselał i okrzepnął na siłach, ba, nawet odmłodniał.

Komora Franka była dość zasobna, zresztą i ci dwaj dokładali, co który mógł i zdołał przywlec. Ale Drózd nie opuszczał się na gotowiznę. Nauczony biedą swoją, zawdy się obzierał na potem i na dalej, bojąc się, że może braknąć i to na złym czasie. W chwilach wolnych, których miał dość, zachodził ku wodzie, szukał pod kamieniami pstrągów, a jak tych nie mógł znaleźć, to łowił na płytszej wodzie głóce i przynosił. Parło go też ku temu wieloletnie przywyknienie, które naturze jego stało się potrzebą. Ryby umiał przyrządzać bez przypraw — nauczył go już oddawna mus, pan wiele możny — to też, gdy miał sól i masło i mąkę ku temu, jedzący nie mogli się nadziwić, że takie dobre rzeczy żyją w wodzie.

Zachęcony pochwałami, Drózd się sadził i coraz wymyślniejsze gotował potrawy. Franek z zadowoleniem patrzył na jego rozochocenie. Bekac na nowo zaczął swoje opowieści, aby je mógł i Drózd usłyszeć, a Chudomięt zmlasku-

jąc przy każdej wieczerzy, powtarzał z rozradowaniem:

— Teraz człek wie, że żyje!

Cóż dopiero, gdy Drózd za łaską opatrznosci znalazł, idąc ku wodzie, przeszło pół zajaca, którego lis w ucieczce nie miał czasu zabrać, i gdy tę połowinę upiekł po swojemu i z uśmiechem tajemniczym podał na wieczerzę! Były gody, o jakich się Chudomiętowi w głodowych snach nie śniło. Drózd urósł nagle w czarodzieja, który z niczego, jakby na zaklęcie, potrafi stworzyć różne cuda smaku. Odtąd Bekac z Chudomiętem darzyli Drozda przyjaźnią i obiecywali mu dośmiertną pamięć.

I tak się wiodło. Schodziły dni na robotach, wieczory na pogwarce i opowieściach Bekaca — bez zamąceń.

Franek, mając zajęłą myśl wciąż swoim planem, żył w kole towarzyszków, jak snem upowity. Przez dzień w robocie się pochłaniał cały, a wieczorem drętwiał na swoim gnatku, zadumany, i nieraz po trzy razy musieli wołać na niego, nim się do wieczerzy podniósł. Zaś po wieczerzy siadywał na progu, zapatrzony gdzieś w ciemność, w majaczącą ubocz, albo kładł się na swój wyrek i z oczami otwartymi nieruchomo przeleżał nieraz do północy — nie wiedzieć: słuchał powieści Bekaca, czy też o czem innym myślał, śnijąc tak na jawie. Już się u niego

z tem ozwyczaili, i nikt go zagadywaniem nie napastnął, gdy sam nie począł gwary.

Jednego dnia z wieczora — jeszcze widnawo było na polu — Franek siedział na niskim gnatku, podparty, Bekac z Chudomiętem coś majstrowali przy nalepie, aby im widniej było od ognia, a Drózd z jodłowym pogrzebaczem w dłoni kucharzował, jak zwykle. Dopiero co wrócili z lasu.

W te razy zadudniła poza ścianą ziemia — i do wnętrza wpadł Djabeł z okrzykiem radości:

— Jest! Jest! Jest!

— Co takiego? — wszyscy się poporuszali.

Djabeł, ujrawszy tylu niespodzianie chłopów, strwożył się i mimowoli cofnął się do progu. Przytem prawicę, w której dzierżył coś, szybko za siebie ukrył.

Patrzyli nań pytająco, co go jeszcze więcej tropiło. Przyośmielił go Franek, który, powstając, rzekł:

— Pójdźcież dalej... czego sie trwożycie? Przecie my tu sami swoi.

Wtedy przewalczył obawę, zaszedł koło ściany bokiem i zbliżył się do Rakoczego. A rzucając ostrożnie spojrzenia ku pozostałym, zachylił się przed ich oczyma za Franka i pokazał mu strzelbę, którą z za plec nieznacznie wysunął. Ciemno było, bo stali od ognia zwróceni,

i Franek jej nie mógł dokładnie obejrzeć. Myślał, że nabył strzelbę i przyszedł się pochwalić. A Djabeł, patrząc to na niego, to na strzelbę, którą dzierżył w dłoniach, uśmiechał się, jak dziecko, któremu ktoś daruje zabawkę wyśnioną.

— Jakżeście ją nabyli? — półgłosem zapytał.

— Tssy! — uciszał prędko, pokazując oczyma siedzących przy nalepie.

Franek teraz pewnym był, że nabył strzelbę w celu kłusowania, i boi się, aby go ktoś na karę nie zdał.

— Nie bójcie się, ci was nie wydadzą...

— Ho! ani bratu nie wierzę. We was mam ino ufność. To też wam jednemu powiem...

Przysunął się jeszcze bliżej i szeptem, urywanym przez niepokój i radość, mówił:

— Pamiętacie, com wam o tej dolince opowiadał? jaka o niej opowieść, ba nie jedna, ale jedna z wielu?... Nie wiecie?... Jest tam kłoda, pod tą kłodą strzelba, a od tej strzelby na sto kroków...

Głos mu wzruszeniem silnem osłabł, rozplynął się w nadziei szczęścia.

Teraz Franek zmiarkował wszystko. Djabeł widać znalazł jego strzelbę, którą on przypadkiem przy tej dolince schował, a zapominał zawsze, ile razy szedł tamtędy, wziąć ją do koleby. Musiała dużo przyrdzewieć.

— Pokażcie-no ją — szepnął. — Ta sama...

— Jakto? Toście wy ją znali?!

W oczach Djabła, radością promieniejących, zamigotał tajemny przestrich.

Franka zdjęła ogromna litość nad nim. Nie wiedział, co ma powiedzieć. W każdym razie nie będę mu rozwiewał złudy — pomyślał — to jego jedyne szczęście...

I omijając odpowiedź wyraźną, rzekł z powagą na twarzy, a litością w sercu:

— Los was obdarzył... I cóż myślicie począć?

Nie dosłyszał słów Djabła, bo ich wszyscy trzech pozostali przy ogniu poczęli razem wołać do wieczerzy. Djabeł się wymawiał zrazu i chciał się wycofać za próg, ale go Franek ulegował tem, że mu strzelbę doradził schować pod swój wyrek tymczasem, zanim będzie wieczerzał i gościł. Sam mu ją zaniósł i wraził za deski, obiecując, że jej tam żadne oko nie wyśledzi.

Podczas wieczerzy Djabeł znalazł sposobności tyle, że, nachylając się do ucha Franka, zwierzył mu się z drugiej radości swojej.

— Mam już kopaczkę! — szepnął, — a po chwili: — Musiałech za nią trzy dni ludziom kopać.

Po wieczerzy długo jeszcze zesiedzieli w noc. Franek, na gnatku sparty, z początku brał udział w gwarze, potem się pogrążył w myślach i zdrę-

twiał w zadumie. Drózd, skulony przy nalepie, dorzucał na ogień szczypy i przy migającym świetle obierał ziemniaki. Bekac się koło niego płała, wygarnywał z watry węgle, tłukł je na dłoni i wpychał do gasnącej nieustannie fajki, przytem bez przerwy opowiadał historie różne; to o jednym wisielcu, który się sam odciął i nie mógł do ziemi dolecieć, bo już był w piekle, to o strzygoniach, które drzewiej były, aże je jeden ociec święty uspił, to wreszcie, z powodu gościny Djabła, o zaklętych skarbach. Chudomięt, w kącie drzemiący, budził się co chwila i, chcąc zaznaczyć, że pilnie słucha powieści, powtarzał z zadziwieniem: „Ho! ho! moiściewy...” A Djabeł, siedząc na małym stołeczku, zdala od światła i ludzi, zatopił się w szczęśliwości i uśmiechał się tak słodko, jakby już w zanadrzu miał skarb, o którym marzył.

---

## VIII.

Jesień, posuwając się roztokami w górę, stanęła wreszcie w Hucisku. Tchnienie jej urokiem padło na całą dolinę. Najpierw trawy leśne po wrębach poczęły tracić zieloność przybladła i przybierać różne stroje, coraz to czerwiejsze. Zdaleka patrzeć, zdawało się, jakgdyby chusty olbrzymie, stu kolorami wyszywane, rozciągnął ktoś po zboczach: takim bogactwem barw nieznanym kraśniały teraz wręby. Potem krzewy przylesne, na które padł od spłomienionych traw odblask, poczęły się rumieńcem krwawić, i czerwieniały zdala purpurowemi płatkami. Wreszcie po wszystkich zboczach roztracone buki, gdzie nigdzie udające las rozgałęzieniem, poczęły żółknąć i rdzawić się liśćmi, przez co nadawały dolinie ubranej jakiś wyraz przedśmiertny.

Jedynie smreki i jedle nie zmieniły stroju. Tak samo czerniły się i zieleniły, jak przedtem. Ale ich mało znać było wśród bogato wzorzy-



stych, żółkłych i zczerwieniałych obrazów. Gdzie niegdzie tylko w skraju wrębu czerniały smugami, albo wyskakiwały z traw, jak kępy ciemne; przestrzeń płaty zrzadka były widne. Jedyne większy płat czarnego lasu, który okrywał całą ubocz stromą, już się minął tym latem. Kosmyk jeno ostał w górze, u czoła wierchu.

Franek z towarzyszami kończył już docinać. Z dnia na dzień spodziewał się ostatecznego docięcia. Potem jeszcze spychanie drzew, i po niewoli. Ze spychaniem, wierzył, łatwo pójdzie, bo ubocz bystra, sam sobie da radę. Ino żeby już to ostatnie drzewo obalić! — myślał codzień i rachował stojące. Rachowaniem trudno było przyspieszyć robotę, to też z dnia na dzień koniec się odwlekał.

A tu się już pierwsze zwiastuny zimy ukazywały. Ludzie ze wsi przychodzili i przyjeżdżali furami po cetynę. Dolina koło południa wypełniała się rozgwarem, turkotem kół i głośniejszemi nad inne głosy klątwami. Widziało się Frankowi, patrzącemu z góry, jakgdyby życie, przepelniające się w niżach, sięgnęło jedną falą w zaciszne Hucisko, podobnie, jak morze sięga w najskrytszą zatokę, gdy się przyplływem wzniesie jego pierś przestrzenna.

Do tego życia tęsknił już gorąco. Wszystkiemi myślami tam był, w dole i płomieniste

przeżywał chwile w wyobraźni. Niespokojność serca tłumił nadzieją prędkiego obaczenia wsi, wiarą powodzenia najbliższego, gdy ludziom objawi plan swój i zbawienie im poda, tem upewnieniem wreszcie, iż nie słyszał z nikogo potwierdzenia bajki, jaką mu Tekla przyniosła. Znał ludzi trochę i wiedział, żeby nie omieszkali pożałować go w oczy, gdyby prawdy było w tem choć na paznokiec.

Spytywał się spotykanych na uboczy ludzi, co tam na dole słyhać, czy nie zaszło co nowego od czasu, jak wyszedł ze wsi; ale mu odpowiadano, że nic się nie odmieniło, ino biedy przyrosło trochę i tyle.

Ogółem byli to ludzie nędzą zbici, w ziemię patrzący przy rozmowie, zahukani od świata, bojaźliwi; każde pytanie trwożyło ich, nasuwając obawę, czy niema w niem zdrady jakiej ukrytej. To też Franek po paru próbach rozmowy przestał się z nimi rozznajamiać, mijał ich pochwałą Boga lub życzeniem szczęścia.

Aż raz spotkał chłopinę niedużego wzrostu, który, jak mu się zdało, był mu znajomym kiedyś, ale nie mógł na razie zbaczyć, skąd. Włókł on wysoką ociepkę cetyny z uboczy stromej na dół ku wozowi. Dojrzawszy Franka, zatrzymał się i, nie odpowiadając na powitanie, rzekł:

— Wiecie? Jaś umarł...

Franek nie mógł pomiarkować odrazu, o kim

mówi, tem bardziej, że nie zdołał jeszcze na myśl przyjść, skąd pochodzi ten człowiek, z jakiego osiedla.

— Który Jaś? — spytał z niejaką obawą.

— E, wiecie, ten Jaś Zatracony, bo sie tak pono nazywał, co tu u was za młodu słułował...

— Co powiadacie!

— No dy prawdę powiadam, bo go już kiesi schowali.

Franek się zadumał ciężko. Stał mu przed oczyma taki sam, jakiego znał od mała, osierocony, smutny, o pacholęcym wyglądzie...

— Ociec mu niedawno pomarł. On sie też zadumał i... co będę żył? — powiada, zabrał sie i poszedł z tego świata. Ani nic nie chorował — tak umarł. Nikt nie może zgadnąć, na co...

— Na przerośnięcie serca — szepnął Franek.

— Bywa to taka choroba?

— Bywa, rzadko, ale bywa.

— No powiedzcie... Ktoby sie spodział! O żabie w mózgu tom już słyłzał i o robaku w nodze też. Ale o takiej...

Kręcił głową z podziwem i niedowierzaniem. Franek go pożegnał.

Idąc w górę, myślał wciąż o Jasiu. Przychozdiło mu na pamięć wszystko, co z nim przeżył; jak razem pasali z młodu, jak się lubili, choć on duzo był młodszym od Jasia, jak mu ten ze smreczkowych wierchów fujarki wyrabiał, jak

go uczył różnych śpiewek, jak przy ognisku zesiadzieli nieraz do późna w noc, jak się przytem rozmarzali, gwarząc o przyszłości. „Ty bedziesz panem“ — mówił Jaś — „we wielgim mieście bedziesz mieszkał, a my oboje ze Zosią bedziemy gospodarować na gruncie. Przyjedziesz do nas na święta, to sie ucieszymy razem. A jak nie, to my do ciebie... Ale kto wie, kany ty bedziesz, w jakim kraju, czyby my sie dopytali“... „Cobyście sie nie mieli dopytać!“ — z radością upewniał, i wkońcu się schodzili oba w jednym zdaniu. Nic ich nie rozdzielało, a łączyło mnóstwo jednakich upodobań, pragnień i zamysłów. Nareszcie rozdzieliło ich życie. On do szkoły poszedł a Jaś ostał; skoro wrócił, już Jasia w domu nie było. Nie wywróżył nieborak sobie ani jemu... Cała budowa, którą stawiali we snach przy ognisku, zwała się za jednym podmuchem, jak mały domek z patyczków.

— Jak sie to niemiłosiernie stało...

Nie chciał przypominać dalej, bo mu żal serce obejmował i gniew na swoich bliskich. Nawet cień matki swej musiałby winić.

— Nie, lepiej nie wspominać. Wszystko już cieniem jest. Przeszło. Żyjącym może jeszcze nieraz ten cień na serce padnie...

Myślał o siostrze. Przybaczył też spotkanie z Jasiem w sadzie i skargę jego, którą trudno z pamięci odegnać.

„Oj, słułował ci ja, Zosiu“...

Tak się te słowa spoiły z melodią znaną jak z ugorami smutek, szum z wodą lub jęk z jesien-  
nym wiatrem. Z melodią znajomą przychodziły  
na myśl, a ze słowami Jaś stawał na oczach.

— Dziwne... Już go niema... A zdaje mi się,  
że jest... że się jeszcze spotkamy...

Ze smętnych tych zamyśleń wyrwał go  
okrzyk:

— Ostatnie!

Chudomięt z Bekacem obalili je. Jękło tak  
rozgłośnie, padając, jakby skon całej uboczy  
odezwał się w niem.

— Nareszcie!... — zawołał Franek. I uczuł  
taką ulgę w sercu, jakgdyby po długiej słocie  
mgła się podniosła naraz i niebo się odkryło.

Dzień jeszcze Bekac z Chudomiętem zaba-  
wili u Franka.

Odpoczywali, siedząc i gwarząc swobodnie,  
jak zwykle po ukończeniu długiej, ciężkiej pracy.  
Drózd się wysadził naostatku na tak wspaniałą  
wieczere, że się jej najeść i nachwalić nie mogli  
do syta. Chudomiętowi tem bardziej żal było  
opuszczać Franka. Przymawiał się też parę razy,  
żeby mógł ostać do spychania drzew, jakby trza  
było. Ale Franek, uradowany skończeniem naj-  
główniejszego, już się nie trapił o insze. Wyplą-  
cił obu towarzyszków pracy i podziękował im za  
pomoc.

Po ich odejściu Drózd posmutniał. Siedział długo na gnatku ze zwieszoną głową. Wkońcu westchnąwszy ciężko, podniósł się i zaszedł przed oczy Franka.

— To ja wam już niepotrzebny...

— Nie bajcież. Kanyżbyście szli? Tak samo wasz dom, jak i mój. Co jest, to zjemy, i mnie będzie milej z wami, a potem, jak się będę miał zabierać na dół, to wam ostawię pieniędzy na żywność, na tymczasem, dopokąd we wsi nie urządzę tak, cobyście się i wy tam mogli zmieścić...

Drózd się począł wypraszać nieśmiało od tyłu naraz dobrodziejstw, wreszcie ze łzami w oczach przystał, obiecując do śmierci wdzięczność i za grobem.

— Zaraz mie do was cosi ciągnęło, jakech was ino zaznał — mówił.

I, uradowany w sercu, legł na ławie, poskurczał się, aby jak najmniej miejsca zająć, i nakrył głowę starym płaszczem, aby móc lepiej rozmyślać nad przypadłościami życia.

Na nalepie jarzyła się niewygasła watra. Franek, opodal siedząc, zapatrzył się w te dośblyskujące iskry, a głowę podał myślom serca, płomieniącym mózg.

— Zmieszczą się wszyscy... I ten wodny ptak osierocony, i ten pustelnik leśny, i ci samotnicy wieczni, których nędza ukochała wyjątkowo

stale; ci pokaleczeni w sercach i duszach bogatych, których niemiłosierne życie stłukło i odrzuciło na bok, podobnie jak mętna rzeka, wezbrana powodzią, otłuka pnie, zabrane w drodze, po kamienistych dnach i samorodziach, a potem je, stłuczone, wynosi na falach, wyrzuca na spokojny brzeg i ostawia na piasku; życie płynie dalej mętą rzeką, a oni patrzą na nie z brzegu, jakby już raz śmierć przeszli; to też im i śmierć nie dziwna; rozpacznie jednak smutny musi być ten drugi żywot...

Wszystkich tych, dumął, wiatrem usypianych, ogrzeje ziemskim szczęściem i nawróci do życia. A życie to będzie jasne, bez krzywd i nieprawości, jak ta polana na wierchu, gdzie swoboda wyleguje się w słońcu południa.

Widzi swą gminę, wykąpaną w jasności białego światła... Od czasu powstania swego zwyraźniała mu w oczach, każdy załom się odkrył, każdy rys stał się widocznym, doznaku tak, jak-żeby ptakiem uniósł się nad Przysłop, kołował nad nim w powietrzu i z góry przepatrywał wszystko najdokładniej. Wiosna, lato i jesień zeszły się w tym słonecznym dniu i zharmonizowały się przedziwnie.

Widzi... Od białej szkoły rozsypują się paciorki różnobarwne: dzieci. Wyszły, widać, po nauce i toczą się, jedne pomalej, drugie prędzej ku oddalonym i bliskim osiedlom. W osiedlach

czystość taka jak na łąkach; każdym oknem wyziera uśmiechnięte szczęście. Sady się kwieją, czerwienią i osłaniają domy, niby roztoczone skrzydła wielkie o grających tęczami piórach. Wzdłuż dróg, po obu stronach, wije się zieloność drzewna, barwią się rzędy zasadzonych przez dziatwę jabłoni, snują się aż za widnokrąg wstęgi śliw, siwiejących przejrzałym owocem. Ogromne płaty zbóż srebrzą się i złocą w słońcu. Otacza je zieloność o przeróżnym stroju. Na jednym łanie skraja widać długi rząd kosiarzy; chylą się równo, ochotnie i pobłyskują kosami. Opodal taki sam długi rząd młodych żniwiarek; co która garść odrzuci, to się uśmiechnie życiu i zawiedzie jakąś pieśń zapamiętaną z niedawno minionych czasów. Hanusia im przoduje...

Ocknął się z tego pół-snu i uczuł, że płomień mu do serca doszedł. Gorzało całym pragnieniem, całą wezbraną tęsknotą — za szczęściem. Za szczęściem swoim i ludzi...

\* \* \*

Przyszło spychanie. Od samego świtu do nocy późnej dolina jęczała głucho, trzęsła się od nieustającego huku i łomotu. Ktoby z za góry słuchał, mógłby myśleć, że dwa wojska zacięte zeszyły się w Hucisku i toczą walkę bez upamiętania, a z równą prawie mocą; dudnienie idzie ziemią, turkot nie ustaje; noc tylko dzieli walczą-



cych, i na tę chwilę zapada cisza, a po niej wstaje łoskot z większą siłą; i tak dzień po dniu mógłby mijać w trwodze mieszkajacemu za górą człekowi.

W Hucisku samem echa się ze sobą biły; gdyż od wielu naraz zboczów odskakiwały wraz i zderzały się czołami w roztoce.

Przez to nie wiedzieć było, skąd się huk wyrywa. Przyjeżdżający po cetynę musieli dawać bacność wszędy, bo ich uszy zwodziły co chwila. Widzieli ubocz przed sobą, po której drzewa śmigają, ale huk słyszeli zewsząd, niekiedy z całkiem przeciwnej strony. To też nie nabliżali się zbyt ku żadnemu zboczowi, a już zdaleka trzymali się od stóp uboczy, zaścielonej drzewem. Woleli mniej cetyny i ścieli uzgarnować, a być na dole z wołmi w bezpieczeństwie, nie narażając lekkomyślnie siebie i bydła na przypadek. Chociaż Franek, w obawie, aby się ktoś z przyjezdnych bliżej niezaplątał, za każdym zepchnięciem drzewa wołał przeciągle na cały głos:

— Wa-ruj!

I powtarzał wołanie coraz to rozgłośniej, dopóki drzewo nie wpadło w roztokę.

Dzień za dniem dudniała ziemia, huk się rozlegał, i szedł łoskot po całej dolinie. I z nieduzemi przestankami słyszać było:

— Wa-ruj!

Już połowę zaścielonej drzewami uboczy odkrył Franek, połowę drzewa zepchnął do roztoki. Teraz trudniej było puszczać, bo drzewa nie leciały wprost na dół, ku drodze, ale się w biegu skręcały na prawo i, wydostając się za przechylenie, wpadały w przyłaski boczne, niekiedy w debrze i w wodę. Franek się złościł i wszelakich sposobów zażywał, aby je nakierować tak, coby na drogę spadały. Udawało mu się to w większej części i przy ogromnem natężeniu sił, ale się trafiały drzewa, zwłaszcza hrube jedle, które nijak nie chciały lecieć tam, gdzie on je popchnął, ba obierały drogę swoim własnym ciężarem i pędem.

Raz nad wieczorem ostawił najhrubszą z jedli, nie mając już sił, po całodziennem znużeniu, mocarzyć się z nią, tem bardziej, że była dużo na bok wychylona.

— Wyjdę świtaniem, to ja cię tu sproszczę.

I wyszedł, jak rzekł, świtaniem nazajutrz i zabrał się odrazu do wykręcania tej jedli. Folgi na pniakach pozakładał i dźwigał drągiem od cieńszego końca, próbując, czy się nie da w ten sposób naproszczyć. Ale po chwili widział, że to na nic. Więc ujął jedną z dużych folg, założył końcem pod drzewo i, oparłszy ją o pniak, począł wywahać. Napierał z całych sił do ziemi, z ogromnem natężeniem, mniemając, że się drzewo, jak często, odtoczy po podłożonych gnat-

kach i naprości. Tymczasem drzewo, oślizgłe, ruszyło... Franek ledwie miał czas odskoczyć, i obaczył, jak mignęło jeno za przechyleniem, dudniąc i hucząc rozgłośnie. Pomyślał w tym momencie, że tam nikogo niema; jeszcze zawczas... Ale, przyzwyczajeniem popchnięty, wrzasnął z gorączką:

— Waruj!

Echo nie dobiegło jeszcze przeciwległych zboczów, kiedy usłyszał z dołu krzyk przeraźny, krótki...

Wzdrygnął się w sercu i popędził, co sił, w kierunku drzewa. Powietrzem prawie zleciał po uboczy, minął jeden przylasek, wpadł w drugi — i tu dostrzegł już zdala drzewo, zaryte końcem w ziemię. Z błyskiem nadziei, że się nic nie stało, dobiegł bliżej — i teraz dopiero zmartwiał przerażeniem.

Pod drzewem, w dolince wąskiej, leżał człek, w którym Franek odrazu poznał Djabła. Rzucił się ku niemu patrzeć, czy się nie da jeszcze zratować, ale obaczył wnet, że już po skutku. Drzewo, zwyczajnie, przeszło po nim i zgmiotło pierś doznaku.

Leżał na poprzek, twarzą do góry zwrócony; w twarzy zsiniałej widać było strach i śmiech pospołu; oczy wyskakiwały z orbit, przerażając.

Odwrócił się też Franek, nie mogąc znieść

tego wyrazu, i postrzegł obok ziemię, wrytą niedawno, przy niej kopaczkę porzuconą.

— Dokopałeś się... — szepnął.

Postać jeszcze chwilę, postać, i odszedł na dół po ludzi.

\* \* \*

Upłynęło dni parę. Franek zepchnął wszystko drzewo i oczekiwał odbiorcy, któremu miał oddać je i otrzymać resztę należności. W oczekiwaniu łąził po dolinie, nie wiedząc, co z czasem począć.

Od dnia wypadku w dolince jakiś męczący rozstrój owładnął nim. Nie mógł w kolebie usiedzieć. Wolał snuć się i łązić ponad wodę. Przypatrywał się Drozdowi, który za rybami hlewał, chciał czembądź myśli zająć, aby go nie opadały. Wierzył, że jak się stąd wyrwie, to wszystko smutne ostawi za sobą.

Idąc w górę koło wody, doszedł do miejsca, gdzie się dwie roztoki łączą. Na prawo piętrzyły się kupy zwalonego drzewa, naprzeciw wstawała ubocz, którą ogołocił. Przybaczył sobie jej zieloność, która go przywitała spokojem, gdy tu przyszedł. I ten spokój, którego sam w tym kącie szukał, sam z tej doliny wypędził.

Chcąc uciec myślom przykrym, posunął się dalej. Naraz uderzył go obraz, który napływem żalu ścisnął jego serce.

Oto przed nim, na wzniesieniu, u stóp wstającego zbocza leżała, złamana całkiem, biała, płacząca brzoza...

Drzewo i po niej przeszło. Nie ochronił jej, choć przyrzekł.

Zsmutniały, usiadł na najbliższym pniu i długo, długo siedział nieruchomie, jakgdyby myślom czynił spowiedź z grzechów, które popełnił w tej ubocy.

Wreszcie, westchnąwszy ciężko, podniósł głowę — i ujrzał Cyrka przed sobą. Stał, milcząc równie, kto wie już jak długo, i patrzył zielonemi oczyma na niego z cichym, bolesnym wyrzutem.

## IX.

Nareszcie nadszedł dzień, długo przez Franka wyzierany. W niedzielę, późnem ranem pożegnał się z Huciskiem. Kiedy już minął wąwóz, zamykający kotlinę, i wydostał się na otwartą przed oczyma przestrzeń, wtedy ciężące duszy niepokoje opadły zeń, niby płaszczy zmoknięty na deszczu. Stało mu się lżej na sercu i dużo swobodniej. Tam, za nim pozostały wszystkie utrapienia — przed nim wstawały uśmiechy, darzące nadzieją, jakimi go witało zbliżające się rozgwarem życie. Miał wrażenie, jakgdyby po długiej i uciążliwej słońce wyszedł z domu i obaczył przeświecające błękitem od zachodu niebo, które zwiastuje pogodę. Nie baczyl, że podobne wrażenie miał na wstępie do tej doliny, gdy tu szedł spokoju szukać, uciekając od widoku ludzi.

Teraz cieszył się w sercu na wspomnienie, że ich obaczy niezadługo, i w tęsknocie, zrodzo-

nej z długiego osamotnienia, myślą pozdrawiały wyłaniające się z pamięci znajome ludzkie twarze. Wszystkie dobrocią, uśmiechami patrzyły ku niemu.

I zdało mu się, że czekają nań z takim utęsknieniem, z jakim on ku nim dąży.

Widzi pocziwą twarz Gnieckiego, jak się przyjaźnie doń uśmiecha. „Powie ci, Franuś, że ty masz rozum niegłupi“... Wyraźnie słyszy głos jego cichawy. A za nim widzi inszych z rodowego stanu, jak się życzliwie słowom przyśmiechują. Myśli o nich wdzięcznym sercem: Dobrzy z kośćmi ludziska. Nawet w obliczu Suhaja nie widać tej zawziętości, którą jakoby przez sen przypomina zdawna, lecz dobroć z niej przeziera i zaduma tkliwa, jaka zwykle smętniła mu oczy, gdy się rozgwarzył z rówieśnymi o minionych czasach. Wychyla się niby ze mgły i twarz siostry, Zośki. Zwraca ku niemu załzawione oczy i zdaje się przez nie mówić: „Takeś już o nas doznaku zabaczył?“ Słowa te idą za nim, wracają uparcie, a za każdym ich powrotem zjawiają się inne oczy, pełne łez i rozżalenia. Widzi mnóstwo tych oczu, patrzących wyrzutem, które mu litość z serca piją, a zarazem czuje jakby niepopelnioną przez się winę, o którą go oskarża łzami ten milczący sąd. I rozpoznaje pomału twarze komorników, którym kiedyś u kościoła przysięgał obronę.

Wnet jednak wszystkie te zjawy naoczne zasłania obłok, który leci, kształtnieje i rozwija się w postać smukłą, białą, w której Franek ze zdziwieniem poznaje Hanusię. Bieży ku niemu, wyciąga ramiona i oczami, rozświeconemi do płomienia, wita... „Och, co ja się naczekała!”

Dzień był pogodny. Ani chmurki na błękitnym niebie. I cisza, że się zdawało: myśli mówią...

Franek nie spieszył się, i umyślnie tak późno wyszedł z Huciska, aby prawie zająć do kościoła na sumę, gdy się już naród wszystek pozgromadza.

Idąc pomału chodnikami, rozkładał sobie w myślach czas pozostały do wieczora i rozmieszczał w nim, jak zwykle, zamiary najbliższe. Zajdzie do kościoła, zobaczy się z Hanusią, opowie jej o wszystkim, co go tam w lesie trapiło i z uśmiechem tajemniczym nadmieni jej o niespodziance, jaką ludziom w umyśle swoim chowa.

Po sumie pójdą razem do domu jej ojca, któremu szczegółowo wyłoży swój plan. Stary Sołtys zwoła radę, może jeszcze dziś... I wszystko się odrazu w jeden dzień rozjaśni. Wieść będzie leciała po wsi, jak radosny dzwon. Kto nie uwierzy, przyjdzie — cała wieś może się zgruchnie, i będzie rada trwała trzy dni i trzy



noce. A potem ludzie z weselem powrócą do swoich domów.

Wyobraźnia rozpaliała jego myśl gorączką, ledwie się zdołał przemóc, by nie myśleć już o tem, co będzie. Lękał się wprost bliskości tego, o czem marzył, co mu się już jawą rzeczywistą zdawało istnieć przed oczami. W takich razach ucieczką dla rozmarzonych myśli jego była mu Hanusia, którą widział swojemu sercu tak bliską i tak istotie swojej nieodstępna, iż nie mógł sobie nijak bez niej pojąć.

— Tak się spoiła ze mną, jak ta jedla z bukiem, i tak rośniemy razem opleceni. Ani nas wiatery nie rozerwie, ani burza nie rozczepi, chyba śmierć podetnie które... a i to jeszcze nie rozłąka, bo możemy paść razem — na wieki. I cóż nas zdoła rozdzielić? Jak nas to mądrze splotło przeznaczenie! Jedla, gdyby sama rosła, byłaby lękliwą, każdemu wiatru kłoniłaby wierch, a przy mnie czuje bezpieczną ochronę i przytula się z wiarą, że jej nie dam złamać. Rośniemy razem prosto w niebo. Ja przy niej rosnę w moc.

Rozpostarł ramiona swe, jak buk konary, mocujący się z naremny wiatrem, albo jak orzeł skrzydła, próbujący, czy wytrzymają zamierzony lot.

— Ciężka przeprawa będzie, ale brzeg jasny już widać. Niech jeno wszyscy zobaczą na oczy...

Najpierw Hanusi pokażę. A gdy sie zdumieje w sercu i zapyta: „Toś ty wymyślił?“, powiem jej: „To my razem wymyślili...“ I, tłumacząc zadziwionej, będę jej powiadał o połączeniu naszym, o miłości, jakiej ludzie nie pojmują. „Coby ja począł sam? Byłbych jak cień onego smutku, który sie włóczy po ugorach. Przy tobie serce moje, rozżarzone szczęściem, pragnie wszystkim ludziom świecić, i stąd sie rodzą myśli, które darzą... Przy tobie dusza moja, opętana władztwem, pragnie coraz większej władzy, i stąd sie rodzi moc, która zdobywa... Uważ, czyś nie współdziałała ze mną?...“ I tak jej będę mówił, aż zrozumie, że ja i ona — to jedno.

Z coraz większą tkliwością zwracał się marzeniem ku niej.

— Moje najdroższe! moje skarby! Moje najmojejsze! Co sie to tam musiało nawyzierać, natęsknić... Pewnie oczka wilgotne, jak ranne kwiatki, od płakania... Czy też przeczuwa, że idę? Pewnie teraz w kościele, bo gdzieżby inedy? Widzę, jak klęczy przy ławce z boku przed ołtarzem, głowę nisko pochyliła, udaje, że czyta z książki, a myśli jej lecą, lecą... „Co też ta robi mój Franek?“ I tęsknota ją taka przejmuje, że często wzdycha głęboko, a ludzie klęczący obok myślą, że się tak gorąco modli. Już ja znam swoje kochanie, przecie my razem na odpust chodzili...

I mimowoli uśmiechnął się na przypomnienie tych myszy w Janiołowej stodole, na boisku.

Ani się opatrzył, choć pomału szedł, jak się ujrzał w samym środku wsi pośród osiedli na drodze, prowadzącej wprost ku kościołowi.

Ludzi nijakich nie spotykał, poszli już na sumę. A kto został, to się modlił w chałupie na książce, albo pacierze z pamięci szeptał, nie umiejąc czytać, albo i spał w jakim kącie na jakimś barłogu, rad, że w niedzielę może odespać tydzień zmitrężony.

Cisza była niewzruszona. Świętowało wszystko. Jesień zamierającym uśmiechem patrzyła od pól. Po białych, pustych ścierniskach snuło się, jak omamienie, niknące w oczach babie lato, pobłyskiwało do słońca nitkami, czasem zasrebrzyło się całym polem przędzy rozetkanej misternie na ścierni lub zalśniło niby woda stojąca na młakach. Słońce przetaczało się nisko ponad wierchy, świeciło jasno, a nie grzało, zdawało się taflą lodu, w której odbija się pełnym światłem ukryte kędyś rzeczywiste słońce.

Coraz częściej spotykane domy koło drogi zasłaniały oczom Franka ziemię i pół nieba. Znalazł się wreszcie u kościoła. Nie zatrzymywał się w rynku ani przy sklepach kramarskich, bo widział z pustki, jaka była wszędzie, że już ludzie dawno poprzehodzili na sumę. Przyspieszył kroku, minął furtkę i przepchał się przez

cizbę stojących we drzwiach pod dzwonnice. Posuwał się pomału dalej wśród natłoku, aż dostał się pod chór, skąd widok miał na całe wnętrze.

Kazanie właśnie było. Ksiądz kazał o tych, co to w łakomstwie nienasyconem sąsiadom swoim szkody wyrządzają, po ich koniczynach pasą, po nocach cudze ziemniaki grzebią i znoszą do swoich dołów, spółnikom główki kapusty co najpiękniejsze wykradają, z kościelnego lasu cetynę i mech wysmykują, przez co dwa grzechy popełniają, bo i świętokradztwo, sami uczciwie na się nie pracują, bogatszym mienia lepszego zazdroszczą i zgoła nie szanują własności niczyjej, choćby to było kościelne dobro, nie ludzkie...

Franek tymczasem rozglądał się po ludziach, szukając znajomych twarzy, bo się już dużo natęsknił za niemi. Przez podobieństwo położenia przybaczył sobie odpust w Ludźmierzu, jak on tam szukał Hanusi, i teraz ponad głowy stojących przed sobą patrzył ku kazalnicy przed ołtarz, w nadziei, że może głowę jej zobaczy zdale. Może tknięta przecuciem w serce, poczuje, że Franek stoi pod chórem, i obejrzy się... Ale napróżno śledził, nie mógł jej odnaleźć.

Kazanie dobiegało końca. Poznać można było po tem, że ksiądz o piekle, w którym djabli smołą zalewać będą gardła nienasycone za ży-

cia, począł mówić — a wiadomo było wszystkim, iż po strasznych obrazach piekła pokaże jeszcze przebłysk nieba, jako ten promień słońca, spadający z wysokiego okna, i zakończy: „...wtedy dostaniecie się do królestwa niebieskiego, czego wam i sobie życzę. Amen“.

Nie mylono się. Kiedy ksiądz powiedział „amen“, zachwiał się cały kościół, podobnie jak staw, który stał w ciszy nieruchomo, naraz uderzony wichrem, wstrząsnął się i długi czas chwieje się powierzchnią, nim się nareszcie uspokoi.

Ksiądz, otworzywszy książkę, przewrócił w niej parę kartek i, przychyłony, począł czytać wyraźnym, powolnym głosem, aby ludzie wobec niespokojności mogli dobrze słyszeć. Mimo to słowa traciły się w ciżbie, i pod chórem stojący nie wszystko mogli rozumieć. Nagle stała się większa cisza.

Franek drgnął. — Co to?

— Michał Cichański, syn Józefa i Reginy z Chybów, z Anną Sołtys-Suhajówną, córką...

— To nieprawda! — chciał krzyknąć, ale tylko szept mu wyszedł z ust.

— ...urodzeni i zamieszkali w Przysłopiu... Zapowiedź pierwsza... Ktoby wiedział o jakiej przeszkodzie...

Franek jeszcze nie mógł wyrozumieć. Jakto? Ktoby wiedział o jakiej przeszkodzie... Patrzył

wielkimi oczami po ludziach, jakby szukał odpowiedzi, i zewsząd widział oczy, zwracające się ku niemu — to żałujące, litościwe, to śmiejące się, szyderskie... Teraz dopiero zrozumiał.

Serce poczęło mu tłuc o piersi tak, że chwiała nim... Cały kościół wraz z ludźmi począł drgać, trząść się i wirować kołem. I pogasły mu w oczach naraz wszystkie światła. Na okamgnienie zatracił przytomność, szum jeno słyszał dziwny wkoło siebie. Poczem war, obłęd rodzący, buchnął mu do głowy, i gniew okrutny począł rozsadzać mu piersi.

Sto myśli naraz, sto zamiarów targnęło nim całym.

— Rzucić się przez wszystkich ludzi, zwleć księdza z ambony i trząść nim, by odwołał...

— Znaleźć w ciżbie Michała i sprać go na miazgę...

— Wypaść w pole i całemu światu obwieścić, że Hanka jego...

— Gdyby sie kto sprzeciwiał — zabić...

— Cały świat wyzwać do walki!

Ale równocześnie z temi zamiarami wołał głos stłumionego rozumu i siłą go wstrzymywał w miejscu.

— Coż ksiądz winien? Coż winien ten woli łąb, Cichański? Cóż z tego, że sie świat dowie? Z kimże bedziesz wojował? Z wiatrem?

I opadła go tępa, głucha złość niemocy, serce przysiadła skała ciężka, że ledwo dyszał.

Z głębi serca przywalonego ciężarem dobywał się żal kłujący ostremi nożami, rozchodził się męczarnią po ciele i ogarnywał bólem całą duszę: okrutny żal do Hanki...

— Jakże ona mogła przystać? Jak mogła dać się nakłonić? Jak mogła, jak mogła!...

To znowu gniew i oburzenie na Suhaja tamowały żal, cisnący się już do ocz łzami kołącemi.

— A może on ją zmusił, zniewolił przemocą? Może ją katował strasznie, i musiała się pozornie zgodzić, nie mogąc dłużej znieść bolu i męki... Co ona tam teraz musi cierpieć w sercu! Jakie udręczenia straszne!... O, żeby ja cię teraz dopadł! Odpłaciłbym ci za nią, kacie! Słowami bych cię zabił naprzód, nim bych jeszcze dłoń podniósł...

Oburzenie, klątwami wyrzucane, cichło, a żal do Hanki znowu się przywracał i rósł gorzkimi przyptywami serca.

— Jak mogła jednak tak się dać przymusić? Choćby ją i niewolili — to coż, to mogła uciec! Wiedziała przecie, kany Franek mieszka. I nawet mu ani słówkiem o swojej biedzie nie doniesła! Przecie jej chyba nie wzięli w domu... Gdyby tam był wiedział o tem, ostawiłby wszystko i przybiegłby jej na obronę, albo zabrałby ją

z sobą, nie pytając się nikogo o przyzwolenie. Niechżeby wtedy Suhaj wściekłość swoją żenił z przysłopskim wiatrem, niechby mu na tem weselu djabli tańcowali, a družbował stary gróbarz, niechby się działo, co chciało!

I tak, różnemi uczuciami chwiany, stał pośród ludzi, nie widząc nikogo, nie czując chwilami nawet siebie. To żal, to gniew, to oburzenie miotały nim na przemiany i nieczuliły zmysły, a w duszy jego rozbolałej tworzyły piekło prawdziwe.

Stał, jak człowiek przygłuszony ciężkiem uderzeniem — i, jak z dalekiej bardzo dali, słyszał organy, dzwonki, śpiewy, nie umiając zgoła pojąć, skąd ich głos się bierze. Chwilami nawet zatracił czuwanie, zdawało mu się, że go jakiś sen niedobry trapi, podobny tym, jakie nieraz w gorączce go opadały. Tamte się przecie kończyły, i ten się musi skończyć. Czyżby to miało być prawdą? Począł w rozumie mieszać się i wątpić w to, czy naprawdę słyszał, czy mu się jeno zdawało, począł nie wierzyć w rzeczywistość otoczenia, w te głosy tak dziwnie, obco, niezwyczajnie brzmiące.

Pracował w myślach pamięcią i starał się poznać, gdzie jest w obecnej chwili, w tym śnie... I obaczył się w nieznanym lesie pośród ciemnej gęstwi; a wiatr szumi po gałęziach, wodospady gdzieś huczą, a z polanki się donosi turlikanie



owiec... wyraźnie słyhać dzwonki... I huk się przybliża... a szum dokoła rośnie, jęczy, jak chór potępionych... w uszach świdrami wierci...

Ocknął się.

— Przecie to kościół...

Nad głową huczały mu organy, naród dokoła jęczał, od ołtarza, od świateł przedzierał się głos dzwonek.

— Suma stoi... — pomyślał — kazanie już było...

Na nowo wieść bolesna zadzwoniła mu w uszach, i znowu straszna męka oplotła jego duszę. Jakby się znalazł w głodnym węzowisku... Każde zbaczone słowo zapowiedzi jadem trującym kąsało go w serce. A do tego przyłączył się wstyd płomieniami palący, gdy sobie uświadomił, że stoi wśród ludzi, którzy musieli równie zapowiedzi słyszeć. Te oczy zewsząd zwrócone ku niemu już samem przypomnieniem parzyły jego mózg.

Nie śmiał głowy obrócić, aby nie napotkać tych szyderstwem patrzących, uśmiechniętych ocz. Przeszło mu się, że stoi wśród wrogów, którzy go otoczyli nienawistną ciżbą i szydzą zeń niemiłosiernie. Za co? — pytał się w sercu, bo nie mógł zrozumieć. „Za to — podszeptał mu głos jakiś nieznan — żeś jest od nich o głowę wyższy...” I Franka jeszcze większy wstyd ogarnął, nieśmiałość trwożna, jakiej ni-

gdy nie czuł. Począł się kurczyć w sobie i ma-  
leć przed ludźmi, aż zmałał tak, iż się sam roz-  
poznać nie mógł. Przesdało mu się, że jest Ja-  
siem, stojącym w kościele, kiedy Zośce wołają  
z Jędrkiem zapowiedzi... I taki go żal serdeczny  
nad sobą mizernym objął, iż ledwo ostatkiem  
woli powstrzymał się od płaczu.

Organy dudniły w chórze, naród wszystek  
śpiewał, kościół drewniany trząsł się od na-  
brzmiałych głosów.

Franek powoli zaczął przychodzić do siebie.  
Odróżniał się już wyraźnie od Jasia i nawet  
przybaczył sobie, że Jaś na cmentarzu leży. On  
zaś, Franek Rakoczy, opuścił rano Hucisko,  
przyszedł do wsi z nowiną i...

Jakby słońce strzeliło na ołtarz, cały kościół  
rozwidnił mu się naraz w oczach. Stał mu  
w myślach plan odkryty gminy...

Wszystko mu naraz pojaśniało w oczach,  
wszystko poczęło inne wdziewać barwy. Nawet  
i zapowiedzi, które go tyle trapiły, wydały mu  
się teraz czemś tak marnem, że ani chwili my-  
ślą postawać przy nich nie warto. Przecie to  
wszystko nic wobec nowiny, jaką ludziom w my-  
ślach swoich niesie. Niech jeno powie —  
a wszystko się, jak cudem, odmieni.

— Nie dziwota, nie wiadano nic, co sie  
z nim dzieje. Mogli ludzie różnie myśleć... Ale  
że Hanka!... No, odpłacze za to. Choć może i nic

nie winna... Zresztą, czem się po próżnicy tra-  
pić? Pierwsze zapowiedzi, nie ślub... Mógł kto-  
ten księdzu zapłacić, kazał wołać, i wołali... Gdy  
się dowiedzą — wszystko ku jego dobru się  
zwróci. Nawet Suhaj, choć tak twardy, musi  
zmięknąć w sercu...

I począł śmieiej patrzeć po kościele.

Widział, że ludzie nie zajmują nim swojej  
uwagi, lecz każde chwali Boga, jak zdoła i mo-  
że, to śpiewem z całego gardła, to przebiera-  
niem pacierzy, to wreszcie snem sprawiedliwym  
(według słów pisma, iż, kto śpi, nie grzeszy my-  
ślą, mową i uczynkiem) przeto tem wyżej dźwi-  
gał głowę oswobodzoną z utrapień i zwolna na-  
bierał w serce pewności krzepiącej, jaką daje sa-  
motność wśród tłumnej gromady i zamiar czy-  
nów bliskich a dalekich.

Postanowienie już miał: Zaraz po sumie, nie  
szukając Hanki, pójdzie do wójta i tam Radzie  
nowinę ogłosi. Potem na wszystko czas będzie...

Zatopił się w myślach nad tem, jakim naj-  
prostszym sposobem mógłby wyłożyć plan swój  
ludziom, aby łatwo zrozumieli, a potem, z jaką  
pomocą weźmie się do wprowadzenia w czyn  
zamiarów ciężkich. I ze zdziwieniem spostrzegł  
teraz, że najwięcej nadziei pokłada w Suhaju,  
w jego do gminy przywiązaniu, w jego rozumie  
roztroptnym, wreszcie w jego doświadczeniu  
a i powadze niezwyklej, jakiej zażywa u przy-

słopskich ludzi. To go trochę zmieszało, tem bardziej, że w sercu chował ciężki gniew do niego, jako do ojca Hanki. I nie mógł się z tem pogodzić, że do Suhaja ma pójść teraz z uraczeniem serca, a nie z oburzeniem głośnem, jakie mu się cisnęło na usta przed wszystką mową zamierzaną. Przecie pomału zmógł się i złagodził swoje wewnętrzne krzyki i protesty, bo wobec szczęścia ludzi, wychylającego się twarzą słoneczną z poza chmur terażniejszości, wydały mu się swoje strapienia marnemi. Jakżeby mógł z powodu swojej do kogoś niechęci pomijać pomoc najpewniejszą, skoro o ludzkie dobro idzie? Dumął też i tak w rozwadze:

— Suhaj, zawzięty w swoich własnych sprawach, o dobro gminy pewnie dba i leży mu ono na sercu, bo przecie ludzie przez tyle lat odczyliby się go szanować, gdyby inaczej było; a że o rodach myśli więcej, to tu nie przeszkadza, bo tu i rodom nie stanie się krzywda, każdemu będzie lepiej niż obecnie, i on się może dużo przyczynić do dzieła...

Podobnemi słowami myślał i rozważał, czując się w tej ciżbie ludzkiej przy huku organów, jak w lesie przy szumie wietrznym.

Tymczasem chwile zbiegły, suma się skończyła. Ludzie poczęli opuszczać kościół pomału.

Franek miał wyjść za innymi, ale se uważył, że byłoby to zawcześnie. Nim się rada nie-

spieszliwa u wójta zgromadzi, to jeszcze zejdzie spory kawał czasu. A miałby się z ludźmi witać, postawać po drodze, to już lepiej tu poczekać. Nie miał chęci do rozgwary, tembardziej po takim wstydzie, jaki go spotkał w kościele. Żałowałiby go pewnie, a onby się ciskał — i pocóż ludziom czynić widowisko, a sobie nową udrękę?

Tak sobie to tłumaczył, nie chcąc się przed sobą przyznać, że go bliskość wyjawienia planu pocichu w sercu trwoży. Czuł wyraźnie, gdy miał wyjść za ludźmi, jak go coś wstrzymało zlekka i szepnęło mu słów parę, które niepokój śpiący w nim zbudziły. Zapragnął jeszcze choć godzinę urwać i czasu tego użyć godnie na umocnienie serca swego i utrwalenie wiary.

I usunął się ludziom wychodzącym, postanawiając zatrzymać się, dopóki go drugie postanowienie z kościoła nie wypchnie. Pragnął jeszcze raz wszystko dokładnie pomyśleć, aby wyjść przygotowanym i mocnym w zamiarze. Jednak uwagę jego rozpraszały śpiewy, które mu się wwiertywały w pamięć mimowoli, tak, iż począł sam bezwiednie brać współudział w nich i przenosić się do czasów, kiedy z nieboszczką matką chłopięciem do kościoła chadzał.

Teraz w kościele było jakoś swojsko. Po „Anioł Pański” organy ucichły; gazdowie osiwiali, siedzący w ławkach pod chórem poczęli

śpiewać hrubymi głosami na swoją znaną, staroświecką nutę, niewiasty za każdą zwrotką cienko im odpowiadały. Zbaczył się Frankowi adwent i te wieczory w chałupie, kiedy rodzice z czeladzią śpiewowali godzinki na pamięć. Przeniósł się myślą do tych czasów, i kościół teraz zdawał mu się izbą, a ci ludzie sąsiadami, którzy się poschodzili na wspólne pacierze. I tak, chcąc nie chcąc, odśpiewał z nimi Koronkę, Różaniec i Litanję do Pana Jezusa, i pewnie byłby nieszpór przebył, gdyby nie organy, które go hukiem uderzyły w głowę i zatrwożyły przypomnieniem, że już czas opuścić kościół.

Chwilę jeszcze stał, zgarnował w serce moc krzepiącą, wreszcie, oddawszy pokłony ołtarzom, zawrócił ku drzwiom, pod dzwonnice. Przechodził prędko i nie widział ócz, pozierających za nim rozmaicie, to ciekawością, że tak długo ostawał w kościele, to zgorszeniem katolickim, że nieszpór opuszcza.

Na rynku nie spotkał człeka, bo kto do domu, lub do kościoła nie poszedł, to w ratuszu, albo w innej szynkowni przebywał, krzepiąc się darem boskim w załzawieniu serca. Nie spotkał też nikogo i na dalszej drodze, czemu był rad niemało, bo miał teraz straszną wolę być sam. Idący, myślał nad sposobem, jakim przywita Suhaja i radnych, a następnie, jak, od czego

przemowę rozpocznie, by ich uwagę odrazu zniewolić.

— Potem już sam plan ich zajmie. Najgorzej z początku. Kto wie, w jakich są ku mnie usposobieniach...

O tem poprzód nie myślał ani trochę. Teraz go to zaniepokoiło. Tak dawno ich nie widział.

Myśli jego przerwał krzyk i klątwy, wylatujące z bliskiego osiedla. Ze słów, ku drodze doleciałych, dowiedział się, że chłopiec jednego z gazdów złamał szcep w sadzie drugiego, ten go sprął — i o to piekło. Zwykła, sto razy znana historja. Frankowi jednak nie była teraz tem, czem dawniej: nie dającym się zmienić, smutnym obyczajem.

— Za rok będzie inaczej! — pomyślał z radością — bo drzewa będą wszystkich i każdego. Przeto każdy będzie je ochraniał.

Ta uwaga po drodze wprowadziła go w plan cały pożytków, jakie widział niedaleko w obmyślanej gminie. I na nowo już po setny raz przechodził myślą swoje darzące dobrem, ukochane dzieło.

— Nareszcie się uwidocznili...

Myśl, że jest tak bliskim celu, płomieniem go obiegała. Gorączka go pchała naprzód — szedł wartko i coraz prędzej. Na nic dokoła nie zwracał uwagi, był całą bacnością w sobie i u wójta. Już tam wyobraźnią bawił, już mó-

wił, już się zapalał, i znowu napowrót w siebie po tem myślowem wyczerpaniu wracał.

Gdy dochodził do sołtysowego osiedla, serce poczęło mu tłuc się niespokojnie w piersiach — na moment owładnęło nim zwątpienie nagłe — i zwolnił nieco kroku. Dziwna przytem bojaźń powiała zimnym dreszczem po jego strwożonem sercu.

Cała nadzieja jego w tem odkryciu... Ostatnia deska tonącego szczęścia... Co będzie, jak się nie uda?

Ale gwałtem, siłą zmógł się i, nie dając myślom czasu do zastanowienia, przeszedł prędko osiedle, wpadł prawie przez próg do sieni i szarpnął drzwi do świetlicy.

W izbie uczyniło się duże poruszenie. Wiadac nie spodziewali się tu Rakoczego, i nagłe jego zjawienie się wszystkich zaniepokoiło. Nawet na „pochwałę Boga“ mało kto co odpowiedział. A ludzi było dość. Cała prawie rada gminna i insi podletni, wśród nich Suhaj, jako zwykle, siedzący za stołem.

Zmieszał się nieco i Franek, ujrawszy tyłu naraz samych ojców rodów. W obliczu ich wszystkie zabaczone niechęci wróciły mu na pamięć, wszystkie doznane od nich krzywdy poczęły mu się w sercu odnawiać, i nie mógł się odrazu oswoić z tą myślą, że on tam szczęście na ziemi im ścielił i że tu przyszedł do nich



z dobrem uraczeniem. Przytem na widok starego Suhaja, który siedział zasępiiony i zdawał się wejścia jego nie zauważyć, Rakoczy uczuł dotkliwy ból w sercu, a ogień gniewu na twarzy.

Stał więc chwilę w milczeniu i zmagął się z myślami. A i gazdowie pozierali po sobie różnie, nic nie powiadając. Nareszcie jeden z Gnieckich wyrychlił się z pytaniem:

— Ponoś ta, Franus, gdzieś długo bawił?

Rakoczy, który w myślach gotował przemowę, nie słyszał prawie wyrzeczonych słów, ale zaczepiając o pierwsze pytanie i nabierając odwagi w serce, rozpoczął:

— Przychodzę do was z gór... Przychodzę z zaufaniem otwartem i z wiarą, że, co tu przed wami powiem — przyjmiecie z radosnem sercem i szczerością za szczere słowa odpłacicie...

Mówiąc to, czuł wyraźnie całą dziwność tych słów, które tak obco w tej izbie zabrzmiały, jak świecki śpiew w kościele albo modlitwa w karczmie. Podniósł głos, aby ten dźwięk serce trwożący przygłuszyć:

— Przychodzę z nowiną ważną...

Wiele głów z ciekawością obróciło się ku niemu.

— Oto, siedząc tam w górze, z daleka od gwaru, miałech czas o wszystkim myśleć. Myślałech też o Przysłopie i o narodzie tutejszym. Z wysokich wierchów patrzyłech na tę smutną

ziemię, na tych ludzi, grzebiących w niej zgrabiałymi dłońmi, na ich rozpaczne szarpanie się z życiem. I nieraz mi się zdawało, że stoję na wyspie, a dokoła opływa mnie wielkie morze nędzy, to znowu zdawało mi się, że widzę człowieka, skazanego na śmierć pewną, który o tem nie wie... A tym człowiekiem był naród przysłopski, idący z roku na rok ku zagładzie pewnej, dzielący tę ziemię pustą na coraz mniejsze okruszyny, staczający się zwolna nad przepaść okropną i już stojący prawie nad urwiskiem...

Przerwał, wzruszony, a gazdowie strwożyli się w sercach i sposepniały im twarze, jak chmury pod jesień, z niektórych oczu lęk wyrzał w stronę mówiącego.

— Przerażony tą otchłanią, jaka mi się odsłoniła u stóp narodu, chodziłem jak bliski śmierci, zabaczyłem doznaku o spaniu i jadle, i już mnie nic nie weseliło na tym świecie. W sercu było mi tak ciężko, jakżeby mnie wszystka nędza na tej ziemi przysiadła. Błąkałem się po wrębach, po wierchach wysokich i szukałem ratunku jakiego dla gminy. Aż nareszcie znalazłem go w takim oto planie...

Tu począł z zapalem mówić o wiadomych zmianach, jakie mają przeinaczyć istniejącą gminę. Mówił więc: o innym podziale gruntów, o innej uprawie, o wspólnych pracach i wspól-

nem pożytkowaniu owoców tej ziemi, o spichrzach gminnych, o pastwiskach, o zaprowadzeniu kopalń, fabryk i warsztatów, o wykształcaniu synów i o wszystkim, co myśl, zapałem pędzona, nadniosła.

Mówił bezładnie, ciżbą słów, w gorączce coraz to większej, pragnąc dojść prędko do pożytków, jakie z tych zmian wynikną ludziom. A nie postrzegł rozumem dwóch rzeczy, w następstwach dla niego ważnych. Naprzód, że mówił tak, jakby z słuchającymi już nieraz ogaadywał wszystko, jakby oni z nim wspólnie nocami nad tem myśleli, jakby rozumieli nawet to, czego nie dopowie — powtóre, że plan jego choć w krótkim skreśleniu, był ciężkim sądem na dzisiejszą gminę.

To też gazdowie starzy otrząsnęli się wnet z niepokoju, jakim ich przejął obraz, rzucony przez Rakoczego, o ostatecznym upadku narodu, i poczęli w sercach chmurnieć, pozierać na siebie i na wójta, jakby wyglądali, co on na to powie.

Suhaj, który z początku sądził, że Rakoczy przyszedł o zapowiedzi piekło stroić, i już się na to odpowiednio w obojętność przybrał, począł teraz za stołem niespokojnie sapać i ciskać złe spojrzenia w stronę Rakoczego.

Nie zauważył tego Franek, natomiast widział z trwogą, że słowa jego nie wywierają wrażeń

nia, jakiego się spodziewał na pewne. Tem większa opanowywała go zapalność, gdy mówił:

— Rozwidni się świat ludziom, jak po długiej nocy. I ujrzą oczami światłość, bo jej dotąd nie mogli oglądać. Dziś każdy ma kamień ciężki uwiązany na sznurze u szyi, który go ku ziemi ciągnie i nie pozwala indziej patrzeć, jak ino na biedę swoją, na ten wieczysty grób. A wtedy ludzie popodnoszą czoła, wyprostują do góry przygarbione plecy i staną się odrazu jak drzewa, piękniejsi. W oczach im wesołość siędzie, na twarze uśmiech przyleci, i dusze ich pojaśnieją, jak dzień, gdy słońce ranem wstaje po długiej, szarej słońcu. Wszelkie zwyczajne kłopoty przeminą. Nie będzie troski o życie, ani o przyszłość, ani o nic, bo się wszyscy razem wspólnie będą o to troszczyć. Nie będzie zazdrości grzesznej, ani łakomstwa żadnego, bo każdy będzie miał we wszystkim jednaki udział. Nie będzie kłótni, zabijań, ani gniewów nijakich między sąsiadami, bo zajadłość ustanie odrazu, skoro przyczyny się stracą. Nie będzie sądów, bo się ludzie nie będą mieli o co sądzić. Całe dzisiejsze piekło zgaśnie, sadze wiatr rozwieje, i stanie cichy ogród na tem miejscu... Ludzie, którzy dożyją tego, nie będą mogli uwierzyć, że się tu pourodzili, i że to ta sama ziemia... Bedzie się im wydawało, że na tamtym świecie są i drugi żywot przebywają

w jakimś niebieskim kraju... Czy ja wam wreszcie umiem opowiedzieć, jakie czuję i widzę korzyści w tej gminie, którą wam przed oczy stawiam! Ani setnej części tego, co się z nowego życia narodzi, nie wysłowiłech przed wami. To się nie da słowami wszystkiego wymówić. Ale tego już chyba dosyć, aby widzieć, że to jedyny ratunek dla gminy, ochrona od zatury i ucieczka od nędzy, która morzem wstaje... Wtedy ratunek zapóźny, gdy zatopi wszystko. W jesieni nad tem trza się zastanowić, w zimie rozważyć wszystko należycie, a z wiosną fundamenta już założyć pierwsze... Nie upłynie lat dziesiątek — co mówię — lat parę, jak się wszystko przeodmieni, i powstanie nowa gmina o innym wyglądzie...

— A ty w tej gminie bedziesz wójtem — dokończył szyderczo Suhaj.

Cała izba zahuczwała śmiechem.

Rakoczy zbladł — ogromny ból ścisnął jego serce i odbił się na twarzy męką. Długo nie mógł słowa wyrzec. Dopiero, gdy się całkiem już uspokoiło, powiódł żałości pełnemi oczyma po zgromadzonych i zaczął:

— Ja z otwartością szczerą do was przyszedł. Mógłbych iść do ludzi inszych, lub zebrać cały naród z gminy i wyłożyć im wszystko tak, jak wam przed chwilą. A kto wie, czyby się śmiali... Przecie do was udałech się naprzód,

jako do ojców familij dużych, o przyszłość których nieraz pewnie serce wam lękiem zadygocę... Nędza, to nie śmieszna rzecz! A plan mój powstał z serca cierpiącego na widok nędzy, jaka sie dokoła pleni. Macie lepszy na nią sposób, to odkryjcie głośno, a ja pierwszy przystanę ku wam do pomocy... Ino nie trwajcie w ludzkiej pysze, bo mnie tu idzie o wszystko!... Ja zabaczyłech niesprawiedliwości, jakieście lichszym od siebie czynili, bo mam wiarę w grunt dobry serca waszego, ojcowie! Ja nawet i do was, wójcie, urazy nie żywię, choć uczyniliście mi w zawziętości swojej niemało ciężką krzywdę. Ja wszystkim pragnę dobra... Gdybych mógł serce oskroić przed wami — ujrzelibyście na oczy to, co wam słowami gadam... Jedna jest wiara, jeden Bóg i jedno prawo: szczęście. Ja szczęściu cały oddał się na służbę. Służę mu całą duszą, całym życiem swoim... Chciałbych, aby sie bogaciło dla wszystkich i dla mnie, aby darzącem światłem strzelało wysoko, aby świeciło jak najszerzej po tej smutnej ziemi; chciałbych, aby sie stało słońcem w niepogodę, deszczem w posuchę, cieniem w upał; aby sie stało spokojem dla wszystkich, i błogosławieństwem życia, i całym niebem na ziemi... Ja z takim pragnieniem do was — a wy mi śmiechem w twarz! Gdybych tu martwy padł przed wami, zabity smutkiem o was żywot — uwierzy-

libyście?... Któż niema nad sobą litości? Chyba ten, co czucia niema. Miejcież litość i nad dziećmi, nie ostawiajcie ich w takim opuszczeniu, bo się potopią w nędzy ostatecznej...

Mówił potokiem słów płynących z serca, aby ich porwać dla zbawienia. Czuł, że i swoje szczęście postawił na los niepewny. Trwoga o nie budziła w nim coraz większy zapal, wywoływała w jego słowach coraz szerszą nutę.

Suhaj z niepokojem postrzegł, jak się twarze słuchających poczynają ognić i oczy łzawić niektórym. Coraz też gorsze spojrzenia rzucał w stronę Rakoczego.

A Rakoczy już na nic uwagą nie baczył i grzmiał w tej izbie jak budzący dzwon.

— Spojrzcie dokoła siebie, idźcie na wierch i stamtąd przypatrzcie się tym roztokom smutnym... Jeżeli was strach nie porwie i w całej istocie waszej nie odmieni — to niech wam ziemia będzie lekką... Nie przeto, iżbych wam miał starość wypominać — bo i drzewo, choćby stare, zazielenić się może od wierzchołka, ale umarli się nie odradzają... Odmłódźcie dusze swoje! Pokażcie, że was stać na drugie życie! Niech was nie straszy nieznane, bo co serce w skrytości swej uczuwa dobrem, to to i wobec rozumu nie może być złem! Idźcie za szczęście swoje w bój z naturą trwożną!... Wstańcie świtaniem odważni, bo na dzień jasny wstaniecie!... Otwórzcie

serca na oścież, jak ja otwieram przed wami... Całą istotę swoją pokazuję wam dzisiaj przed oczy. Ale chcę jeszcze bardziej być szczerym... We mnie nie to tylko jest, co się słowami ujawnia. Jest tłumna ciżba pragnień, których wysławić nie zdołam. Są nienazwane moce, którym czynów zamało na ziemi. Dajcie mi ludzi! a stworzę dla nich świat tak piękny, że raju nie będą pragnąć...

I już nie słowa, ale iskry z gorejącego serca wyrzucał. Zdawało się: lada moment krwią serdeczną chluśnie.

— Jeżeli ma być życie, to niech będzie życiem! A nie — to niech się wszystko zatraci! Miast powolnego konania niech będzie raczej śmierć! Niech wszystko zginie odrazu, niech się rozsypie w proch, niech pamięć straci o istnieniu, a niech nie cierpi! Niech nie cierpi!!

Płomieniał, szalał prawie z przetężonego uczucia.

— Tę gminę trzeba wwieść do życia, a nie, to popchnąć w grób...

W te razy Suhaj stanął przed nim i wpatrzył się weń groźnie. Rakoczy odpowiedział mu równie oczami. I poczęła się między nimi bezgłośna walka dusz. W izbie uczyniła się cichość niezwykajna, gazdowie wstrzymali oddech, czując wszyscy, że coś się dziwnego dzieje. Suhaj z Rakoczym stali w niemym bezruchu naprze-



ciw siebie, a duchy wyszły z nich i poczęły się ze sobą zмагаć: ten nienawistny, groźny, a ten płomienny, nieustępujący... Walka toczyła się zawzięta, krwawa, niby walka dwóch bogów o rządy. Nareszcie duch Rakoczego porwał ducha Suhaja za włosy i przygiął do samej ziemi.

— Wiążcie go!!! — wydobył się krzyk przyduszonego. I Suhaj pierwszy rzucił się na Franka. Franek odepchnął go ręką, tak, że ten upadł nieszczęśliwie i o róg stołu ciemieniem uderzył. Gazdowie, widząc obrazę ojczaska, runęli ławą na Franka. Zamigotały nad nim pięści — parę już spadło mu na głowę... Rakoczy naraz poczuł, że dziwnie osłabł w sercu i nikomu nie zdołałby się bronić. Przeto się cofnął do drzwi i do sieni, poprostu mówiąc: uciekł...

A stało się to wszystko w niedużym momencie.

Gazdowie, skoro ochłonęli nieco, pospochylali się nad Suhajem i poczęli go obzierać.

— Ciemię nadwreżone...

— Rana dosyć spora...

— Żeby się ino rozum nie naruszył...

— Niechże też Bóg zachowa!

— Przynieście-no wody...

Paru gazdów wyszło do piekarni. Niezadługo Hanka wpadła z wodą i lamentem.

— Matko Ludźmierska! Co się to tatowi stało?

— Dy sie przypatrz... Twój Franuś tak go uczęstował — odrzekł z przycinkiem jeden z dalszych stryków.

Hanka jeszcze bardziej zalękała sie.

— Je o co?

— Dy sie ty tu dowiesz.

Podnieśli Suhaja z ziemi i posadzili go na ławie. Paru doświadczonych w składaniu nóg i leczeniu bydła „doctorów“ zajęło się z powagą jego opatrunkiem, reszta stała nad nimi, przyzierając się ciekawie, lub dalej po całej izbie w rozgwarzonych grupach. Mówiono naturalnie o sprawcy całego nieszczęścia, o Rakoczym.

— Wiecie, ja takiego człowieka tobych wnet zabił...

— I nimiałbyś dużego grzechu, wierz mi...

— Niech światu nie bontuje, niech nie robi mątu...

— Dejno spokój, mój Szymuś — przerwał, wtrącając się, Gniecki — boś ty tu nie największy... Rakoczy nie tak doznaku źle gada — zwrócił się do paru gazdów — jak wam sie zdaje... A nawet powiem wam — przyciszył głos — że on ma rozum niegłupi. Ino to bieda, że zastanowienia nie ma nijakiego...

W innej znów grupie dowodził Cichański:

— A ja od czasu powiadał, że on cosi w rozumie niepewny...

Wreszcie po długich uradach większość przystała na to, że z jego rozumem źle... I poszli spać do domów, bo noc nadchodziła, a Suhaj z pomocą Boską i „dochterów“ zaczynał przecie przychodzić do siebie.

\* \* \*

W zamroku gęstym, we mgłę jeszcze czarniejszych myśli siedział opodal drogi na drzewie Franek Rakoczy. I już nie dumał, jako dawniej; siedział w tępem zapatrzeniu, jak to drzewo ścięte. Co dotąd przebył od czasu, jak wypadł z chałupy wójta, to się zwyczajnemu człowiekowi w najgorszych snach o piekle nie przyśni.

Snem to już wszystko, bo przeszło... ten szum straszny, który krew w mózgu czyniła, że здаваło się: lasy lecą — ten łoskot, gdy się w nim wola złamała, jakoby ziemia zapadła — te płomienie palące, które go objęły, że czuł się cały pochodnią płonąca — to morze żalu, które go zalało tak, że tonął w niem bez pamięci, nie myśląc o ratunku — te wszystkie męczarnie przebył, przecierpiał w tej chwili krótkiej. I teraz tylko ciemność gęstą widział przed oczyma, dziwnego po tych przejściach doznając spokoju. Jakgdyby większą częścią duszy swojej zamarł i ostała w nim jeno okruszyna świadomości życia, ale to nawet nie życia, lecz koniecznego

istnienia. Ten spokój, jaki uczuwał, był chyba podobny temu, jaki pod kamiennem wiekiem uczuwać może serce nie doznaku zmarłe, z którego ból wypłoszył życie, a ono jeszcze tętni, nie ustając.

Ciemność przed oczyma jego gęstniała po mału, aż nareszcie stanęła lasem nieprzebytym, nocą wieczystą, murem... Widziało się Rakocze-  
mu w niejasnem pojęciu, że ten mur ciemności wiecznej pragnął był rozwalić — i stąd jego obecna niemoc. Oto rzucił się naprzeciw z młodzieńczym zapałem — pokrwawił ręce i odpadł, jak od bramy śmierci... Oto sokołem strzelił przeciw niemu — pierś strzaskał, skrzydła zwichnał, i teraz ze zranionem sercem leży u stóp jego... I poczuł krwią swojej piersi, że ten mur z kamiennych serc stawiany powstał. Któżby go zdołał obalić? A za tym murem — wierzył sercem — musi być dolina szczęścia... Ku niej wszystkiemi pragnieniami gnał... A teraz oto, padając, jak w momencie skonu, obaczył jasno zdala, że tam ugórował pusty... Dolina szczęścia była w jego duszy. Strasznie bolesna pomyłka! Oto i w jego duszy teraz pustka... A w sercu niemoc i ból tak okrutny, że się już żyć nijak nie chce. Z czem teraz żyć? O mur się wszystkie pragnienia rozbiły...

— Ja im chciałem duszę dać... całą... bogatą...

I pierwszy raz od czasu chłopiństwa swojego  
rzewnymi łzami zapłakał.

Od kościoła wiatr przywiewał echa głośnych  
śpiewów. Ludzie szli z karczmy do chałup, za-  
wodząc po drodze. Powoli zbliżały się odgłosy  
pijanych. Niezadługo już wyraźnie z drogi dole-  
ciało:

„Hej!... powiadają Niemce,  
Że my cudzoziemce —  
A my se Polacy  
Chłopcy Ostryjacy!...“

I grały echa niemilknące po cichych osie-  
dlach. Wiatr je roznosił po roztokach z prze-  
ciąglą chichotem.

## X.

Nazajutrz — rano — w domu ojców.

Zośka, stojąc przed Frankiem, spoczywającym na ławie w smutku i opuszczeniu, żaliła się głośno:

— Takeś już o nas doznaku zabaczył... Ani słóweczka, ani pozdrowienia, ani pamięci nijkiej... Przecie nawet obcy ludzie dopytują się o siebie... A tyś brat — i takeś zdołał wytrzymać, żeś się słóweczkiem nie obezwał... Dyc wiem, że ci markotno musiało być na nas, ale coż ja winowata? Kiebyś wiedział, co ja od tego czasu podeznała...

Głos jej załamał się w płaczu. Przetarłszy oczy zapaską, żaliła się dalej:

— Jakeś wtedy z domu poszedł, tom se miejsca ni miała do spoczynku. Tak mię to trapiło... A potem, jak cię nie widać było jeden dzień, drugi i trzeci, to mi sie widziało, że sie w płaczu doznaku zatopię... Ani jeść, ani usnąć,

ani robić co — nic nieporada było. I ciągle mi się zdawało, że jakiś grzech na duszy dźwigam. Poszłam do spowiedzi, powiedziałam księdzu wszystko, ale i to nie pomogło. O ciebie byłam w sercu niespokojna, bo wiem, jakiś ty do wszystkiego nagły. Myślę se: „Kto wie, co se mógł udumać, na jakie złe postanowienie trafić...” I już mnie nic nie ciekawiło, ino to, co się z tobą kany dzieje. A tu, jak na despet, nikt z dołu nie przychodził; potem, choć-em się spotkała z kim z ludzi, nikt mi nijak nie umiał powiedzieć. I przeżyłam dużo czasów w niespokojności trawiącej. Przecie se możesz uważać...

Franek podziękował jej uściśnieniem dłoni, choć mało co i słyszał z tego, co mówiła.

— Dopiero, jak mi donieśli, że w Hucisku ostajesz, wtedy mię trwoża o cię opuściła. Ale wsze było mi przykro. Zbierałam się iść do ciebie, ino tak zawdy cosi zachodziło. Miałam też niemały kłopot...

— Wiem, wiem — przerwał Franek, nie chcąc, aby mu o tem sama powiadała.

— Skądże wiesz?

— Od ludzi...

Pomilczała jakąś chwilę, poczem rozpoczęła o powodzeniu obecnem.

— Teraz u nas tak, jak dawniej... Jędrak do lasa jeździ, i dziś pojechał, ledwie się na dzień namieniało, ja koło domu zrabiam, co potrzeba,

a ta zaś mała pasie, choć jej bydło nie chce słu-  
chać, bo to przecie jeszcze dziecko; ale coż ro-  
bić, o pasterza tak niełatwo... no, teraz przy-  
najmniej jesień, bydło ma kany chodzić, prze-  
strono, to ta i z paseniem biedy dużej nima;  
może każdej chwili przyjść do chałupy, jak  
zziębnie, zagrzać się, posiedzieć. Zresztą wiesz  
dobrze, jak bywa, boś sam w tem wszystkim  
był. Tak tu u nas, mój bracie, nic się wiele nie  
zmieniło, ino trochę smutniej teraz... a czasem  
to nawet tak, że się na płacz bez niczego zbiera...

Zasepiła się, chciała coś dalej powiedzieć,  
zawahała się jednak chwilę, wreszcie przybli-  
żyła się ku niemu ze szczerem postanowieniem  
i poczęła dużo ciszej:

— Poskarżę ci się, mój bracie, co mnie naj-  
boleśniej trapi... Bo komuż powiem, jak nie to-  
bie? A może mi się jako ulży...

Franek podniósł z ciężałą od zmęczenia gło-  
wę, spojrział na siostrę pytająco.

— Wiesz... on za mną chodzi...

— Kto?

— Jaś... Naprawdę ci gadam... Widzieć to go  
nie widzę, ale go czuję wsze i słyszę... Najczę-  
ściej w nocy. Ledwo głowę przyłożę do pościeli,  
on już za oknem śpiewa... Pamiętasz tę jego nu-  
tę? „Oj, słułował ci ja, Zosiu“... I słowa wy-  
rażnie słyhać... Nie śmiem się nikomu skarżyć...  
I co ja, biedna, pocznę?



Patrzyła załzawionemi oczyma na brata, a skoro się nie odzywał, poczęła dalej tłumaczyć drżącym i cichym głosem.

— Bać, to się nie boję, ino mi tak jakoś dziwnie... nie umiem powiedzieć, jak... Strasznie mi ciężko na sercu... Tak, jakby on przeze mnie poszedł z tego świata... I widzi mi się, że on mnie tem śpiewem woła... Nijak mnie też już ten świat nie cieszy...

Nachyliła się ku niemu, spała głowę na jego ramieniu i wyszeptwała w płaczu:

— Oj, bracie, bracie!... żebyś wiedział... Poratuj mnie jako... pociesz... bo mi tak ciężko!... tak ciężko!...

I płakała mu cicho za ramieniem.

A Franek siedział, równie ciężkim przytłoczony smutkiem, i słowem jednym nie mógł jej pocieszyć.

— Coż ja poradzę? — wyrzekł wreszcie z westchnieniem głębokiem.

Odjęła głowę od jego ramienia i zapatrzyła się przed siebie.

— Ja wiem... on ma do mnie prawo... Tak mu na Sądzie musieli powiedzieć...

Po długim, ciężkim milczeniu poczęła mówić, czerwieniąc się na zbieleiałych licach:

— Wiesz... to dziwnie... czasem chciałabych go widzieć... i boję się... tych oczów jego... Sama nie wiem, co się ze mną dzieje... We dnie

to chodzę zwyczajnie, i niktby nie zgadł, co mam w sercu, a w nocy to mi się świat doznaku odmienia... Wiesz... nawet nie śpię z Jędrkiem... bo mi się teraz zdaje, że to grzech — czy jak — czy ja wiem zresztą... No nie mogę się przewyciężyć i... zdawało mi się wciąż, że *on* tam patrzy...

Z powracającym smutkiem dokończyła:

— Strasznie mnie to życie zwiedło! Woląłabych już i nie żyć... Żeby ino nie ta mała...

Po chwili:

— Nie chodź ty od nas, Franuś, może mi będzie jako lżej przy tobie. Jak chcesz, to podziel grunt — bo on ci pewnie pieniędzy nijakich nie da — jak nie przystanie z dobrej woli, to podziel przez sąd. Mnie już nic o to nie chodzi...

— Tego nie zrobię. Darmo. Niema o czem gadać.

Wstał — przeszedł się po izbie. Zośka siedziała, płacząc cicho. Stał przed nią, ujął jej obie opuszczone dłonie i przycisnął do swoich piersi.

— Żal mi cię... Strasznie mi cię żal... ale darmo.

Politowaniem jego wzruszona, jeszcze rzewniej zapłakała. I długi czas cicha izba odzywała się jej szlochem. Franek chodził w zachmurzeniu, głowę zwieszając od ciężaru bezradnego

smutku. Wreszcie, gdy się już ustanowiła w płaczu, zbliżył się ku niej ze słowami:

— Moja kochana Zosiu, mam do ciebie prośbę... Idź, powiedz Hance, że ją tu czekam... Niech przyjdzie... Chcę z nią parę słów przemówić...

Silił się na spokój wierzchni, ale głos mu drżał, gdy mówił; zauważyła to siostra i, wytarłszy zapaską łzy, przyjrzała mu się teraz lepiej. Aż o swoich strapieniach wszystkich zabrała, tak się jego wyglądu przelękała.

— Co tobie, bracie?

— Nic... — odparł, odwracając twarz.

— Żebyś się ty widział!...

— Idź i powiedz jej... — począł, zagadując.

Zoska dopiero teraz przybaczyła sobie zapowiedzi. Niepokój stanął w jej oczach, zwróciła się też do brata z nieśmiałościami słowy:

— Ty... może ona nic nie winna...

Franek postrzegł jej obawę, ujął ją za rękę.

— No nie trwóż się... Nic ją przykrego nie spotka... Chciałbych pomówić z nią na osobności... Powiedz jej, niech zaraz przyjdzie... Najlepiej, przywiedź ją z sobą...

— To tak pilno ci trzeba widzieć ją?

— Koniecznie!

Uspokojona już w sercu, poczęła się wartko zaodziewać.

— Jakby też tu Marysia przyszła do cha-

łupy, to poradź jej, mój drogi, że mleko pod blachą...

Wytarła oczy chustką, żeby nikt nie domyślił się jej płaczu i, zapowiedziawszy prędki powrót, poszła.

Franek ostał sam w izbie.

— Czy też Hanka przyjdzie? — myślał, niepokojąc tem pytaniem serce. — Kto wie, co tam mogło zajść od wczora...

Nasuwały mu się przed oczy obrazy coraz to bardziej trwożące. I w chorem sercu przypuszczał, że wszystko mogło zajść... Dlaczegożby go miało ominąć i najgorsze zło? Już wiarę w powodzenie stracił; pewność, darząca myśli nadzieją, zmarła w nim dnia wczorajszego. Teraz tak osłabł w sercu, że się nie ośmielił znikąd dobra dla siebie spodziewać. Dawniej widział duszę swoją polaną słoneczną, z której myślami jak ptactwem na wszystkie strony powietrzne wylatał — teraz widzi ją spaleniskiem smutnem, po którym myśli snują się jak pogorzelnicy... Czegoż od świata spodziewać się, kiedy jedyne dobro spłonęło? Chyba jakiego pocieszenia od kochanych serc... I jak owi pogorzelnicy zwracają oczy na drogę, czy nie ujrzą zbolątych twarzy swych przyjaciół, i zwracają je coraz beznadziejniej — tak myśli jego smutne wyczekują przyjaciółki i wyczekują coraz to niepewniej...

— Ktoż wie, co jej tam naopowiadano, ja-

kie uczucia przez to dla mnie chowa... Aleć mnie naprzód powinna wysłuchać... Ach, czemu ja dawniej nie mówił z nią o wszystkich swoich zamysłach i oddalałech do ostatka... Teraz coż mówić już o tem? kiedy runęło... I nie zdołałbych nawet...

Dumanie jego przerwał stuk niegłośny w sieni. Ktoś, słyhać było, szarpał drzwi i nie mógł ich otworzyć. Frankowi serce zabiło — myślał, że to Hanka. Drzwi się nareszcie otwały nieśmiało — i weszła, a raczej przewlekła się przez wysoki próg izby nieduża siostrzenica. Temu jeszcze źle było jej wejść, że była opasterzona płachtą lnianą, która jej małym, obutym stopom zawadzała.

— To ty, Maryś? — przywitał ją wujek.

Obróciła ku niemu zadziwione oczy, potem podeszła cicho i pocałowała go w rękę.

Odrązu zauważył w niej zmianę dość dużą i przyjrzał się jej lepiej, skoro stanęła przy nim koło ławy. Nie była to już ta Marysia rozswawolona, śmiechliwa, która go kiedyś zwodziła koniczynnem „szczęściem“, ale jakosi dziwnie przystarzała w oczach, jakby od tego czasu przeżyła niejedno w sieroctwie lato.

Zastanowił się Franek w sercu zadumionem. Mróz, idący po polach, kwiatka nie ominie. Smutek, idący po ludziach, i na to dziecko tchnął swoim mrozącym wiewem.

— Coż tobie, Maryś? czy ci zimno?

— Nie...

— Samaś pasła?

— Sama...

— Może ci się jeść chce?

Nie odpowiedziała.

— Rozodziej-że się i weź se mleko z pod blachy. Mama ci tam ostawiła i kazała, żebyś se wzięła, jak przyjdiesz...

Poczęła zgrabnemi paluszkami rozplątywać węzeł łoktusy za szyją.

— Poczka-że, bo nie dasz rady, ja ci rozwiążę...

Rozodział ją pomału, przygarnął ku sobie i pogłaskał ją po włosach.

— Moja też to pasterka... Cożes to tak ujko-  
wi nie rada?

Zaczerwieniła się i nic nie umiała odrzec.

Stała przy nim w cichości, i widać dobrze jej było, bo zabaczyła na piękne o mleku. Po jakimś czasie, skoro Franek na nowo rozpoczął myśleć o rzeczach swoich, podniosła główkę ku jego schylonej twarzy i wyszeptała:

— Wiecie, ujku? Mama tatę bili...

Franek popatrzał w jej oczy złęknione.

— Nie baj, nie, dziecko, to ci się zdawało...

— Naprawdę... Potem tata poszli i nie przyszli aże potem, potem...

Chciała dalej opowiadać, ale ją wstrzymał surowy głos wujka:

— Idź-że, weź se mleko. A o tem nie myślij...

Usłuchnęła, choć niechętnie, i poszła ku piecowi, a Franek zwrócił się do okna i oczy posłał na drogę. Nie widać było nikogo. Porachował czas, odkąd Zośka wyszła z domu, i widział, że już powinny były nadejść. Tem się pocieszał, że Zośka byłaby już na ten czas wróciła, gdyby jej albo nie zastała albo nie mogła ze sobą uprosić.

Oparty łokciem na oknie, patrzył przez szyby uporczywie, a serce w piersi tłukło mu się coraz niespokojniej.

— Czy też przyjdzie? czy się da nakłonić?

Nie mógł już ustać ani usiedzieć spokojnie; fale serca rzucały nim od kąta do kąta; chodził dużymi krokami to prędzej, to wolniej; wątpliwość poczęło go osłabiać — siadał, ale znowu niecierpliwość nie dała mu długo siedzieć, i tak miejsca nie miał w izbie od niespokoju wewnętrznego. Wreszcie udumał iść naprzeciw i zabrał się ku drzwiom, kiedy w te razy przed nim się otwarły — i stanęła w nich Zośka, za nią Hanka...

Omało nie padł z nagłego wzruszenia. Serce zatrzepotało w nim radością trwożną, nogi się pod nim zachwiały, i ledwo zdołał namacać stół bliski, na którym sparł się dłonią. Ciżba przy-

pomnień miłych i bolesnych poczęła mu przemocą cisnąć się do głowy. I stał poblady mocno obok stołu, a naprzeciw niego, przy drzwiach, stanęła Hanka z widocznym niepokojem w twarzy.

Zośka, pojąwszy Marysię za rękę, przeszła z nią zaraz do izdebki. Ostali więc sami dwoje. I długą chwilę serca im tętniły jak dwa zegary w pustej izbie.

Franek pierwszy poszepnął:

— Myślałem, że już nie przyjdiesz...

Była w tych słowach, dalekich od myśli serca, i wymówka jej zobojętnienia (że od tak dawna nie starała się go widzieć) i radość z jej obecności. A gdy Hanka nic na to nie odpowiedziała, Franek, przemógłszy obawę, która mu się zrodziła w sercu z niewyraźnych przeczuć, przemówił drżącym ze wzruszenia głosem:

— Pamiętasz, co ci powiedziałem jednego wieczoru, kiedyś mnie przez te działy puste odprowadzała do domu?

Hanka wzruszyła na to ramionami, co przełożone na słowa znaczyło:

— Skądże ja mogę pamiętać?

— Ja zaś wyraźnie baczę... Ująłem cię za rękę, pytając: „A jak nadejdzie czas, że powiem: Pójdź ze mną na koniec świata...”

Wstrzymał się, jakby pamięci jej chciał dopomóc ciszą, i wyrzekł twardo:



— Teraz ten czas nadszedł.

Po chwili, gdy milczenie jej uparte poczęło go trwożyć, zbliżył się ku niej i, ujmując ją za rękę, jak wówczas, serdecznie spytał:

— Pójdiesz w świat ze mną, Hanuś?

— Nie.

Wyrwała rękę z jego dłoni. W twarzy jej już nie było niepokoju, ale zawziętość surowa, która mówiła: „Nie ustąpię, choćby nie wiedzieć co...” Aże się Franek zadumiał temu wyrazowi, którego nie widywał dawniej w jej obliczu, a który mu nagle zbaczył podobieństwo jej do ojca. Zimno też powiało na jego serce: tak od jej odpowiedzi krótkiej, jak i od jej postaci odmiennej. Przecie chciał wierzyć, że to złuda jego przemęczonych zmysłów. I, przewalczywszy w sobie wszystkie uczucia nieswoje, począł z tem większą mówić serdecznością.

— Hanuś! Dziecino moja! Cożeś ty mi rzekła? Przecie się zastanów w sercu... Ja z tobą nie mogę ostać, to ty musisz ze mną... Inaczej przecie chyba być nie może. Myślałech ci ja nie słowa na swaty upytać, ale darmo... Niósłech ci z Huciska dobro, o jakim nawet nie śniłaś, ale ludzie odebrali... I stoję przed tobą biedny, nawet biedniejszy niż przed tem, ale mię to nie cofa, iżbych ci nie śmiał powiedzieć: Pójdź ze mną na koniec świata... Bo wiem, bo wierzę, że ci podołam dać szczęście. A ty mi bedziesz bo-

gactwem, całym dobrem życia... Lękaś się może niewygód? Dalekich trudów i pracy? Ja ci na miłość przysięgam, że wszystko uciążliwe od ciebie odejmę i stanę ci sie opiekunem, jak ojciec dziecku najdroższemu...

— Co o tem gadać — przerwała — kiedy nie pójdę, i koniec.

— Hanuś!!!

— Ja wiem, że obiecować umiesz...

Frankowi nagła myśl przebłysła głowę.

„A może ona sama, bez niewolenia, przystała?...“ I to go tak zmieszało w sercu, że się cofnął, upadł bez czucia na ławę i w milczeniu już słuchał potwierdzeń domysłu.

— Obiecowałeś, że wypłat dostaniesz — i cożes dostał? powiedz... Obiecowałeś, że ci przypadnie pół roli, jak sie ze szwagrem podzielisz... I coż z tych obietnic wyszło? To, żeś sie wstydzil pokazać i do Huciska-ś uciekł. Potem-es jeszcze obiecował... ale myślisz, że ja tym obietnicom wierzyła? Pociskowałeś sie, skoroś sie dowiedział, że sie z Michałem zaczęło... Coż? miałaś na ciebie czekać, aż ubocz zetniesz? Wiedziałaś przecie, że i z tego nic ci dobrego nie przyjdzie, boś po lesie pozbierał wszystkich głodomorów, jakichsi Djabłów, Cyrków, i tames ich pasł... Na doplatek jeszcze, zamiast wrócić do ludzi jak ludzie, przypadłeś z lasu jak jaki powicher i narobiłeś takiego tateru, że cię wszy-

scy, nie wyłączając i ojca, za warjata uznali... Jakimże teraz prawem śmiesz mnie napastować? Co było między nami, to już przeszło i na tem się skończyło. Kochanie co inszego, a życie co inszego. Żebyś był umiał żyć jak ludzie żyją... Teraz przynajmniej miej rozum i nie gadaj tak we świat do niczego, bo ludzie naprawdę gotowi pomyśleć...

W miarę, jak mówiła, poczęła się Frankowi w oczach двоić. I widział, jak postać jego Ukochanej oddzielała się od jej postaci, rysowała się poza nią mglisto, aż nakoniec mgłą się odbiła na ścianie i znikła, raczej wróciła do jego pamięci. Przed nim stała tylko Hanka, zwyczajna Hanusia.

I rośmiał się tak szeroko z tej swojej pomyłki, że aż Zośka z izdebki przybiegła patrzeć, co się stało, a Hanka już naprawdę z trwogą pomyślała, że Franek zwarzował.

## XI

Mgła wisiała nad roztokami. Dzień był pośpny, szary, jeden z tych najsmutniejszych dni, jakie jesień z północy przynosi.

Drogą, prowadzącą z Przysłopia do dworca kolei, szedł Franek Rakoczy. I taki przestrzenny smutek dźwigał w swojej duszy, jak te pola jesienią zamgloną osnute.

A nie szedł sam. Szły z nim wspomnienia tego lata gwarną procesją. Zdawało mu się, że z nim całe roztoki ruszyły. Odprowadzali go tłumnie żywi i umarli.

Wśród tej procesji widział: Zośkę splekaną, przytulającą Marysię do kolan i patrzącą poprzez ludzi gdzieś na tamten świat; Jasia Zatraconego, który szedł za nią zdaleka, jak cień wieczorny, i żalił się cicho...

„Oj, słułował ci ja, Zosiu,  
Bez niejedną wiosnę...”

Widział też Hankę z Michałem, oboje rozśmianych, ubranych jak na wesele w jaskrawe bukiety; koło nich drużbów, zawodzących głośno...

„Hej! powiadają miemce,  
Że my cudzoziemce...”

Widział Suhaja pośród całej zebranej rady Przysłopia, prawiącego o rozumie i o roztropności; Bekaca, opowiadającego coś Chudomiętowi, który się dziwił słowami: „Ho! ho! moiściewy...” Widział Teklę, dźwigającą ociepkę cetyny i kryjącą w oczach mądrych jakieś ważne słowa... Widział nawet i Błażeja, który z ciekawości chytrej przyłączył się, by obaczyć, gdzie Rakoczy pójdzie.

A poza tą procesją, jak poza płynącą rzeką, widział: Cyrka, patrzącego za nim cichym smutkiem, Drozda, szukającego głodnemi oczyma żywiny jakiej we wodzie, i Djabła, wychylającego się z poza nich twarzą, w której na wieki zaskrzepły strach i śmiech pospołu. Uboczą, zda wało mu się, szedł Dyzma ze swoim Burkiem.

Powoli stracił z oczu całą procesję. Ostali przy nim jeno ci ostatni, jak pnie przez rzekę mętłą, na bok odniesieni.

Coraz przestrzeńszy smutek wpływał w jego duszę.

— Tak i mnie życie odnosi...

Mijając dział zamykający roztoki, obejrzał się po raz ostatni za siebie... Turbacz stał głową we mgłę i wydawał się taki przygarbiony, jakby się przez to lato zestarzał o wiek. Rakoczemu widok jego zbaczył dawną śpiewkę:

„Hej! Turbaczu, Turbaczu!  
Cożeś tak osowiał...“

Z tą melodią poleciał wspomnieniem aż do pasterskich swoich czasów.

Mgła się podniosła — odkryło się zciemniałe czoło Turbacza — na niem wyraźnie widać było czerniący się kamień.

— Mój grób... — szepnął Rakoczy ze smutnym uśmiechem.

Idąc dalej, powtarzał:

— Lacki... Koldras-Lacki...

Za nim grób zabitych pragnień — przed nim świat nieznany.

\* \* \*

\*

Dowlókł się wreszcie do dworca. Kolej nadjeżdżała. Pchnięty gorączką, by się nie zapóźnić, z pośpiechem wpadł do poczekalni i przepchał się do kasy. Urzędnik, zamykający okno, wstrzymał się, pytając: — Dokąd?

Franek wymienił bez myśli pierwszą nazwę

miasta, jaką z rozmów zarobkujących ludzi zapamiętał. Poczem, otrzymawszy żądany bilet, wyszedł z ludźmi i wsiadł do wskazanego wozu. Maszyna ruszyła naprzód — i ostatni z Rakocznych pojechał do Siedmiogrodu... na zarobek.

K o n i e c .

*Poreba Wielka (1899-1901).*





## POSŁOWIE.

*Powieść „W roztokach“ wyszła drukiem w r. 1903 (wydana nast. 1910, 1920), ale jest dziełem wcześniejszem. Autor — swoim zresztą zwyczajem — tworzył ją długo, budował rozważnie; jak sam świadczy, pisał ją w latach 1899 — 1901, a w r. 1901 jeden jej rozdział ogłosił w krakowskiej „Krytyce“. Do pracy nad tą powieścią przystąpił więc Orkan niebawem po ogłoszeniu pierwszego tomu „Nowel“, a pisząc ją, odrywał się najprawdopodobniej, by kończyć „Komorników“ — przymnażać zbiór nowel „Nad urwiskiem“, planować dramat „Skapany świat“, nie mówiąc już o poezjach.*

*To wyznaczenie jakby mapy owoczesnej twórczości Orkana jest nam potrzebne, by zdać sobie sprawę z szerokości i natężenia rozmachu pisarskiego, z owoczesnej bujnej żywiołowości natchnienia, by ocenić urodzajność gruntu i pulsujący nurt miazgi twórczej, z których się wy-*

więzała i narastała nasza powieść. Widzimy stąd, że „W roztokach“ jest plonem lat wielkiego urodzaju. Plonem najbogatszym i najwspanialszym. W dorobku 25-letniego autora pierwsza to powieść wielka, dzieło wysokiej miary, przez które autor zajął jedną z bezspornie czołowych pozycji w nowoczesnym polskim powieściopisarstwie.

Widać powtórę z tej synchronistyki, że powieść „W roztokach“, będąc szczytowym punktem młodzieńczego okresu twórczości Orkana, jest zarazem jego zamknięciem, powstała w tym momencie, w którym burzliwa, pulsująca rodzajność wiosny przechyla się już w spokój dorodnego lata. Ta pograniczność powieści zaznaczyła się w jej artystycznym ustroju. Znajdujemy w niej bowiem zarówno elementy znamienne dla pierwiastkowego okresu formowania się indywidualności pisarskiej autora, ale zarazem świadoma wola wyjścia poza i ponad nie, co więcej, widzimy, że to wyjście już się właśnie dokonało. Surowy, gruby jak razowiec, naturalizm pierwszych nowel, nawet „Komorników“, został tu już znakomicie otamowany, wysubtelniony przez introspekcję psychologiczną, przetkany promieniami poetycznego na świat spojrzenia. W wewnętrznym rozwoju swym pisarz doszedł już do wyżyn wielkiej epickiej koncepcji. Nad zapalczym społecznikiem, szarpiącym się w bole-

sny *kręgu współczucia z niedolą komorników, bierze górę świadomy siebie artysta, niegubiący się wśród wykrawków ponurej rzeczywistości, ale zdolny do ujęcia swej koncepcji w świat wyższego porządku, o wymiarach symbolu. Schowana w roztokę gmina przysłopska ze swym osiedziałym porządkiem i ze zrywającym się nań zapalnym buntownikiem-marzycielem, nie przestaje być sobą, jest tu zarazem znakiem sprawy szerszej; dziejącej się tu i tam, wczoraj i dzisiaj, scena dramatu nieustającego w plemienu ludzkim.*

*Nie przestając być sobą... Bo też rzeczywiście pokazał Orkan w swej powieści wieś, jakiej jeszcze w literaturze polskiej nie było; ujęty w prawdzie kształt jej zewnętrzny zarówno jak splot nurtujących ją konfliktów społecznych. Teraz dopiero okazało się w piśmiennictwie naszym, że wieś, atom społeczny, nie jest bynajmniej całością jednolitą, ale jest zróżniczkowana stanowo, ma swą górę i dół, rady i komorników, warstwy bynajmniej w sobie nie zharmonizowane.*

*Te epickie ujęcie życia i spraw wsi polskiej w powieści Orkana nasuwa mimowoli zestawienie z — późniejszymi zresztą — „Chłopami“ Reymonta. Zestawienie bynajmniej nie kłopotliwe i nic naszemu autorowi nie ujmujące. Nie spiesząc się przecież do odważania ciężaru ga-*

tunkowego obu dzieł, ani do ustalania hierarchji, ograniczyć się możemy do zaznaczenia zasadniczej różnicy, zachodzącej między nimi. Kto wie, czy nie szukaćby jej w tem, że w ujęciu Reymonta prace i dni Lipiec przewalają się przed nami jak wezbrany żywioł, kierowany jedynie naporem namiętności, podczas gdy w koncepcji Orkana osią konstrukcyjną obrazu wsi jest dramat myśli społecznej, proces nie biologiczny ale duchowy.

Mając na uwadze tę właśnie myśl społeczną, zwierającą główne wiązania konstrukcyjne powieści Orkana, biorąc ponadto w rachubę zakrój psychiczny jej bohatera naczelnego, możnaby ulec łatwej pokusie i mówić o zbyt może wielkiej uległości pisarza wobec czyto kompleksów ideowych, czy też poszczególnych formacyj literackich przeszłości. Zapewne. Wydumany przez Franka Rakoczego na zboczu Gorców plan kolektywnego ustroju wsi, jako ratunek przed napierającym widmem nędzy, rzeczywiście dałby się powiązać z pomysłami ideologicznymi wielkiej emigracji po r. 1831, ot choćby gromady Ludu Polskiego.. A znowu struktura duchowa Franka, bohatera pojętego jako samotny, jedyny zbawca zbiorowości, a zarazem człowieka o duszy rozdartej, oscylującej między ofiarniczem umiłowaniem rzeszy upośledzonej, cierpiącej, a strapieniami kochanka

związanego uczuciowo z istotą zbyt poziomą, między heroicznymi porywami wodza i reformatora, wyzywającego do walki ze zmurszałym porządkiem, a chwilami zwątpienia, poczucia, że do dokonania dzieła brak mu dostatecznego hartu wewnętrznego, że i jego gryzie tajemny „robak smutku“, — ten ustrój psychiczny może istotnie przypomnieć nam niejednego z bohaterów romantycznych, powiedzmy na przykład: Kordjana. Zapewne.

Niemniej powierzchowny byłby wniosek, — gdyby go kto chciał na tej podstawie wyciągnąć, — o reproduktywnej jakoby wyobraźni Orkana. Mamy tu bowiem do czynienia ze zjawiskiem osobliwym, jedynem w swym rodzaju. Rzeczywiście możnaby przy Orkanie, — ściślej mówiąc, przy pewnym okresie rozwojowym jego indywidualności, — mówić o odrodzeniu romantyzmu, ale chyba tylko w takim sensie, w jakim się mówi o odrodzeniu antyku w w. XV i XVI.

Zbiorowość w swem życiu duchowym nie przekazuje form rozwojowych; conajwyżej skraca je, przyspieszając tempo. Wieś polska zbyt późno weszła w okrąg ogólnego życia kulturalnego narodu, to też w pospiesznych skrótach nadrobić musi ubiegłe stadja jego rozwoju. W ten sposób przez nowiznę duszy ludowej przejść musiała orka także i romantyzmu, zasiew tego żywotnego prądu musiał tu upaść i wzrósć. Orkan,

zwłaszcza zaś wielkie jego dzieło „W roztokach“, jest zasiewu tego najwyraźniejszym dowodem i najwspanialszym plonem.

Grubo — powtarzam — myliłby się, ktoby w tym fakcie dopatrywał się jakiejś reproduktywności, epigonizmu. Mimo pozorów niema w tym romantyzmie z pod Turbacza cech wtórności. Na wyugorowanych polach wrażliwości duchowej ludu zasiew spóźniony wzrósł runią nie mniej bujną i soczystą, równie pierworodną jak tamten z przed stulecia.

W ten sposób powieść „W roztokach“, dzieło sztuki dużego kalibru, staje się w dziejach duchowego życia narodu zjawiskiem podwójnie cennem, jako obraz rzetelnie pokazanego życia wiejskiego i to w takiej formacji, która szybko się cofa w przeszłość, niknie w naszych oczach, tudzież jako dowód rozrastania się i zcalania duchowego masywu nowej Polski.

St. Pigoń

